

RACHEL CAINE

NOCNA ALEJA



ROZDZIAŁ 1

Gdy w Domu Glassów zaterkotał telefon, Claire wiedziała, kto dzwoni.

Nie musiała być jasnowidzem, żeby zgadnąć, że to jej matka. Kilka dni temu Claire obiecała, że się odezwie. Obietnicy nie dotrzymała, więc teraz, w najmniej odpowiednim momencie, musiała telefonować mama.

- Nie... - mruknął Shane, jej chłopak, nie przerywając pocałunku. Claire trudno było uwierzyć, że może Shane'a nazywać swoim chłopakiem. - Michael odbierze. - I podsunął jej świetną wymówkę, żeby zignorować telefon. Mimo to sumienie nie chciało się przymknąć.

Zsunęła się z kolan Shane'a z westchnieniem rozczarowania, oblizała wilgotne wargi i skierowała się w stronę kuchni.

Michael właśnie wyciągał rękę po telefon. Uprzedziła go, szepnęła „przepraszam” i rzuciła do słuchawki:

- Halo?

- Claire! Na litość boską, odchodzę od zmysłów. Kochanie, od kilku dni dzwonię do ciebie na komórkę i...Cholera. Claire się zirytowała.

- Mamo, przecież wysłałam wam mejla, zapomniałaś? Zgubiłam komórkę, jeszcze nie mam nowej. - Lepiej nie wspominać, w jakich okolicznościach straciła telefon. Lepiej nie wspominać, jakie niebezpieczeństwa grożą jej w Morganville, w stanie Teksas.

- Och - westchnęła mama, a potem dodała już spokojniej:

- Tata zapomniał mi o tym powiedzieć. Wiesz, że to on sprawdza pocztę. Ja nie korzystam z komputera.

- Tak, mamo, wiem. - Mama nie radziła sobie najlepiej z nowinkami technicznymi, ale nie była beznadziejna; jednak komputerów bała się jak diabeł święconej wody, i to nie bez powodu; psuły się, gdy była w pobliżu.

- Wszystko u ciebie w porządku? Wykłady są ciekawe?

- Mama nie przestawała mówić.

Claire uchyliła drzwi lodówki i wyjęła puszkę coli. Otworzyła ją, pociągnęła długi łyk, żeby zyskać na czasie i wymyślić, co ma powiedzieć rodzicom - o ile w ogóle coś mówić. „Mamo, miałam kłopoty. Widzisz, tata mojego chłopaka przyjechał do miasta ze zbirami z gangu motocyklowego i zaczęli zabijać ludzi, nas zresztą też o mało nie zabili. Aha, i wampiry się o to wściekły. Więc, żeby ochronić przyjaciół, musiałam

podpisać z kontrakt z wampirami i w zasadzie jestem niewolnicą najpotężniejszej wampirzycy w mieście”.

Nie przyjęliby tego dobrze.

Poza tym nawet gdyby to powiedziała, mama by nie zrozumiała. Rodzice odwiedzili Claire w Morganville, ale nie poznali miasta, nie zorientowali się, co się tutaj dzieje. Ludzie będący w Morganville przejazdem nie odkrywali prawdy. A jeśli odkrywali, to albo nigdy stąd nie wyjeżdżali, albo usuwano im wspomnienia.

A jeśli jakimś cudem zaczęli sobie przypominać, przytrafiało im się coś złego. Bardzo złego.

Claire powiedziała więc:

- Mamo, zajęcia są świetne. W zeszłym tygodniu zaliczyłam wszystkie testy.

- Oczywiście, że zaliczyłaś. Zawsze zaliczasz!

Tyle że w zeszłym tygodniu musiałam zdawać testy i uważać, by ktoś nie pchnął mnie nożem w plecy. Co mogło mieć wpływ na średnią ocen. Aż głupio być dumnym z czegoś takiego...

- U mnie wszystko w porządku. Zadzwoń, kiedy będę miała nową komórkę. - Claire zawahała się i spytała: - A ty jak się masz? I jak tata?

- Och, u nas wszystko dobrze, kochanie. Tęsknimy za tobą i tyle. Ale tata nadal martwi się, że mieszkasz poza kampusem, ze znajomymi starszymi od siebie ...

Ze wszystkich rzeczy, które mama zapamiętała, musiała zapamiętać akurat to. Claire nie mogła wyjaśnić rodzicom, dlaczego mieszka poza kampusem z trojgiem osiemnastolatków. Dokładnie z jedną dziewczyną i dwoma chłopakami. Mama jeszcze nie zdążyła dojść do tematu chłopaków, ale to była kwestia czasu.

- Mamo, mówiłam ci, jak okropnie traktowały mnie dziewczyny w akademiku. Tu jest mi lepiej. Tu mieszkam z przyjaciółmi. Są naprawdę strasznie fajni.

Mama nie wydawała się przekonana.

- Mam nadzieję, że jesteś rozsądna. Mam na myśli zwłaszcza zachowanie wobec chłopców. No cóż, temat chłopców wypłynął bardzo szybko.

- Tak, jestem rozsądna. - Starła się zachowywać rozsądnie i odpowiedzialnie nawet w stosunku do Shane'a, ale też Shane nie zapominał, że Claire jeszcze nie skończyła siedemnastu lat, a on sam nie miał jeszcze dziewiętnastu. Nie była to wielka różnica wieku, ale z punktu widzenia prawa? Przeogromna, zwłaszcza gdyby jej rodzice się wściekli. A na pewno by się wściekli.

- Przy okazji, wszyscy cię pozdrawiają. O, Michael macha do ciebie.

Michael Glass, chłopak, w którego domu mieszkali, siedział w kuchni przy stole i czytał gazetę. Podniósł wzrok i, szeroko otwierając oczy, pokręcił głową, co ewidentnie znaczyło: „Nawet się nie waż!” Rodzice Claire dali mu popalić, gdy przyjechali w odwiedziny, a teraz, o ile to możliwe, sprawy wyglądały jeszcze gorzej. Kiedy poznali Michaela, był człowiekiem: no dobrze, tylko nocą, bo w ciągu dnia się dematerializował, był duchem; nie mógł też opuszczać Domu Glassow, tkwił tu jak w pułapce.

W Morganville to było normalne.

Żeby wyciągnąć Shane'a z kłopotów, Michael dokonał okropnego wyboru - zyskał możliwość wychodzenia z domu i już przez całą dobę był widzialny, ale stał się wampirem. Claire nie wiedziała, czy się tym przejmował. Trochę na pewno, prawda? Ale wydawał się taki... jak zawsze.

Może trochę za bardzo jak zawsze.

Claire jeszcze chwilę posłuchała matki, a potem wyciągnęła słuchawkę w stronę Michaela.

- Mama chce z tobą porozmawiać.

- Nie! Mnie tutaj nie ma! - powiedział scenicznym szeptem i zaczął machać rękoma. Claire uparcie podsuwała mu słuchawkę.

- To ty odpowiadasz za to, co dzieje się w domu - przypomniała mu. - Tylko nie wspominaj mamie o... - Wykonała gest naśladujący wbijanie komuś kłów w szyję.

Michael rzucił jej karcące spojrzenie, ale wziął słuchawkę i zaczął czarować jej mamę. A miał nieodparty urok osobisty. Claire wiedziała, że nie tylko rodzicom się podobał, ale... No cóż, wszystkim. Michael był bystry, przystojny, seksowny, utalentowany, traktował innych z szacunkiem... Nie sposób go było nie lubić; tyle że był wampirem. Zapewniał teraz matkę Claire, że jej córka zachowuje się bez zarzutu - widząc, jak przewraca oczami, Claire zakrzuszyła się i parsknęła całą przez nos - i że on jak najbardziej opiekuje się córeczką pani Danvers. Przynajmniej to była prawda. Michael bardzo poważnie traktował swoje obowiązki wobec Claire. Zachowywał się jak starszy brat, prawie nie spuszczał Claire z oka, poza tymi chwilami, które wymagały prywatności, albo wtedy, kiedy udawało jej się wymknąć na zajęcia bez eskorty - a wymykała się najczęściej, jak się dało.

- Tak, proszę pani - obiecywał Michael. Był już zestresowany. - Nie, proszę pani. Zwrócę na to uwagę. Tak, oczywiście. Claire zlitowała się nad nim i odebrała mu słuchawkę.

- Mamo, muszę kończyć. Kocham was. W głosie mamy nadal był niepokój.

- Claire, może powinnaś wrócić do domu? Chyba się myliłam, powinnam była pozwolić ci jechać na MIT. Mogłabyś zrezygnować z zajęć i pouczyć się w domu, my naprawdę bardzo cieszylibyśmy się, że jesteś z nami...

Dziwne. Zwykle udawało się mamę uspokoić, zwłaszcza rozmowa z Michaelem rozwiewała jej obawy. Claire przypomniała sobie, jak Shane opowiadał jej o swojej matce i o tym, jak zaczęły powracać wspomnienia o Morganville. I że zapłaciła życiem za to, że zaczęła sobie przypominać, co się dzieje w mieście.

W tej chwili jej rodzice jechali na tym samym wózku. Odwiedzili miasto, ale ona nie była pewna, ile zapamiętali ze swojej wizyty - niewykluczone, że zapamiętali tyle, że groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiała zrobić wszystko, by ich chronić. A to oznaczało rezygnację z marzeń o MIT, bo gdyby wyjechała z Morganville - zakładając, że udałoby się jej opuścić miasto - wampiry mogłyby pojechać jej śladem i albo ją ściągnąć z powrotem, albo zabić. I resztę rodziny również.

Poza tym teraz Claire musiała zostać w Morganville, bo podpisała kontrakt, w którym powierzała swoje życie i przysięgała służyć Amelie, Założycielce miasta. Najpotężniejszej i najbardziej przerażającej wampirzycy - chociaż tę swoją stronę Amelie rzadko pokazywała światu. Tak się jednak złożyło, że kontrakt z wampirzycą stał się jedynym sposobem na przeżycie Claire i jej przyjaciół.

Do tej pory podpisanie kontraktu niczego nie zmieniło w życiu Claire - nie ukazały się ogłoszenia w lokalnej prasie, a Amelie nie zjawiała się po jej duszę. Może po prostu to się jakoś rozejdzie po kościach.

Mama nadal mówiła coś o MIT, a Claire nie chciała już o tym myśleć. Marzyła o studiach na MIT albo CalTech i była wystarczająco bystra, żeby tam się dostać. Udało jej się nawet skończyć liceum wcześniej. To okropnie niesprawiedliwe, że teraz utknęła w Morganville jak mucha w pajęczej sieci. Pozwoliła, by na kilka chwil opanowały ją gorycz i złość.

No ładnie, zakpiła sama z siebie. Dla studiów na wymarzonej uczelni poświęciłabyś życie Shane'a. Bo wiesz, że tak by się to skończyło. Wampiry w końcu by go zabiły. Nie byłabyś od nich ani trochę lepsza, gdybyś nie zrobiła wszystkiego, co w twojej mocy, żeby temu zapobiec.

Gorycz minęła, ale złość wcale nie wybierała się jej śladem. Claire miała nadzieję, że Shane nigdy się nie dowie, co ona czuje w głębi duszy.

- Mamo, przepraszam cię, ale naprawdę muszę kończyć, mam zajęcia. Kocham

cię... I powiedz tacie, że jego też kocham, dobrze?

Claire rozłączyła się, nie zwracając uwagi na protesty matki, westchnęła ciężko i zerknęła na Michaela, który miał trochę współczującą minę.

- Niełatwo dogadać się z rodziną - starał się pocieszyć Claire. - Przykro mi.

- Nigdy nie rozmawiasz ze swoimi rodzicami? - spytała i usiadła naprzeciwko Michaela. Popijał coś z kubka. Przez sekundę Claire bała się, że to krew, ale poczuła zapach kawy. Orzechowej. Wampiry mogły jeść jak ludzie i jedzenie im smakowało, tyle że nie dostarczało im składników odżywczych.

Michael dziś rano wyglądał podejrzanie dobrze - na twarzy miał lekkie rumieńce, ruchy sprężyste, tryskał energią, której nie widziała u niego poprzedniego wieczoru.

Dziś rano pił jeszcze coś poza kawą. Jak to się załatwia? Wymknął się na chwilę do banku krwi? A może zamawia się krew z dostawą do domu?

Claire zapamiętała sobie, żeby to sprawdzić. Dyskretnie.

- Czasami dzwonię do rodziców - powiedział Michael.

Złożył gazetę - miejscowego szmatławca, wydawanego przez wampiry - i wziął niewielki plik kartek formatu A4, zrolowany i spięty gumką. - Są wygnańcami z Morganville, więc mają luki w pamięci. Lepiej, żebym nie kontaktował się z nimi za często, po co narażać ich na kłopoty. Zwykle piszę. Poczta zwykła i elektroniczna jest czytana przez wampiry, wiesz o tym, prawda? Także większość rozmów telefonicznych jest kontrolowana, zwłaszcza zamiejscowych.

Zdjął gumkę i rozprostował kartki drugiej gazety. Claire odczytała widziany do góry nogami tytuł: „Głos Kła”. Logo stanowiły dwa drewniane kołki tworzące znak krzyża. Dziwne.

- Co to?

- To? - Michael wzruszył ramionami. - Kapitan Oczywisty.

- Co takiego?

- Kapitan Oczywisty. To ksywka. Już od dwóch lat wydaje tę gazetkę raz w tygodniu. Jest nielegalna.

Słowo „nielegalne” miało w Morganville wiele znaczeń. Claire uniosła brwi.

- A więc... Kapitan Oczywisty to wampir?

- Nie, chyba że cierpi na poważny problem z samoidentyfikacją - odparł Michael. - Kapitan Oczywisty nienawidzi wampirów. Jeśli ktoś wysuwa się przed szereg, on o rym pisze... - Michael zamarł, czytając jakiś nagłówek, otworzył usta, a potem je zamknął. Twarz mu pobladła, a w błękitnych oczach pojawił się niepokój.

Claire wyjęła mu gazetę z ręki, odwróciła ją i odczytała:

„Nowy krwio pijca w mieście Michael Glass, wschodząca gwiazda muzyki, obdarzony talentem o wiele za dużym jak na to miasto, przeszedł na Ciemną Stronę. Szczegółów nie znamy, ale Glass, który przez ostatni rok trzymał się na uboczu, zdecydowanie dołączył do Gangu Kła. Nikt nie wie, jak ani kiedy to się stało, a ja wątpię, żeby Glass sam chciał o tym opowiadać, ale wszyscy powinniśmy się zaniepokoić. Czy to oznacza więcej wampirów i mniej ludzi? Przecież to pierwszy nowy Nieumarły od paru pokoleń.

Strzeżcie się, chłopcy i dziewczęta, Glass może i wygląda jak anioł, ale stał się demonem. Zapamiętajcie sobie ten fakt, drogie przekąski! Glass to najnowszy nabytek Klubu Uprzywilejowanych Gryzoni!”

- Klub Uprzywilejowanych Gryzoni? - - powtórzyła na głos przerażona Claire. - On żartuje, prawda? - Obok artykułu widniało zdjęcie Michaela, wzięte chyba z książki pamiątkowej liceum w Morganville, wstawione w ramkę przedstawiającą nagrobek.

Na zdjęciu dorysowano mu kły.

- Kapitan Oczywisty nigdy nie nawołuje otwarcie do zabijania - wyjaśnił Michael. - Dostyc ostrożnie formułuje swoje opinie. - Claire widziała, że jej przyjaciel jest zły. I przestraszony. - Podał nasz adres. I nasze nazwiska, chociaż zaznaczył przynajmniej, że nikt z was nie jest wampirem. Ale i tak nie jest dobrze. - Michael już otrząsał się z szoku po zdemaskowaniu w gazecie i zaczynał się martwić. Claire już była zmartwiona.

- Dlaczego wampiry nie zrobią czegoś z tą gazetką? Nie powstrzymaj ą Kapitana Oczywistego?

- Próbowaliśmy. W ostatnich dwóch lat aresztowano trzy osoby, które twierdziły, że są Kapitanem Oczywistym. Okazało się, że niczego nie wiedzieli. CIA mogłaby się nauczyć od Kapitana tego czy owego o prowadzeniu tajnych operacji.

- A więc nie jest aż tak bardzo oczywisty - stwierdziła Claire.

- Moim zdaniem jego pseudonim ma ironiczną wymowę. - Michael wypił łyk kawy.

- Claire, nie podoba mi się to. Już i tak mieliśmy wystarczająco dużo kłopotów bez...

Eve wpadła do kuchni, otwierając drzwi z takim impetem, że z hukiem rąbnęły o ścianę. Claire i Michael aż podskoczyli. Przemaszerowała przez kuchnię, postukując butami, i oparła ręce na stole. Dzisiaj nie wyglądała jak Gotka - włosy nadal miała matowo czarne, ale zczesła je w zwyczajny kucyk, i na jej trykotowej koszulce i czarnych spodniach nie było ani jednej trupiej czaszki. Nie miała też makijażu.

Wyglądała po prostu normalnie. Co było strasznie niepokojące.

- No dobra - powiedziała i podsunęła Michaelowi pod nos drugi egzemplarz „Głosu Kła”. - Proszę, powiedz mi, że masz gotową błyskotliwą replikę.

- Zadbam, żeby waszej trójce nic nie groziło.

- Michael, zupełnie nie o to mi chodziło! Słuchaj, ja się nie martwię o nas! To nie nasze zdjęcia wklejają w Photoshopie w nagrobki! - Eve jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu. - Chociaż, owszem, lepsza śmierć niż taka fryzura... Boże, czy to twoje naturalne zdjęcie?

Michael wyrwał jej gazetę i położył zdjęciem w dół na stole.

- Eve, nie stanie się nic złego. Kapitan Oczywisty to po prostu gaduła. Nikt mnie nie zaatakuję.

- Jasne - odezwał się nowy głos. To był Shane. Stał za Eve, a teraz oparł się o ścianę obok kuchenki i skrzyżował ramiona na piersiach. - Proszę bardzo, gadaj sobie, co chcesz - powiedział. - Ale ten artykuł oznacza kłopoty i ty to wiesz. - Claire spodziewała się, że usiądzie z nimi przy stole tak jak kiedyś.

Ale nie zrobił tego. Shane z własnej woli nie przebywał długo w tym samym pomieszczeniu co Michael od czasu... przemiany. I nie chciał na niego patrzeć, chyba że z ukosa i spode łba. Zaczął też nosić jeden ze srebrnych krzyżyków Eve, chociaż teraz akurat schował go pod szarym T - shirtem. Claire złapała się na tym, że wzrokiem szuka tego ledwie widocznego wybrzuszenia.

Eve zignorowała Shane'a; nie odrywała wzroku od Michaela.

- Wiesz, że wszyscy będą teraz czaić się na ciebie, prawda? Wszyscy kandydaci na Buffy? - Claire oglądała Buffy - postrach wampirów, ale nie miała pojęcia, jak Eve się to udało; w Morganville serial był zakazany podobnie jak wszystkie inne filmy czy książki o wampirach. Albo o zabijaniu wampirów, mówiąc ściślej. Ściąganie plików z Internetu też monitorowano, chociaż niewątpliwie istniał czarny rynek i Eve na pewno z niego korzy-

stała.

- Tacy jak ty? - spytał Michael. Jeszcze nie zapomniał arsenału kołków i krzyży, który Eve chowała w swoim pokoju. Dawniej posiadanie kołków i krzyży przez kogoś, kto mieszka w Morganville, wydawało się rozsądne. Teraz wyglądało na przemoc domową.

Eve zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Ja nigdy bym...

- Wiem. - Wziął ją za rękę. - Wiem.

Wzruszyła się, ale szybko się otrząsnęła i znów popatrzyła na niego z gniewem. - Posłuchaj, to niebezpieczne. Oni wiedzą, że stanowisz łatwiejszy cel niż starsze wampiry, i będą cię nienawidzić jeszcze bardziej za to, że jesteś jednym z nas. W naszym wieku.

- Być może - przyznał Michael. - Eve, daj spokój, usiądź.

Usiadła na krześle, ale raczej niechętnie, i nie przestawała niespokojnie postukiwać obcasem buta o podłogę albo bębnić pomalowanymi na czarno paznokciami o blat stołu.

- Jest kiepsko - odezwała się. - Wiesz o tym, prawda? Dziewięć i pół punktu w dziesięciostopniowej skali beznadziei.

- W porównaniu z czym? - spytał Shane. - Mieszkamy z wrogiem. Ile punktów to daje? Nie mówiąc o tym, że dostajesz dodatkowe za bzykanie się z nim...

Michael zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że jego krzesło przechyliło się i uderzyło o podłogę z hukiem. Shane stał wyprostowany, z zaciśniętymi pięściami, gotowy do bójki.

- Przymknij się, Shane - ostrzegł Michael z kamiennym spokojem. - Mówię serio.

Shane zerknął na stojącą za Michaeliem Eve.

- On cię w końcu ukąsi. Nic na to nie poradzi, a jak już zacznie, nie będzie mógł przestać; on cię zabije. Ale ty o tym wiesz, prawda? Co to ma być, jakaś debilna gotycka idea romantycznego samobójstwa? Samobójstwa przez bzykanie się z wampirami?

- Spadaj, Shane. Co ty wiesz o gotyckiej kulturze poza paroma odcinkami The Munsters i tym, czego dowiedziałeś się od swojego taty, członka Bractwa Aryjskiego? - No świetnie, teraz już i Eve była wściekła. Claire była jedyną rozsądną osobą w Domu Glassów.

Michael próbował wszystko załagodzić.

- Przestań, Shane. Zostaw ją w spokoju. To ty ją krzywdzisz, nie ja...

Shane wbił w Michaela zimny wzrok.

- Ja nie krzywdzę dziewczyn. Ty to powiedziałaś i lepiej, żebyś to cofnęła, dupku.

Shane oderwał się od ściany, bo Michael ruszył w jego stronę. Claire zamarła bez ruchu, patrzyła na przyjaciół szeroko otwartymi oczami.

Eve stanęła między nimi, rozkładając ręce.

- Dajcie spokój, chłopaki. Nie chcecie tego robić.

- Ja chcę - wycedził Shane.

- Świetnie. No to albo dajcie sobie po razie, albo wynajmijcie pokój w hotelu - rzuciła i odsunęła się na bok. - Tylko nie udawajcie, że tu chodzi o opiekę nad bezbronną dziewczyną, bo wcale tak nie jest. Tu chodzi o was dwóch. Więc wyjaśnijcie to sobie albo stąd idźcie, mnie wszystko jedno, który wyjdzie. Shane patrzył na nią urażony, a potem spojrział na Claire. Ani drgnęła.

- Wychodzę - oznajmił. Drzwi zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem.

Eve wyrwało się lekkie westchnienie.

- Nie myślałam, że sobie pójdzie - powiedziała głosem tak drżącym, że przez chwilę Claire myślała, że przyjaciółka się rozpłacze. - Co za cholerny idiota.

Claire wzięła ją za rękę. Eve oddała uścisk, a potem przytuliła się do Michaela. Wampir, nie wampir, tych dwoje wyglądało na szczęśliwych, a zresztą przecież to był Michael. Claire nie potrafiła zrozumieć Shane'a. Ogarniał go gniew, kiedy najmniej się spodziewała, i wybuchał bez powodu.

- Lepiej... - zaryzykowała. Michael skinął głową. Claire poszła szukać Shane'a. Nie żeby to było trudne; wyciągnął się na kanapie i naciskał guziki playstation.

- Stajesz po jego stronie? - spytał Shane i rozwalił głowę zombie.

- Nie. - Claire usiadła obok niego, zostawiając między nimi tyle miejsca, żeby Shane nie odczuwał presji. - Dlaczego mamy się dzielić na strony?

- Co?

- Michael to twój przyjaciel; mieszkamy razem. Nie jesteśmy stronami. Chcesz nas dzielić. Strzelił palcami.

- Hm, zaraz. Może dlatego, że mój przyjaciel jest teraz krwiożerczą pijawą?

- Shane...

- Myślisz, że coś wiesz, a nic nie wiesz. On się zmieni. Oni się wszyscy zmieniają. Może to trochę potrwa, sam nie wiem. Na razie jemu się wydaje, że jest nadczłowiekiem, ale wcale tak nie jest. Jest podczłowiekiem. Lepiej o tym nie zapominaj.

Popatrzyła na Shane'a zaskoczona i mocno zasmucona.

- Eve ma rację. Mówisz jak twój tata.

Shane skrzywił się i przerwał grę.

- To był cios poniżej pasa, Claire. - W najlepszych chwilach nie był wielkim fanem swojego ojca, nie mógłby, po tym, co ojciec mu zrobił.

- Nie, to nieprawda. Posłuchaj, przecież to nasz Michael. Nie możesz mu okazać

odrobiny zaufania? Nie skrzywdził nikogo, prawda? I musisz przyznać, że wampir po naszej stronie, naprawdę po naszej stronie, nam nie zaszkodzi. Nie w Morganville.

Shane wpatrywał się w ekran, zaciskając zęby. Claire próbowała wymyślić jakiś inny sposób, żeby do niego dotrzeć, ale jej uwagę odwrócił dzwonek do drzwi. Shane nawet nie drgnął.

- Otworzę - westchnęła i poszła w stronę drzwi.

W słoneczne przedpołudnie było bezpiecznie. Słońce wypaliło całą zieleń z teksańskiego krajobrazu, lato zaczynało przechodzić w jesień.

Claire zmrużyła oczy w jasnym świetle słońca. Przez chwilę wydawało jej się, że ma omamy.

W drzwiach stała Królowa Suk Monica Morrell, jej najgorszy wróg, w towarzystwie nieodłącznych harpii Giny i Jennifer. Jakby lalka Barbie i jej przyjaciółki zostały nadmuchane rozmiarów człowieka i przebrane za manekiny z Old Navy. Opalone, idealne, począwszy od błyszczący do ust po lakier paznokciach u nóg. Monica przybrała przyjazną minę. Giną Jennifer starały się o podobne, ale obie miały taki wyraz twarzy, jakby wahały coś śmierdzącego.

- Cześć! - przywitała się Monica pogodnie. - Masz jakieś plany na dziś, Claire? Pomyślałam, że może wybierzesz się z nami.

A jednak, pomyślała Claire. Jednak śnię. Ale to jakiś koszmar, prawda? Monica udaje moją przyjaciółkę? To zdecydowanie koszmar.

- Ja... Ale czego ty chcesz? - wyjąkała wreszcie, bo jej znajomość z Monica, Giną i Jennifer zaczęła się od zepchnięcia Claire ze schodów w akademiku, a potem było tylko gorzej. Dla wyluzowanych Dziewczyn była tylko pełzającym robakiem. W najlepszym razie. Albo... narzędziem. Czy tu chodzi o Michaela? Bo jego status zmienił się w ciągu jednej nocy z „muzyka odludka” na „seksownego wampira”, a Monica nie miała nic przeciwko podrywaniu wampirów, prawda? - Chcesz pogadać Michaeliem? Monica spojrzała na nią dziwnie.

- Dlaczego miałabym rozmawiać z Michaeliem? On może chodzić po zakupy? Wychodzić w ciągu dnia?

- Och. - Inna odpowiedź nie przyszła Claire do głowy.

- Pomyślałam, że najpierw zastosujemy terapię zakupami, i potem się pouczymy - trajkotała Monica. - Zajrzemy do nowej kawiarni, nie do Common Grounds. Common Grounds zalatuje poprzednim stuleciem. Zresztą nie chcę stale chodzić na pasku Olivera. Teraz, kiedy przejął Ochronę nad naszą rodziną, do wszystkiego się wtrąca i

próbuję sprawdzać, jakie mam stopnie. Beznadzieja, nie?

- Ja...

- No weź, życie mi uratujesz. Naprawdę potrzebuję pomocy z ekonomii, a te dwie to tępaczki. - Monica lekceważącym machnięciem ręki podsumowała swoje przyjaciółki. - Poważnie. Chodź z nami. Proszę. Naprawdę przyda mi się twoja głowa. I chyba powinniśmy poznać się lepiej, nie sądzisz? Biorąc pod uwagę, jak się wszystko zmieniło?

Claire otworzyła usta, a potem je zamknęła bez słowa. Do tej pory, gdy Monica zapraszała ją na przejażdżkę, Claire odbywała ją na podłodze furgonetki, pobita i zastraszona.

Udało jej się wykrztusić:

- Wiem, że to zabrzmiało niegrzecznie, ale... Co ty, do cholery, wygadujesz?

Monica westchnęła i zrobiła skruszoną minę. Szczyt wszystkiego.

- Wiem, co sobie myślisz. Zachowywałam się jak suka i byłam dla ciebie wredna. Za co przepraszam. - Giną i Jennifer jak zgodny grecki chór pokiwały głowami i też wyszeptały, że przepraszają. - Było, minęło, prawda? Wszystko zapomniane?

Claire zgłupiała jeszcze bardziej.

- Ale dlaczego ty to robisz?

Monica wydeła pomalowane błyszczącym ustami, nachyliła się bliżej i zniżyła głos do poufalego, cichego szeptu:

- No cóż... Dobra, to nie tak, że miałam jakiś wypadek z głową i obudziłam się z myślą, że jesteś świetna. Ale teraz coś się zmieniło. A ja mogę pomóc. Mogę przedstawić ci tym ludziom, których naprawdę powinnaś znać.

- Żartujesz sobie. Jak to, coś się zmieniło?

Monica nachyliła się jeszcze bliżej.

- Podpisałaś.

A więc... wcale nie chodziło o Michaela. Claire po prostu zrobiła się... popularna. Bo teraz należała do Amelie. To było okropne.

- Och - wykrztusiła z trudem.

- Zaufaj mi - kusila Monica. - Przyda ci się ktoś, kto wie, co jest grane. Ktoś, kto pokaże ci, jak się w tym wszystkim poruszać.

Gdyby jedynymi osobami, które zostały przy życiu na tym świecie, byli Kuba Rozpruwacz i Monica Morrell, Claire raczej zaufałyby jemu.

- Przykro mi - powiedziała. - Mam inne plany. Ale... Dziękuję. Może innym razem.

Zatrzasnęła drzwi przed nosem zdumionej Moniki i pozamykała zamki. Podskoczyła, kiedy, oglądając się za siebie, dostrzegła Shane'a. Stał tuż za nią i patrzył, jakby widział ją pierwszy raz.

- Dziękuję?! - zaczął ją przedrzeźniać. - Ty dziękujesz tej suce? Za co, Claire? Za to, że cię pobiła? Za to, że cię próbowała zabić? Za to, że zabiła mi siostrę? Chryste. Najpierw Michael, teraz ty. Ja już was nie znam.

Shane odwrócił się na pięcie i odszedł. Słuchała jego ciężkich kroków, kiedy szedł przez salon, a potem po schodach, na górę. Dobięło ją znajorne trzaśnięcie drzwiami.

- Hej! - zawołała. - Ja po prostu byłam uprzejma!

ROZDZIAŁ 2

A więc? - spytała Eve, gdy odwoziła Claire na uczelnię - co to był za numer z Monicą? Znaczący może jednak powinnaś na nią uważać. I to bardziej niż do tej pory.

- Brzmiało to raczej szczerze. Sporo ją kosztowało, żeby tak przyjść się pokajać.

Eve spoglądała na Claire. To było jedno z tych znaczących spojrzeń, dwa razy bardziej skuteczne, jeśli rzuciła je dziewczyna z twarzą upudrowaną na biało, perfekcyjnie namalowanymi kreskami na powiekach i ustami w kolorze wiśni.

- W świecie Moniki przyjaźń oznacza robienie tego, na co ma ochotę Monicą, i to wtedy, kiedy Monicą ma na to ochotę. Jakoś mi nie wyglądasz na jedną z durnych lasek z jej orszaku.

- Nie! Nie o to chodzi. Ja nie powiedziałam, że zamierzam się z nią zaprzyjaźnić, tylko... No, sama pytałaś. - Claire skrzyżowała ramiona na piersiach i rozparła się w fotelu czarnego cadillaca Eve, rzucając jej uparte spojrzenie. - Ona nie jest moją przyjaciółką, okay? Ty jesteś mój ą przyjaciółką.

- A więc, kiedy Monicą zacznie przyprowadzać tłumek wielbicieli do stolika, przy którym się będziesz uczyć, wstaniesz i odejdziesz? Nie ma mowy. Jesteś na to o wiele za miła. Zanim się połapiesz, zaczniesz się z nimi prowadzić, a potem jeszcze zrobi ci się ich żal. Będziesz mi opowiadała, że Monicą nie jest w gruncie rzeczy wcale taka zła, po prostu ludzie jej nie rozumieją, i zanim się obejrzysz, będziecie sobie nawzajem plotły warkoczyki i chichotały na temat boys bandów. Claire udała, że ma odruch wymiotny.

- W życiu.

- Proszę cię. Ty wszystkich lubisz. Ty lubisz nawet mnie. Nawet Shane'a, a spójrzmy prawdzie w oczy. - Shane zachowuje się jak idiota, zwłaszcza ostatnio. - Eve zmrużyła oczy, zastanawiając się nad tym. - Zresztą co do Shane'a, jeśli jemu nie przejdzie, przysięgam, że dam mu po twarzy. Znaczący dam mu po twarzy, a potem będę szybko zwiewać.

Claire wyobraziła to sobie i o mało nie parsknęła śmiechem. Najsilniejszy cios Eve by pewnie tylko zdziwił Shane'a, stwierdziła, ale oczyma wyobraźni widziała na jego twarzy ten wyraz osłupienia i urażonej niewinności: „Co ja znowu zrobiłem, u licha?”

- Nie jestem popularna - oświadczyła. - Monicą nie jest mój ą przyjaciółką i ja nigdzie się z nianie wybieram, nigdy, koniec gadania.

- Przysięgasz? Claire uniosła dłoń.

- Przysięgam.

- Hm. - Eve nie miała przekonanej miny. - No dobra.

- Słuchaj, a skoro jesteśmy przyjaciółkami, to może postawisz mi mochę?

- Naciągaczka.

- To ty masz pracę.

Po południu zaczęło padać - rzecz dość niezwykła. Claire, jak mniej więcej dziewięćdziesiąt procent studentów, nie pomyślała o zabraniu parasolki, więc z nieszczęśliwą miną szła w deszczu przez Kwadrat do pracowni chemicznej, mijając puste ławki i mokre tablice ogłoszeniowe. Uwielbiała pracownię chemiczną. Deszczu nienawidziła. Nienawidziła, kiedy przemakała do suchej nitki, a, szczerze mówiąc, mieszkając w tej części Teksasu, raczej rzadko bywała na to narażona. W plecaku nie miała miejsca na płaszcz przeciwdeszczowy. Martwiła się, że książki jej zawilgotnieją, ale plecak podobno był wodoodporny...

- Chyba zmarzłaś - odezwał się ktoś tuż za nią, a potem deszcz przestał na nią padać i usłyszała głuchy odgłos kropeł uderzających o materiał. Claire uniosła wzrok, wytarła oczy i zobaczyła nad sobą wielki parasol. Był tak wielki, że zmieściłyby się pod nim cztery dziewczyny... Lub ona jedna plus ten facet, który parasol trzymał. Bo facet był wielki. I bardzo przystojny, tak jak przystojni bywają czasem futboliści. Przy nim nawet Shane wyglądałby jak chuchro. Ale zbudowany był proporcjonalnie. Musi mieć więcej niż metr dziewięćdziesiąt, pomyślała.

Miał czekoladowo brązową skórę i śliczne brązowe oczy, i wydawał się... taki sympatyczny.

- Jestem Jerome - przedstawił się. - Cześć.

- Cześć - odparła nadal zaskoczona, że ktoś, kto najwyraźniej był kimś, osłonił ją przed deszczem. - Dzięki. Hm, ja jestem Claire. Miło mi.

Przełożyła ociekający wodą plecak do drugiej ręki i podała mu prawą. Ujął ją i uściskał. Jego dłoń była ze trzy razy większa, na tyle duża (mogła się założyć), że piłka futbolowa prawie cała by się w niej zmieściła.

Miał na sobie koszulkę sportowej reprezentacji TPU. Nietrudno było zgadnąć, w czym się specjalizuje.

- Dokąd idziesz, Claire?

- Do pracowni chemicznej. - Wskazała ręką budynek po drugiej stronie Kwadratu. Pokiwał głową i ruszył w tamtą stronę.

- Słuchaj, to bardzo miło z twojej strony, ale nie musisz...

- To żaden problem. - Uśmiechnął się do niej. Miał dołeczki w policzkach. - Słyszałem, że w budynku nauk ścisłych jest fajnie o tej porze roku. Poza tym dla przyjaciół wszystko.

- Ale ja nie jestem...

Jerome skinął głową w stronę grupki dziewczyn skulonych pod daszkiem wejścia do budynku języków. Ładnych dziewczyn. Była wśród nich Monica Morrell, która przesłała Jerome'owi pocałunek.

- Och - powiedziała Claire. - Takich przyjaciół. - Jej ocena wystawiona Jerome'owi obniżyła się o kilkanaście stopni, walnęła o ziemię i zaczęła przekopywać się w stronę Chin.

- Słuchaj, doceniam twoją troskę, ale nie jestem z cukru. Nie roztopię się.

Odwróciła się na pięcie i szybko odeszła. Po chwili Jerome znów trzymał nad jej głową parasol. Spojrzała na niego.

- Mogę się tak bawić cały dzień.

- Super - powiedziała. - Ale ja nie potrzebuję przysług od Moniki.

- Dziewczyno, to tylko parasol, nie lamborghini - stwierdził. O wiele za rozsądnie. - Ja ci go nawet nie pożyczam. Więc to nie taka znów wielka łaska.

Zacisnęła zęby, opuściła głowę i szła szybko przed siebie. Jerome przystanął przy wejściu do budynku nauk ścisłych, a ona wbiegła po schodach i schowała się pod daszkiem, gdzie tłoczyli się inni studenci. Obejrzała się. Jerome uśmiechnął się i pomachał jej, a wtedy dostrzegła błysk bransoletki z miedzi albo z brązu.

A więc miał Ochronę. Pewnie urodził się w Morganville.

Nie jestem jej przyjaciółką. To nie moja wina, tłumaczyła się w myślach przed Eve.

A potem kichnęła, pociągnęła nosem i powlokła się na zajęcia.

Deszcz padał cały dzień i całą noc, ale następnego dnia świt był jasny i słoneczny, a blade srebrzyste słońce świeciło nieco słabiej, niż Claire się spodziewała. W sumie było przyjemnie. Claire zdążyła wziąć prysznic, zanim Eve przyczłapała do łazienki - wyglądała na jeszcze mniej żywą niż większość wampirów. Eve mruknęła coś i zignorowała Claire, na nowo odkręcając wodę. Claire zeszła na dół. Zastąpiła Michaela przy ekspresie do kawy, opróżnił pojemnik z fusów. Dziwne, ale jako wampir zaczął wstawać wcześniej. Może po prostu sprawiało mu przyjemność, że znów może się cieszyć porankami i nie zamieniać o świcie w ducha.

- Eve wstała. Lepiej zaparz taką mocną, żeby rozpuszczała łyżeczki.

Michael rzucił Claire lekki uśmiech, tak zabójczy, że dziewczynom zapierało dech

w piersi.

- Aż tak źle, hm?

Zastanowiła się przez chwilę, wyjmując miseczkę i pudełko rice crispies. W lodówce za piwem przemyconym przez Shane'a znalazła mleko.

- Oglądałeś ten film, w którym zombie zjadają ludziom mózgi?

- Noc żywych trupów!

- Te zombie zwiałyby na widok jej miny.

Michael dosypał parę dodatkowych łyżeczek kawy do filtra. Nieźle wygląda, pomyślała Claire. Silny, wysoki, pewny siebie. Miał na sobie ładną niebieską koszulę i nawet nie za bardzo zniszczone džinsy i włożył buty. Sportowe, fakt, ale zawsze buty. Claire wytrzeszczyła oczy na jego stopy.

- Wychodzisz - stwierdziła.

- Dostałem pracę w JT's Music na Trzeciej ulicy. Od dziesiątej do zamknięcia będę demonstrował i sprzedawał gitary, ale JT powiedział, że mogę udzielać prywatnych lekcji, jeśli będę miał ochotę.

To było takie... normalne. Naprawdę normalne. A Michael wydawał się taki szczęśliwy. Claire zagryzła wargę i próbowała jakoś uporządkować pytania, które cisnęły się jej na usta.

- Ale... co ze słońcem? - spytała. Bo to wydawało się jej największym problemem.

- Przydzielili mi samochód - wyjaśnił Michael. - Stoi w garażu. Chroni przed słońcem. A w JT's jest podziemny parking.

- Przydzielili... Kto przydzielił ci samochód? - Rzucił jej spojrzenie mówiące: „Nie jesteś taka głupia”. - Miasto? Amelie?

Nie odpowiedział wprost. Założył filtr do ekspresu i nacisnął przycisk. Ekspres zaczął syczeć, a do dzbanka spływały krople kawy.

- Powiedzieli mi, że to standard - wyjaśnił. - Dla nowych wampirów.

- Jesteś pierwszym nowym wampirem od pięćdziesięciu lat, prawda?

Wzruszył ramionami. Wyraźnie czuła, że swoimi pytaniami stawia go w niezręcznej sytuacji, ale i tak nie mogła się powstrzymać.

- Dowiedziałeś się, dlaczego... Dlaczego od tak dawna żadnego nie było?

- Wydaje mi się, że analizowanie tej kwestii teraz to nie jest dobry pomysł.

Rozumiała to - i rozumiała, że jego uwaga i do niej się odnosi - ale jakoś nie mogła się powstrzymać od zadawania pytań.

- Michael... Pracę też oni ci załatwili?

- Nie. Znam JT. Pracę załatwiłem sobie sam. Proponowali mi... - Michael urwał. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że już i tak powiedział za dużo.

Claire dokończyła za niego.

- Proponowali ci pracę w społeczności wampirów. Tak?

Albo... O Boże. Albo zaproponowali, żebyś został czyimś Opiekunem?

- Nie tak od razu - powiedział, wciąż wpatrując się w ekspres do kawy. - Na to trzeba sobie zapracować. Tak przynajmniej mówią.

Michael. Jako właściciel ludzi. Pobierający część ich zarobków jak jakiś mafijny boss. Próbowала nie okazać mu, jakim niesmakiem napawa ją myśl, że mógłby kiedyś brać takie rozwiązanie pod uwagę.

Zerknął w jej stronę, jakby czytając jej w myślach.

- Nie zrobiłem tego. Znalazłem pracę u JT, Claire - powiedział i nagle znalazł się obok niej. Drgnęła, a on głęboko odetchnął i wyciągnął rękę w jej stronę w geście przeprosin. - Przepraszam. Czasami zapominam... No wiesz, trudno nauczyć się, jak poruszać się przy ludziach, skoro mogę to robić znacznie szybciej. Ale nie skrzywdziłbym ciebie, Claire. Nie ma mowy.

- Shane uważa...

W oczach Michaela zabłysło na chwilę dziwne, przerażające światełko, a potem równie szybko zgasło. Wyraźnie starał się panować nad głosem i mówić spokojnie.

- Shane nie ma racji - oznajmił. - Ja się nie zmieniam, Claire. Nadal jestem waszym przyjacielem. Będę się wami opiekował. Wszystkimi. Shane'em też.

Nie odpowiedziała mu. Prawdę mówiąc, chociaż bardzo go lubiła, prawie się w nim podkochiwała, dzisiaj wyczuwała w nim coś odmiennego. Coś skomplikowanego, niespokojnego i dziwnego.

Może on był... głodny? Wpatrywał się w nią. Nie, wpatrywał się w jej skórę na szyi, prawda? Claire nie zdążyła się powstrzymać i odruchowo dotknęła dłonią tego miejsca, a Michael zarumienił się i odwrócił wzrok.

- Nie zrobiłbym tego - powiedział tonem zupełnie innym niż przedtem. Prawie jakby był przestraszony. - Claire, nie zrobiłbym tego. Musisz mi uwierzyć. Ale... To nie jest łatwe. To bardzo - trudne.

Uwierzyła mu, przede wszystkim dlatego, że słyszała w jego głosie ból i żal. Odetchnęła głęboko, podeszła i uściskała go. Był wysoki, ledwie sięgała mu do brody. Jego uścisk był mocny i dawał poczucie bezpieczeństwa, a Claire tłumaczyła sobie, że Michael wydaje się chłodny, bo w kuchni jest zimnawo. To nie była prawda, ale trochę

pomogło.

- Nie skrzywdziłbym cię - mruknął. - Ale muszę przyznać, miałbym ochotę. Całe życie nienawidziłem wampirów, a teraz... Popatrz na mnie.

- Musiałeś - przypomniała mu Claire. - Nie miałeś innego wyjścia.

Jego westchnienie poczuła całym ciałem.

- To nieprawda - zaprzeczył. - Shane ma rację... Miałem wybór. Ale właśnie takiego wyboru dokonałem i teraz muszę jakoś z tym żyć.

Wypuścił ją z ramion, kiedy się cofnęła. Żadne z nich nie wiedziało, co ma powiedzieć, więc Claire zajęła się otwieraniem kuchennych szafek i wyjmowaniem miseczek, z których korzystali rano. Michaela była ze zwykłej, gładkiej kamionki, wielka, zupełnie jak miska obiadowa faceta na sterydach. Eve jadła z malutkiej, czarnej miseczki z rysunkiem komiksowego, ziewającego wampira. Na miseczce Shane'a był rysunek radosnej mordki z krwawą dziurą po kuli na środku czoła. Claire przywłaszczyła sobie tę z Goofym i Myszką Miki.

- Jak na uczelni? - spytał Michael. Neutralne tematy. Nie chciał mówić o swoich sprawach, wolał je zatrzymać dla siebie.

Nie była specjalnie zdziwiona. Michael zawsze był zamknięty w sobie, dla własnego dobra, o ile zdążyła się zorientować.

- Za łatwo - westchnęła i zaczęła nalewać kawę.

Siedzieli przy stole i popijali aromatyczny napój, kiedy drzwi otworzyły się i do kuchni wszedł Shane, ubrany w spodnie od piżamy i starą, wyblakłą koszulkę. Nie spojrzał na Michaela, wziął swój kubek i napełnił kawą. A potem wyszedł bez słowa.

Michael patrzył w ślad za nim z twarzą ściągniętą i surową. Claire uznała za stosowne przeprosić go.

- On tylko...

- Wiem - przerwał jej Michael. - Wierz mi, dobrze wiem, co czuje Shane. Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać.

Ja naprawdę muszę przestać robić za Ambasadora Dobrej Woli w Domu Glassow, pomyślała Claire, ale wiedziała, że i tak będzie dalej robiła to samo. Przecież ktoś musiał to robić. Więc kiedy wypila kawę, poszła porozmawiać z Shane'em.

Drzwi jego pokoju były lekko uchylone. Claire pchnęła je i weszła do środka, a potem stanęła jak wryta. Cała starannie przygotowana mówka wyparowała jej z głowy, bo Shane właśnie się ubierał.

Jego widok sprawił, że zapomniała, po co przyszła. Shane stał do niej tyłem, włożył

już dzinsy, ale był bez koszuli. Jak zakochana obserwowała jego plecy, cudowną gładkość skóry, włosy, które aż prosiły się, żeby je przeczesać palcami...

Odgłos zasuwania zamka błyskawicznego przywrócił jej przytomność umysłu. Szybko wycofała się na korytarz, przymknęła drzwi, a potem zapukała.

- Czego? - To nie była zbyt przyjazna reakcja.

- To ja - powiedziała. - Mogę wejść?

Usłyszała coś pomiędzy mruknięciem a westchnieniem i, otwierając drzwi, zobaczyła, że Shane wciąga przez głowę ciemnoszarą bluzę. Było mu w niej bardzo dobrze. Nie tak dobrze jak bez bluzy, ale o tym próbowała nie myśleć. Bo robiło jej się od tego ciepło i dziwnie.

- To nowa bluza? - spytała, desperacko usiłując odwrócić własną uwagę od sugestywnych obrazów, jakie podsuwała jej wyobraźnia. W odpowiedzi usłyszała kolejne niewyraźne mruknięcie. - Fajnie wygląda.

Shane spojrział na nią z ironią.

- Teraz będziemy gadać o ciuchach? Czeka, tylko wezmę swój egzemplarz Mody dla żółtodziobów.

- Ja... Nieważne. Co do Michaela...

- Zostaw to. - Shane podszedł i pocałował ją w czoło. - Ja wiem, nie chcesz, żebym się go czepiał, ale nic nie poradzę. Daj mi trochę czasu, dobra? Muszę sobie parę spraw poukładać.

Claire odchyliła głowę do tyłu i tym razem pocałował ją w usta. Pomyślała, że to miał być słodki i szybki buziak, ale jakoś przerodził się w pocałunek długi, cieplejszy i głębszy. Shane wargi miał wilgotne i miękkie jak jedwab. Kontrastowały z muskularnym ciałem, z mocnymi dłońmi obejmującymi ją w talii i przyciągającymi do siebie jeszcze bliżej. Shane wydał z siebie jęk, od którego kolana jej się ugięły i zrobiło się słabo.

Przerwał pocałunek, z trudem łapiąc oddech.

- Tobie też dzień dobry. Rany, nawet nie umiem się dłużej wściekać, kiedy robisz coś takiego.

- Jakiego? - spytała z miną niewiniątka. Nie czuła się niewinna. Nie czuła się też wcale jak szesnastolatka, a właściwie prawie siedemnastolatka. Przy Shanie zawsze czuła się starsza. O wiele starsza. Gotowa na wszystko. Dobrze, że Shane nie był tak głupi jak jej hormony.

- Jeśli nie chcesz zostać w domu i urwać się z zajęć, to raczej nie zaczynajmy

rozmowy na ten temat - westchnął i poruszył brwiami. - No co? Chcesz urwać się z zajęć i całować?

Dała mu kuksańca w ramię.

- Nie.

- Jesteś strasznie dziwną dziewczyną. Auć - powiedział tonem, który wskazywał, że w ogóle uderzenia nie poczuł. - Jedziesz z Eve?

- Jeśli wyjdzie z fazy warczącego kanibala, to owszem. Pewnie za jakieś dwa następne kubki kawy.

- Jesteś pewna, że niepotrzebny ci ochroniarz? - Mówił serio. Shane nie miał pracy - nie była pewna, czy mógłby jakąś znaleźć po tym, co jego tata nawywijał w Morganville. Pewnie lepiej, żeby przez jakiś czas nie rzucał się w oczy. Im mniej wampirów - oraz ich popleczników - będzie miało z nim teraz kontakt, tym lepiej dla Shane'a. Nadal uważano go za konspiratora zaangażowanego w plan zemsty jego taty, tyle że niepostawionego przed sądem, i chociaż burmistrz podpisał dokument oficjalnie uwalniający go z zarzutów, nikomu się to nie podobało.

A wypadki chodzą po ludziach.

- Nie potrzebuję ochroniarza - stwierdziła Claire stanowczo. - Nikt nie będzie mnie próbował napadać. Nawet Monica nagle zrobiła się wobec mnie bardzo przyjacielska.

Zareagował ostrym spojrzeniem, które klóciło się z tymi czerwonymi, aż proszącymi o pocałunek ustami.

- Tak. Ciekawe dlaczego?

Wzruszyła ramionami, unikając patrzenia mu w oczy.

- Nie wiem.

Uniósł jej brodę jednym palcem.

- A więc już jesteśmy w tej fazie związku, kiedy się kłamie?

Zwykle przychodzi po podniecającym, gorącym, pełnym seksu miesiącu miodowym.

Pokazała mu język, a on pochylił się i - ku jej przerażeniu - liznął go.

- Uch!

- To go nie wystawiaj. - Shane się uśmiechnął. - Jeśli będziesz włączyć do mojego pokoju i mnie kusić, to czeka cię kara.

Zdejmujesz jedną sztukę ubrania co minutę.

- Zbok.

Wskazał na siebie ręką.

- Mężczyzna, lat osiemnaście. O co ci chodzi?

- Jesteś taki...

- Hej, słuchaj, masz jakąś miniowe i podkolanówki? Bo mnie bardzo nakręca...

Pisnęła i złapała go za ręce, a potem zerknęła na zegarek.

- O cholera... Naprawdę muszę spadać. Przepraszam. Posłuchaj, ty nie... Wszystko okay, prawda?

Uśmiech zniknął, został po nim tylko cień w ciemnych, tajemniczych oczach.

- Spokojnie - powiedział Shane. - Nic mi nie będzie. Uważaj na siebie, Claire.

- Ty też. - Claire ruszyła do drzwi, ale usłyszała za sobą jego kroki i odwróciła się; przycisnął ją do ściany, uniósł jej głowę i wycałował Claire tak, że pod powiekami zobaczyła światło, a nogi zaczęły się pod nią uginać.

Kiedy znów mogła złapać oddech, a on odsunął się, między ich wargami zostały ze dwa centymetry wolnej przestrzeni, aż sapnęła.

- To było na pożegnanie?

- Przypomnienie, że masz niedługo wrócić do domu. - Odsunął ją od ściany. - Poważnie, Claire. Uważaj na siebie. Ja się martwię.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. Kolana nadal miała jak z waty, a to światło pod powiekami i chóralne śpiewy wcale nie chciały zniknąć. - A przy okazji, najlepszy pocałunek jak do tej pory.

Uniósł brwi.

- Tyje oceniasz?

- Sam zacząłeś. A ja ocen nie zawyżam.

Niechętnie go zostawiła. Poszła po plecak i sprawdzić, czy Eve nadal miała nastrój na pożeranie ludzkich mózgów, czy też może ją już odwieźć na uczelnię.

ROZDZIAŁ 3

Poranne zajęcia były niezłe, a przerwy Claire spędzała w kawiarni Centrum Uniwersyteckiego, gdzie Eve pracowała w barze. Świetnie się sprawdzała w tej pracy - spokojna, sprawna, pozornie zupełnie nieczuła na durne wymagania i chamstwo wielu studentów. Claire zauważyła, że większość tych nieuprzejmych miała Ochronę. Eve nie zdecydowała się podpisać z żadnym wampirem kontraktu, który by jej zapewniał Ochronę, i ci, którzy taką Ochronę mieli, patrzyli na nią z góry.

A może po prostu byli wredni. Co było bardzo prawdopodobne. Ludzie też bywają aroganckimi kretynami.

Eve pracowała dzisiaj z jakąś dziewczyną, której Claire nie знаła. Miała długie i proste brązowe włosy, które połyskiwały jak zasłona, kiedy się poruszała. Nosiła je rozpuszczone na ramiona, ale Claire uznała, że to zupełnie w porządku, skoro nie nalewała napojów, tylko przyjmowała zamówienia i gotówkę. Na jej służbowej plakietce widniało imię „Amy”. Wyglądała słodko i pogodnie. Gawędziły z Eve jak przyjaciółki i bardzo dobrze; Eve czegoś takiego potrzebowała. Claire zabijała czas między zajęciami, przeglądając podręcznik do literatury brytyjskiej - nuda - albo czytając o zaawansowanej teorii strun - zero nudy. Podobał jej się pomysł wibrujących strun jako podstawy wszystkiego; to, że świat miał się składać z różnych wibrujących powierzchni. Dzięki temu stawał się bardziej... ekscytujący.

Jej zegarek zapikał, dając znać, że powinna już iść na zajęcia, więc spakowała swoje rzeczy, pomachała ręką Amy i Eve i wybiegła z Centrum Uniwersyteckiego na południowe słońce.

Oślepiąca jego blaskiem wpadła na Monice. Dosłownie, bo Monica wchodziła właśnie po schodach, z których Claire zbiegała. Claire odruchowo podtrzymała dziewczynę, która straciła równowagę, a potem pomyślała: Co ja robię najlepszego? Bo Monica śmiała się, kiedy Claire spadała ze schodów.

- Uważaj, kretynko! - warknęła Monica, a potem się opamiętała. - Claire? Och, cześć. Śliczna bluzka!

Claire spojrzała po sobie, zaskoczona. To wcale nie była śliczna bluzka. Nie miała zresztą ubrań, które sama określiłaby słowem „śliczne”, a już zdecydowanie standardów Moniki żadne z jej ciuchów by nie spełniały.

- Idziesz na zajęcia? - ciągnęła Monica. - Szkoda, postawiłabym ci mochę.

- Ja... Hm... Tak, mam zajęcia. - Claire obeszła ją i chciała zejść po schodach, ale

Monica zastąpiła jej drogę. Uśmiechała się przyjaźnie, ale uśmiech nie obejmował dużych, ładnych oczu. - Spóźnię się.

- Jedna sprawa - powiedziała Monica i ściszyła głos. Claire przyszło do głowy, że chyba po raz pierwszy widzi Monice samą, bez obstawy Giny i Jennifer, i bez orszaku wielbicieli.

- W piątek wieczorem robię imprezę. Możesz przyjść? W domu rodziców. Tu masz adres. - Zanim Claire zdążyła zareagować, Monica wcisnęła jej do ręki kartkę. - Zatrzymaj to dla siebie, dobra? Zapraszam tylko wybrane osoby. Aha, i włóż coś ładnego, to będzie formalna okazja.

A potem Monica minęła ją, weszła lekkim krokiem po schodach i dołączyła do grupki roześmianych i rozgadanych dziewczyn i razem z nimi weszła do atrium Centrum Uniwersyteckiego.

Wybrane osoby? Claire spojrzała na kartkę, zastanowiła się, czyjej nie wyrzucić, a potem schowała ją jednak do kieszeni.

Może trafiała się właśnie znakomita okazja przekonać Monice, że nigdy nie będzie jej przyjaciółką.

Szła szybkim krokiem, ale rozglądała się wkoło uważnie. Kiedy zauważyła facetów, których szukała, skręciła z chodnika na trawnik.

Maniacy gier. Komputerowcy. Przez większość popołudnia siedzieli na powietrzu, przesuwali pionki po skomplikowanych z wyglądu planszach i rzucali kośćmi do gry. Widziała ich tu codziennie od tygodni i przez ten czas ani razu nie zauważyła wśród nich ani jednej dziewczyny; oni nawet nie próbowali zaczepiać dziewczyn. Teraz, kiedy odchrząknęła, zaczęli się na nią gapić, jakby była istotą z innej planety, jednej z tych, które widniały na ich planszy do gry.

- Cześć - przywitała się, wyciągając kartkę. - Mam na imię Monica. W piątek wieczorem robię imprezę. Jesteście zaproszeni. I możecie powiedzieć kumplom.

Jeden z nich wziął kartkę. Inny mu ją wyrwał, przeczytał i powiedział:

- Super. Serio?

- Serio.

- A możemy jeszcze parę osób zaprosić?

- Ile tylko chcecie.

Claire poszła na zajęcia.

- Claire Danvers?

To były ostatnie zajęcia. Claire drgnęła i uniosła wzrok znad zeszytu. Profesor

zwykle nie sprawdzał listy. Wydawało się, że jest mu obojętne, kto przychodzi na jego wykład. Czasami nie pojawiał się prawie nikt. Dzisiaj było dziesięć osób. Przychodzenie można było sobie darować, bo profesor Jak - Mu - Tam wykładał ze slajdów w PowerPointcie, punkt po punkcie, a zaraz po wykładzie udostępniał tę prezentację na swojej stronie internetowej. Nic dziwnego, że ludzie się zrywali.

Uniosła rękę, zastanawiając się, co się właściwie dzieje. Z poczuciem winy przypomniawszy sobie o zaproszeniu na imprezę Moniki Brygady Komputerowców, ale nie, przecież tego nie mogli wykryć aż tak szybko. A poza tym kogo poza Monica to obchodziło?

Profesor - siwy, znużony i znudzony - patrzył na nią przez chwilę, jakby jej nie poznawał, a potem powiedział:

- Jesteś proszona do administracji, gabinet 317. Idź od razu.

- Ale... - Claire chciała zapytać, o co chodzi, ale on już o niej zapomniał i wrócił do swojego PowerPointa. Wcisnęła książki do plecaka, znów się zastanowiła, czego mogą od niej chcieć, i wyszła z sali bez większego żalu.

W budynku, w którym mieściła się administracja, była dokładnie trzy razy - raz, żeby się zarejestrować, drugi raz, żeby złożyć dokumenty potrzebne do wyprowadzenia się z kampusu, I trzeci raz, chcąc z uczelni zrezygnować. Budynek wyglądał jak każdy budynek administracyjny na każdej uczelni - brudny i funkcjonalny, pełen zmęczonych, zręczliwych pracowników i biur, na których piętrzyły się segregatory z papierami. Minęła biuro dziekana na parterze i weszła na piętro. Było tam spokojniej, ale i tak wielu ludzi rozmawiało, stukano w klawiaturę komputerów, szumiały drukarki.

Na drugim piętrze było tak cicho, że dałoby się słyszeć czyjś szept. Claire ruszyła korytarzem. Nie słyszała nawet żadnych odgłosów zza okien, chociaż widziała ludzi spacerujących i rozmawiających pod budynkiem i samochody wolno jadące ulicą. Pokój numer 317 znajdował się na końcu korytarza, na którym wszystkie wypolerowane drewniane drzwi były pozamykane.

Zapukała do pokoju numer 317 i pomyślała, że chyba słyszy, jak ktoś mówi: „Proszę”, więc przekręciła gałkę drzwi i weszła... W mrok. W całkowitą aksamitną ciemność, w której natychmiast straciła orientację. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i już nie mogła ich znaleźć. Przesuwała dłonią po czymś, co wydawało się gładką ścianą.

Gdzieś za nią zabłysło jakieś światelko i obejrzała się za siebie. Zobaczyła płomyk zapalki, a potem knot świecy zajmujący się ogniem. W jego blasku twarz Amelie

jaśniała jak idealna kość słoniowa.

Wiekowa wampirzyca wyglądała tak samo jak poprzednio: chłodna, wyniosła, blada, z jasnymi włosami uczesanymi w elegancki kok, którego nie udałoby się upiąć bez pomocy służby. Miała na sobie biały jedwabny kostium, a jej cera była bez zarzutu. Claire nie umiałaby powiedzieć, czy miała makijaż. W niemal kompletnej ciemności jej oczy były dziwne... Świetliste, nie całkiem ludzkie i bardzo piękne.

- Przyjmij przeprosiny za to przedstawienie - powiedziała Amelie i uśmiechnęła się do niej. To był bardzo sympatyczny uśmiech. Mama Claire bardzo lubiła film Hitchcocka Okno na podwórze, i teraz Claire uderzyła myśl, że gdyby Grace Kelly skończyła jako wampirzyca, dokładnie tak by wyglądała. Zimna jak lód i perfekcyjna. - Nie zwracaj sobie głowy szukaniem drzwi.

Zniknęły, dopóki sobie nie zażyczę, żeby się znów pojawiły.

Puls Claire przyspieszył i wiedziała, że Amelie to zauważyła, chociaż tego nie skomentowała. Zgasiła tylko zapalną i odłożyła na srebrną podstawkę stojącą na stole obok świecy. Oczy Claire stopniowo przyzwyczajają się do ciemności. Stała w stosunkowo niewielkim pokoju jakiejś biblioteki, w której książki stały na regałach w dwóch rzędach, piętrzyły się stosami na ich szczytach, w kątach pokoju tworzyły zigguraty. Tyle tu było książek, że całe pomieszczenie pachniało starym papierem. Na ścianach, pomijając tę, od strony której weszła Claire, nie było ani skrawka miejsca, które nie byłoby zajęte półkami zapchanymi książkami, uginającymi się od książek.

- Witam - odpowiedziała Claire nieśmiało. Nie widziała Amelie od chwili podpisania dokumentów w sprawie Ochrony i włożenia ich, zgodnie z instrukcją, do skrzynki pocztowej na ulicy. Oczekiwała jakiejś wizyty, a tu... nic. - Hm... Jak powinnam się do pani zwracać?

Amelie uniosła delikatne brwi, blade na jej bladej twarzy.

- Zdaję sobie sprawę, że nie pamięta się już o dobrych manierach, ale wydaje mi się, że znasz przynajmniej jeden grzecznościowy zwrot, który byłby do przyjęcia.

- Proszę pani... - wyjąkała Claire. Amelie skinęła głową.

- Tak wystarczy. - Zapaliła kolejną świecę. W tym świetle, migoczącym, ale dającym wrażenie ciepła i przytulności, zrobiło się jaśniej. Claire dostrzegła w mroku kolejne drzwi, niewielkie, ze staroświecką klamką. W zamku tkwił spory uniwersalny klucz. W pokoju nie było nikogo innego poza nią i Amelie.

- Wezwałam cię, żeby omówić kwestię twoich studiów - zaczęła Amelie i usiadła na krześle ustawionym po drugiej stronie stołu. Od strony Claire żadnego krzesła nie

było, więc stanęła tam, skępowana. Plecak postawiła na podłodze i splotła dłonie przed sobą.

- Tak, proszę pani. - Claire prawie dygnęła. - Ma pani zastrzeżenia do mojej średniej? - Średnia cztery zero uważana była za przyzwoitą.

Amelie tylko pomachała ręką.

- Nie mówiłam o twoich zajęciach, mówiłam o studiach. Nic dziwnego, że miejscowa uczelnia wydaje ci się poniżej twoich możliwości. Mówi się, że jesteś naprawdę wybitnie uzdolniona.

Claire nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, więc nie powiedziała nic. Żałowała, że nie może usiąść. Żałowała, że nie może powiedzieć czegoś uprzejmego i wrócić na zajęcia, i już nigdy, przenigdy nie oglądać Amelie, bo chociaż wampirzyca była pozornie sympatyczna i uprzejma, to było w niej jednak coś zimnego jak lód. Coś niepokojąco nieludzkiego.

- Chciałabym, żebyś zaczęła indywidualną naukę pod kierunkiem mojego przyjaciela - kontynuowała Amelie. - Oczywiście na zaliczenie. - Rozejrzała się z leciutkim uśmiechem. - To jego biblioteka. W mojej panuje porządek.

Claire ścisnęło w gardle.

- Ten przyjaciel to... hm... wampir?

- A czy to jakiś problem? - Amelie splotła dłonie na blacie stołu. Płomienie świec migotały w jej oczach.

- Nie, proszę pani. - Tak! Boże, nie umiała sobie nawet wyobrazić, co na to powie Shane.

- Uważam, że wyda ci się ogromnie interesujący, Claire. To faktycznie jeden z najbłyskotliwszych umysłów, jakie spotkałam w swoim długim życiu, a w swoim czasie nauczył się tak wiele, że nigdy nie zdoła swojej wiedzy przekazać. A do przekazania ma mnóstwo. Szukałam dla niego odpowiedniego ucznia, kogoś, kto szybko pojmie odkrycia, jakich dokonał, i będzie mógł asystować mu w pracy naukowej.

- Och - szepnęła słabo Claire. A więc... jakiś stary wampir.

Nie miała zbyt dobrych doświadczeń ze starszymi wampirami.

Jak Amelie. Bywały zimne i dziwne, a w większości też okrutne.

Jak Oliver. O Boże, ale ona chyba nie mówiła o Oliverze, prawda?

- Kto...?

Amelie opuściła wzrok. Tylko na moment, ale zaraz potem spojrzała Claire w oczy

i się uśmiechnęła.

- Nie znasz go. A przynajmniej nie poznaliście się oficjalnie. Na imię ma Myrnin. To jeden z moich najdawniejszych przyjaciół i sprzymierzeńców. Pojmij, Claire, że swoim zachowaniem, włącznie z zawarciem ze mną kontraktu, zdobyłaś moje zaufanie. Nie obdarzyłabym takim zaszczytem nikogo, kto nie byłby tego wart.

Pochlebstwo. Claire umiała je rozpoznać i wiedziała, że nieco cieplejszy ton głosu Amelie był pewnie wykalkulowany, ale i tak na nią podziałał. Bała się trochę mniej.

- Myrnin - powtórzyła.

- To stare imię - zgodziła się Amelie w odpowiedzi na pytanie, które zabrzmiało w głosie Claire. - Stare i teraz już zapomniane. Ale kiedyś był wielkim uczonym, znanym i poważanym. Jego praca nie powinna ulec podobnemu zapomnieniu.

Coś było w tym wszystkim dziwnego, ale Claire za bardzo się denerwowała, żeby domyślić się, co Amelie mogła próbować jej przekazać. Albo czego powiedzieć nie chciała. Usiłowała przełknąć coś, co ją dławiło w gardle, ale miało rozmiar bajkowego zatrutego jabłka i robiło się coraz większe. Zdołała tylko pokiwać głową.

Amelie się uśmiechnęła. Ten uśmiech był nieco sztuczny, wyćwiczony przed lustrem. Claire pomyślała, że uśmiech nie jest po prostu dla niej naturalnym wyrazem twarzy. I faktycznie, po kilku sekundach zniknął, nie zostało po nim ani śladu.

- Jeśli jesteś gotowa...

- Teraz? - Claire bezradnie obejrzała się na ścianę za plecami. Nie było w niej drzwi, a to znaczyło, że nie ma dokąd się wycofać. Więc nie miała wyboru.

Ale Amelie i tak nie czekała na odpowiedź. Jak Królowa Śniegu - och, jak Nieumarła Grace Kelly - wstała i podeszła do tych drugich, mniejszych i niższych drzwi z kluczem w zamku. Przekręciła klucz, wyjęła go i przez chwilę na niego spoglądała, zanim wręczyła go Claire.

- Zatrzymaj go - poleciła. - Zostaw, proszę, swój a torbę na książki tutaj. Nie chciałabym, żebyś jej zapomniała. Wyjdiesz przez te same drzwi, którymi tu weszłaś.

Palce Claire zacisnęły się na kluczu. Czowała chropawy, zimny metal. Wcisnęła klucz do kieszeni dzinsów, a Amelie szeroko otworzyła drzwi i oparła jej plecak o najbliższy regał.

- Myrnin? - Głos Amelie zabrzmiał cicho i łagodnie. - Myrnin, przyprowadziłam dziewczynę, o której ci opowiadałam. Ma na imię Claire.

Claire знаła ten ton. Takim tonem mówiło się do starszych, schorowanych osób, które już nie bardzo rozumieją, co się wokół nich dzieje. Do ludzi, o których myślisz,

że niedługo może już ich zabraknąć. W ustach Amelie brzmiało to wyjątkowo dziwnie, bo przecież w tym cichym głosie dało się też dosłyszeć uczucie. Wampiry potrafią kochać? No cóż, jasne, pomyślała. Przecież Michael może, prawda? A więc dlaczego nie Amelie?

Claire wyszła zza pleców Amelie, ponaglona przez wampirycę władczyim gestem, i niespokojnie rozejrzała się po pomieszczeniu. Było wielkie i zagracone. Nowiuteńki, szeroko - ekranowy laptop z wygaszaczem ekranu w postaci tancerki tańczącej taniec brzucha. Liczydło. Zestaw do doświadczeń chemicznych, który wyglądał jak wzięty prosto z jakiegoś starego filmu o Sherlocku Holmesie. Kolejne książki, bezładnie spiętrzone i blokujące przejście, ułożone w stosy na każdym stole. Lampy - niektóre elektryczne, niektóre na olej. Świece. Butelki i słoje, cienie i dziwne kształty, i...

I jakaś postać.

Claire zamrugała, bo spodziewała się starszego, schorowanego pana. Widok wampira tak ją zaskoczył, że rozejrzała się wkoło, szukając jeszcze innego. Ale był tylko ten. Siedział w fotelu, czytając książkę. Założył czytane miejsce palcem, zamknął książkę i podniósł wzrok na Amelie.

Był młody, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Sięgające ramion, kręcone brązowe włosy, duże, ciemne, nieco psie oczy, idealna, lekko złotawa cera. Jakby zastygł w wieku być może dwudziestu pięciu lat; w kącikach jego oczu dopiero zaczęły się robić kurze łapki. A poza tym był naprawdę, naprawdę... ładny.

I nie wyglądał na chorego. Wcale.

- Czekałem na was - odezwał się. Mówił po angielsku, ale z jakimś akcentem, którego Claire nie potrafiła zidentyfikować.

Brzmiało to trochę z irlandzka, trochę ze szkocka, ale nawet bardziej... miękko. Walijski? - Claire, tak? No cóż, zbliż się, dziewczyno, nie ugryzę cię. - Uśmiechnął się i w przeciwieństwie do uśmiechów Amelie to był ciepły, szczerzy uśmiech. Claire podeszła do niego. Wyczuła, że za jej plecami Amelie spięła się i zastanowiła się dlaczego. Myrnin wydawał się całkiem w porządku. O wiele bardziej w porządku niż wampiry, które dotąd spotykała, pomijając może Sama, dziadka Michaela, no i samego Michaela, najmłodszego wampira z Morganville.

- Cześć - przywitała się i otrzymała jeszcze szerszy uśmiech.

- Więc umie mówić! Znakomicie. Nie przyda mi się na nic ktoś bez kręgosłupa. Powiedz mi, moja mała Claire, lubisz nauki ścisłe?

Tak staroświecko się wyrażał... Nauki ścisłe. Ludzie zwykle mówili: nauka albo

wymieniali konkretny przedmiot, na przykład biologię albo fizykę kwantową, albo chemię. Mimo to znała prawidłową odpowiedź.

- Tak, proszę pana. Uwielbiam nauki ścisłe.

Ciemne oczy zabłyśły, pojawiły się w nich iskierki nieco złośliwego humoru.

- Jesteś niezwykle grzeczna. A filozofię?

- Ja... nie wiem. Nie uczyliśmy się filozofii w liceum. Dopiero co dostałam się na studia.

- Nauka bez filozofii jest stekiem bzdur - oświadczył z wielką powagą. - A alchemia? Wiesz coś o niej?

W odpowiedzi tylko pokręciła głową. Wiedziała, co znaczy ten termin, ale czy nie chodziło czasem o zamienianie ołowiu w złoto czy inne takie? Coś w rodzaju oszukańczej nauki?

Myrnin miał zrozpaczoną minę. Aż jej się zachciało okłamać go i powiedzieć, że podstawy alchemii też zaliczyła na piątkę.

- Nie dziwacz, Myrnin - wtrąciła się Amelie. - Mówiłam ci, w tych czasach nie traktuje się tego przedmiotu z należyтым szacunkiem. Nie znajdziesz nikogo znajomego sztuki hermetyczne, więc będziesz musiał zadowolić się Claire. Według wszystkich relacji dziewczyna jest zdolna. Powinna zrozumieć, co masz do nauczenia, o ile będziesz cierpliwy.

Myrnin z powagą pokiwał głową i odłożył książkę. Wstał - wstawał i wstawał. Był wysoki, niezdarly, miał długie nogi i ręce - jak ludzkiego rodzaju paty czak. Miał też na sobie dziwną kombinację ubrań - nie taką, w jaką ubrałby się bezdomny, ale zdecydowanie nietypową. Trykotową koszulkę w poprzeczne paski pod czymś, co przypominało frak, a do tego stare džinsy, z dziurami na kolanach. I japonki. Claire wytrzeszczyła oczy na jego gołe stopy. Jakoś, przy reszcie stroju, te japonki wyglądały wręcz nieprzyzwoicie.

Ale stopy miał ładne.

Wyciągnął rękę do Claire, pochylając się przy tym. Ujęła ją ostrożnie i uścisnęła. Myrnin najpierw się zdziwił, a potem rozpromienił. Zaczął tak entuzjastycznie potrząsać jej ręką, że aż ramię ją rozboleło.

- Czy tak się należy witać w obecnych czasach? Uściskiem dłoni? - spytał. - I to nawet z taką uroczą młodą damą? Wiem, że to powszechny zwyczaj wśród mężczyzn, ale dla kobiet to taki raczej dość brutalny gest...

- Nie - powiedziała szybko Claire. - W porządku. Wszyscy tak się witają. - Boże, ale

on chyba nie będzie próbował pocałować jej w rękę? Nie, puścił jej dłoń i skrzyżował ramiona na piersi. Przyglądał się Claire.

- Jaki jest symbol chemiczny rubidu?

- Hm...Rb.

- Liczba atomowa?

Claire rozpaczliwie przypominała sobie okresowy układ pierwiastków. Bawiła się tablicą, kiedy była mała, tak jak inne dzieci układają puzzle, znała ją szczegółowo.

- Trzydzieści siedem.

- Numer grupy?

Prawie teraz widziała ten kwadracik tablicy, tak realny, jakby kartkę z układem pierwiastków trzymała w ręku.

- Grupa pierwsza - powiedziała pewnie. - Metal zasadowy.

Numer okresowy to pięć.

- A jakie niebezpieczeństwa wiążą się z pracą z rubidem, Claire?

- Zapala się w kontakcie z powietrzem. Poza tym gwałtownie reaguje z wodą.

- Ciało stałe, płynne, gaz czy plazma?

- Stałe do czterdziestu stopni Celsjusza. To temperatura topnienia. - Czekwała na następne pytanie, ale Myrnin tylko przechylił głowę na bok i przyglądał się jej. - Jak mi poszło?

- Dostatecznie - mruknął. - Dobrze zapamiętałaś. Ale zapamiętywanie to nie nauka, a nauka to nie wiedza. - Myrnin podszedł do stosu książek, kilka niedbałym ruchem strącił na podłogę i znalazł jakiś zniszczony tomik, który zaczął przerzucać bez śladu szacunku dla delikatnych kartek. - Aha! Mam. No, co to jest?

Podsunał jej otwartą książkę. Claire zmrużyła oczy, wpatrując się w niewyraźną ilustrację. Wyglądało to jak mały kwadratowy żagiel wypełniony wiatrem. Zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Myrnin zamknął nagle książkę z głośnym trzaskiem. Aż podskoczyła.

- Za wiele trzeba by ją uczyć - powiedział do Amelie, zaczął chodzić po pokoju, a potem zamyślił się i zaczął bawić szklaną retortą pełną obrzydliwie zielonego płynu. - Ja nie mam czasu na niańczenie dzieci, Amelie. Przyprowadź mi kogoś, kto przynajmniej zrozumie podstawy tego, co próbuję...

- Mówiłam ci już, nie ma nikogo, kto rozpoznałby ten symbol, a poza tym ta dziedzina nigdy nie przyciągała osób godnych zaufania. Daj Claire szansę. Szybko się uczy. - Ton Amelie stał się lodowaty. - Myrnin, nie zmuszaj mnie, żebym wydała ci

polecenie.

Przystanął, ale nie podnosił głowy.

- Nie chcę kolejnego ucznia. - W jego głosie była niechęć.

- Tak czy inaczej, ucznia musisz mieć.

- Wyjaśniłaś jej ryzyko?

- Zostawiam to tobie. Jest twoja, Myrnin. Ale nie łudź się, będziesz odpowiadał i za jej postępy, i za jej bezpieczeństwo. Claire usłyszała szcęk metalu, a kiedy obejrzała się za siebie... Amelie nie było.

Zostawiła ją samą. Z nim.

Kiedy Claire odwróciła się w stronę Myrnina, uniósł głowę i patrzył prosto na nią. Z ciepłych, brązowych oczu zniknęło rozbawienie. Były bardzo poważne.

- Wydaje mi się, że żadne z nas nie ma większego wyboru - stwierdził. - A więc będziemy musieli jak najlepiej sobie z tym poradzić. - Zaczął grzebać w stosach książek i znalazł wreszcie jedną, równie zniszczoną i rozpadającą się jak ta pierwsza, z którą tak nieostrożnie się obchodził, ale o wiele cieńszą. Wyciągnął ją w stronę Claire, a ona wzięła tomik do ręki. Na okładce widniał tytuł: Metale w egipskich inskrypcjach.

- Ten symbol, który ci pokazałem, oznacza miedź - powiedział Myrnin. - Resztę poznasz, kiedy wrócisz tu jutro. Poza tym będę oczekiwał, że przeczytasz Ostatnią wolę i testament Basila Valentine'a. Mam tu gdzieś egzemplarz... - Zaczął przerzucać książki niemal gorączkowo i z okrzykiem zadowolenia wreszcie coś znalazł. Tę książkę też jej podał. - Szczególną uwagę zwróć na symbole alchemiczne. Masz je kopiować tak długo, aż nauczysz się ich na pamięć.

- Ale...

- Zabieraj je! Zabieraj je i wynocha stąd! Już! Jestem zajęty!

Myrnin minął ją, w pośpiechu przewracając stosy książek, żeby jak najszybciej otworzyć drzwi, za którymi zniknęła wcześniej Amelie. Był przynajmniej ze trzydzieści centymetrów wyższy od tych drzwi i wyglądał jak człowiek w domu hobbita. Stał tam i niecierpliwie przytupywał nogą.

- Słyszałaś? - spytał ostro. - Idź. Teraz nie mam czasu. Wynoś się. Wróć jutro.

- Ale... Ja nie wiem, jak wrócić do domu. Ani jak się dostać tutaj.

Przez sekundę wpatrywał się w nią, a potem roześmiał.

- Ktoś będzie cię musiał przyprowadzić. Nie będę konfigurował systemu tylko dla ciebie.

Konfigurował systemu? Claire stanęła i obejrzała się za siebie zaintrygowana.

- Jakiego systemu? Te... przejścia? - Od możliwych wniosków zakręciło się jej w głowie. Jeśli Myrnin rozumiał, jeśli kontrolował te przejścia, które w Morganville pojawiały się znikąd, a potem znikwały... Ja muszę to wiedzieć. Muszę się dowiedzieć, jak to działa.

- Tak. Odpowiadam za nie, tak jak i za wiele innych spraw, ale to raczej nie jest w tej chwili najważniejsze - skwitował.

Później, Claire. Idź już. Porozmawiamy jutro.

Złapał ją, wypchnął za drzwi i zatrzęsął je za nią. Usłyszała, jak uderza dłonią w drzwi z zadziwiającą siłą.

- Zamknij drzwi! - krzyknął. Claire wygrzebała klucz z kieszeni. Z trudem odszukała dziurkę od klucza; światło było tu kiepskie, a ręce jej się trzęsły. Ale jakoś jej się udało i usłyszała głośny szcęk zamykających się zapadek. - Zabierz ten klucz!

wrzasnął Myrnin.

- Ale...

- Claire, teraz ty za mnie odpowiadasz. Musisz dbać o moje bezpieczeństwo. - Głos Myrnina obniżył się, jakby wampir się zmęczył. - O moje bezpieczeństwo przede wszystkim.

A potem... się rozplakał.

- Myrnin? - odezwała się Claire, przysuwając się bliżej drzwi. - Nic ci nie jest? Chcesz, żebym weszła i...

Drzwi zawibrowały, z taką siłą w nie uderzył. Claire cofnęła się zaszokowana.

A płacz słyszała nadal. Płacz małego, zagubionego chłopca.

Claire wahała się przez kilka chwil, a później obejrzała się za siebie i przekonała, że Amelie wcale jej nie zostawiła. Stała spokojnie przy biurku, w świetle pojedynczej świecy, a minę miała opanowaną, ale i smutną.

- Jego umysł nie jest już tak bystry i żywy jak kiedyś. Ale są chwile, gdy Myrnin jest w lepszej formie. I wtedy musisz korzystać z jego wiedzy maksymalnie, nauczyć się tego, czego może cię nauczyć. Wiedza, jąkania Myrnin, nie może przepaść, Claire, nie wolno do tego dopuścić. On pracuje nad... - Amelie pokręciła głową. - Rozpoczął kilka projektów, które muszą być kontynuowane.

Serce Claire waliło jak młotem, dygotała.

- On zwariował, jest wampirem, a ty chcesz, żebym została jego uczennicą.

- Nie - sprostowała Amelie. - Ja żądam, żebyś została jego uczennicą. A ty

usłuchasz, Claire, zgodnie z kontraktem, który podpisałaś z własnej nieprzymuszonej woli. To ważne zadanie. Nie narażałabym cię na niebezpieczeństwo bez potrzeby.

Wyjaśniłaś jej ryzyko? Tak zapytał Myrnin.

- O jakim ryzyku mówił? - spytała Claire.

Amelie wskazała ręką regał, obok którego Claire zostawiła plecak. Złapała go i zarzuciła na ramię, a potem przystanęła, bo w ścianie pojawiły się drzwi. Solidne drewniane drzwi ze zwykłą klamką. Identyczne jak te na uczelni.

- Otwórz je - poleciła Amelie.

- Ale...

- Otwórz te drzwi, Claire.

Claire posłuchała i zalał ją blask jarzeniówek oraz przetrawiony przez klimatyzację zapach budynku administracji.

Amelie zgasiła świecę. W mroku Claire już jej nie widziała.

- Czekał jutro o czwartej w Centrum Uniwersyteckim - poleciła Amelie. - Sam cię tu przyprowadzi. Sugeruję, żebyś przeczytała lektury, które Myrnin ci zalecił. I, Claire, nikomu niemów o tym, co tutaj robisz. Absolutnie nikomu.

Dopiero kiedy Claire znalazła się na korytarzu administracji, dotarło do niej, że Amelie nie odpowiedziała na jej pytanie. Znow otworzyła drzwi, ale za nimi był zwykły pokój, w którym upchnięto stare meble. Coś się poruszało w kącie. Było tam okno zasłonięte roletą, ale ani śladu Amelie. Ani śladu jaskini pełnej książek. Ani śladu Myrnina.

- On jest chory - powiedziała na głos Claire do tego czegoś, co szurało w kącie za biurkiem na trzech nogach. - Dlatego ona z nim właśnie tak rozmawiała. On jest stary i chory. Może nawet umiera. - Wampiry mogą chorować? Wampiry umierają? Jakoś nigdy wcześniej taka myśl nie przyszła jej do głowy.

Delikatnie przymknęła drzwi, poprawiła ciężki plecak i spojrzała na dwie stare książki trzymane w ręku.

Ostatnia wola i testament.

Miała nadzieję, że to nie jest jakiś znak określający jej przyszłość.

W czasie powrotnej jazdy Eve opowiadała, jak minął jej dzień, o jakimś chłopaku, który totalnie próbował się z nią umówić, i o chłopaku Amy, Chadzie, który przyszedł pomóc im posprzątać i był totalnie przesłodki, i o tym, że jej szef to gnojek, ale przynajmniej dał jej dwadzieścia centów na godzinę podwyżki.

- Myślę, że to po prostu za to, że nie rzuciłam pracy po pierwszym tygodniu -

powiedziała Eve, ale była naprawdę podekscytowana i Claire cieszyła się razem z nią. - To tylko kilka dolarów więcej na tydzień, ale...

- Ale to zawsze coś - zgodziła się Claire. - Gratulacje, Eve. Zasłużyłaś na to. Naprawdę świetnie sobie radzisz. Jestem pewna że umiałabyś samodzielnie poprowadzić kawiarnię, gdybyś tylko chciała.

- Ja? Poprowadzić kawiarnię? - Eve aż się zakrztusiła ze śmiechu. - Jakbym miała ochotę zostać kawiarnianą Dyktatorką Garów. Nie wygłupiaj się.

- Aleja mówię serio. Jesteś miła, ludzie cię lubią, wiesz, co robisz. Mogłabyś. Naprawdę poradziłabyś sobie.

Eve rzuciła jej spojrzenie z ukosa, niemal ponure.

- Ty tak serio?

- A owszem.

- Nie wiem, czy jestem gotowa być menedżerem. Menedżer nie musi nosić krawata?

- Przecież masz krawat - powiedziała Claire bardzo poważnie.

- Ale z kościotrupem. Ale, zaczekaj! To mógłby być mój własny styl zarządzania! Tylko coś schrzań, a cię zabiję, robaku!

- Eve uśmiechnęła się szeroko. - Powinni tego uczyć w szkołach biznesu.

- Tutaj pewnie uczą - westchnęła Claire.

- CM, co się z tobą dzieje? - CM to był skrót od „Claire, Misiaczku”, czyli określenia, jakim Eve lubiła się do niej zwracać. Claire raczej nie wydawało się, żeby przypominała misia, i to nawet takiego zwykłego pluszaka. - Wydajesz mi się, no wiesz, mocno zamyślona.

- No cóż... - Nie mogła przecież rozmawiać z Eve o Myrnie. - Nauka, te rzeczy. - Tak, ale przecież nigdy wcześniej nie odczuwała presji typu: Zdam czy nie zdam? Przejrzała już tę książeczkę o egipskich inskrypcjach. Okazała się dość prosta, chociaż trudno byłoby stwierdzić, na ile rzeczywiście to wszystko było egipskie. Ale faktycznie, ciekawe. Ta druga, Ostatnia wola i testament, okazała się o wiele trudniejsza. Mnóstwo dziwnie zapisywanych symboli, których nie rozumiała. Będzie siedziała nad nimi cały wieczór, zanim uda jej się zapamiętać chociażby podstawy. - Eve... Czy w Morganville ktoś kiedyś zerwał kontrakt? Znaczący zerwał i przeżył?

- Kontrakt? - Eve rzuciła jej kolejne spojrzenie, tym razem już zdecydowanie ponure. - Chodzi ci o taki kontrakt z wampirem? Jasne. Ludzie od czasu do czasu gotowi są spróbować wszystkiego. Ale raczej bez sukcesów.

- A co się wtedy dzieje?

- Kiedyś się ich wieszało. Teraz chyba po prostu lądują w więzieniu, o ile nie pożrą ich wampiry. Ale, zaraz zaraz przecież ty i ja nie musimy się tym martwić, prawda? Życ na wolności albo zginąć! - Eve uniosła rękę. - Przybij piątkę Claire klepnęła ją po dłoni, ale bez większego entuzjazmu. Myślała o tym, jak ciężko pióro w jej dłoni, kiedy przesuwało się po grubym papierze. Podpisując, zaprzedała życie - a teraz się tego wstydzila.

- A co? - spytała Eve.

- Hm?

- Dlaczego pytałaś? - Eve skręciła w Lot Street i ulic? Zalał blask świateł zapalonych w Domu Glassów, w ich domu. - No mów, Claire. Ktoś z twoich znajomych zastanawia się nad tym?

- Hm... Jest na uczelni taki facet. Słyszałam, jak mówił...

No i zastanawiałam się, po prostu.

- No cóż, to przestań się zastanawiać. To jego problem, nie twój. Gotowa na ćwiczenia przeciwpożarowe? No to leć w tempie. Już! - Eve ostro zahamowała czarnego cadillaca, a Claire pchnęła drzwi od strony pasażera, obiegła samochód - otworzyła białą drewnianą furtkę i rzuciła się pędem w stront schodów, klucze trzymając w dłoni. Usłyszała, że silnik samochodu gaśnie, za jej plecami zastukotały buty Eve.

A potem zrobiło się cicho. Claire odwróciła się na piecie, wystraszona, spodziewając się, że zobaczy jakiegoś polującego wampira, ale Eve po prostu sprawdzała skrzynkę na listy.

Wyjęła z niej plik kopert, a potem szybko pobiegła w stronę schodów, po drodze przeglądając pocztę. Claire weszła do domu, a Eve wpadła tum za nią i zatrzasnęła drzwi za nimi, zamykając drzwi łokciem, sztuczka, której Claire nigdy nie odważyłby się próbować, ani nie umiałaby dokonać choćby z połową tego wdzięku co Eve.

- Rachunek za prąd, rachunek za wodę... Rachunek za Internet. Aha, i coś do ciebie. - Eve wciągnęła z pliku przesyłek niewielką, wykładaną folią z bąbelkami kopertę i podała ją Claire. - Bez adresu zwrotnego.

Kto mógł jej coś przysłać? No cóż, mama i tata, oczywiście, i od czasu do czasu dostawała jakąś kartkę od kogoś z krewnych. Była najlepsza przyjaciółka, Elizabeth, wysłała jej pocztówkę z Teksas A&M, ale tylko jedną. Claire nie знаła tego ładnego charakteru pisma z koperty. Eve zostawiła ją i poszła holem, wrzeszcząc do Shane'a i

Michaela, że już wróciły, na co Michael odwrzasnął:

- Chodź tu i zrób mi coś do jedzenia, ale już, kobieto!

- Zapisz to sobie, Michael, podobno miałeś zostać uosobieniem zła, a nie wieśniakiem!

Claire rozdarła kopertę i przytrzymała rozdarcie w dół. W jej dłoń wpadło niewielkie pudełko na biżuterię. Nawet eleganckie - z czerwonego aksamitu, z wytłoczonym na nim jakimś herbem. Dostała gęziej skórki na karku. O nie...

Jej podejrzenia potwierdziły się, kiedy uniosła wieczko i zobaczyła na krwistoczerwonym aksamicie złotą bransoletkę. Była ładna i nie za duża; dość delikatna, żeby ją włożyć na szczupły nadgarstek Claire.

W niewielkim kartuszu wytłoczony był dyskretny symbol Założycielki.

O nie.

Claire zagryzła wargę i przez długi czas wpatrywała się w bransoletkę, a potem zatrzasnęła wieczko, włożyła pudełko z powrotem do koperty i poszła do Eve i Michaela, do kuchni.

- No i? - Eve wyjmowała garnki, a Michael grzebał w lodówce. - Może być spaghetti?

- Świetnie - powiedziała Claire. Miała nadzieje, że nie widać po niej, jak jest wystraszona. Ale nawet gdyby, to Eve i Michael byli zbyt zajęci sobą, żeby zauważyć zdenerwowanie Claire.

Claire odwróciła się i wpadła na Shane'a, który wszedł do kuchni jej śladem. Koperta zaciążyła jej w prawym ręku i Claire odruchowo zrobiła krok w tył.

A to go uraziło. Zauważyła ten błysk w jego oczach.

- Cześć - powiedział. - Wszystko w porządku?

Pokiwała głową, niezdolna wymówić słowa, bo musiałaby skłamać. Shane podszedł bliżej i ciepłą dłonią dotknął jej twarzy - to było przyjemne, tak bardzo przyjemne, że przytuliła się do tej dłoni, a potem wsunęła się w jego objęcia. Sprawiał, że czuła się mała i przez kogoś kochana, i chociaż przez tę jedną chwilę zawartość koperty w jej dłoni nie miała żadnego znaczenia.

- Za ciężko pracujesz - stwierdził. - Błado wyglądasz. Na uczelni wszystko dobrze?

- W porządku. - To nie było kłamstwo, zdecydowanie nie o uczelnię się teraz martwiła. - Chyba potrzebuję więcej snu.

- Niedługo weekend. - Pocałował ją w czubek głowy, nachylił się bliżej i szepnął: - Chodź do mojego pokoju. Muszę z tobą pogadać.

Zamrugnęła zdziwiona, ale on już się odsunął i szedł w stronę drzwi. Obejrzała się przez ramię na Eve i Michaela, ale oni byli pochłonięci rozmową, a Eve zmniejszała właśnie płomień pod garnkami, więc niczego nie zauważyli.

Claire schowała pudełko do plecaka, zapięła go i poszła za Shane'em na górę.

Pokój Shane'a był szalenie funkcjonalny - łóżka nigdy nie słał, chociaż przed wejściem Claire postarał się nieco je ogarnąć i pościel przykrył kocem. Na ścianie wisiało kilka plakatów, nic specjalnego. Żadnych zdjęć, żadnych pamiątek. Nie spędzał tu zbyt wiele czasu poza spaniem. Większość swoich rzeczy trzymał w szafie.

Claire położyła plecak na podłodze i usiadła obok Shane'a na łóżku.

- Co jest? - spytała. Jeśli spodziewała się sesji przedobiadowego całowania, to się rozczarowała. Nawet jej nie objął.

- Zastanawiam się nad wyjazdem.

- Wyjazdem? Ale Eve robi przecież obiad...Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nad wyjazdem z Morganville.

Wpadła w panikę.

- Nie. Nie możesz!

- Już raz to zrobiłem. Posłuchaj, to miasto jest... Ja tu nie wróciłem z tęsknoty. Wróciłem, bo ojciec mnie wysłał, a teraz, kiedy tu już przyjechał i wyjechał, a ja nie muszę już odwalać za niego brudnej roboty... - Oczy Shane'a błagały ją o zrozumienie.

- Claire, ja chcę jakoś żyć. Morganville to nie jest miejsce dla ciebie. Nie możesz tu zostać. Oni cię zabiją. Nie, gorzej, przerabiacie na jedną ze swoich, na taką chodzącą umarłą.

I wcale nie mówię o wampirach. Nikt, kto tu mieszka, tak naprawdę nie żyje normalnie, wiesz.

- Shane...

Pocałował ją, a usta miał ciepłe i miękkie, i natarczywe.

- Proszę cię - szepnął. - Musimy wyjechać z tego miasta. Będzie gorzej. Czuję to.

Boże, dlaczego on to robił? Dlaczego teraz?

- Nie mogę - wyszeptała. - Ja... Studia i... No, po prostu nie mogę, Shane. Nie mogę wyjechać. - Jej podpis na tej kartce papieru. Jej dusza podana na talerzu. To była cena za ich bezpieczeństwo, ale przecież będzie musiała płacić ją stale, prawda?

Uczennica Myrnina. A zaczynała mieć wrażenie, że to nie będzie kurs długoterminowy.

- Proszę... - szepnął ledwie dosłyszalnie, a jego usta muskały przy tym jej wargi i

naprawdę zrobiłaby dla niego prawie wszystko, kiedy mówił do niej tym tonem, tym razem jednak...

- Co się stało? - spytała.

- Co?

- Czy to ma związek z Michaeliem? Czy on... Czy ty...?

- Sama nie wiedziała, o co właściwie pyta, ale Shane czymś się bardzo martwił, a ona nie miała pojęcia czym. Przyglądał jej się przez kilka długich chwil, a potem odsunął się, wstał i podszedł do okna. Wyrzwał na nigdy tak właściwie nieużywane podwórko za domem.

- Tata dzwonił - wyrzucił z siebie w końcu. - Mówił mi, że tu wróci, i chciał, żebym przygotował się do zabicia kilku wampirów. Jeśli zostanę, będę musiał zabić Michaela. Ja nie chcę tutaj być, Claire. Nie mogę.

Nie chciał wybierać. Znowu. Claire mocno przygryzła wargę; dosłyszała ból w jego głosie, chociaż twarz miał spokojną.

- Naprawdę sądzisz, że twój tata tu wróci?

- Tak. Wcześniej czy później. Może nie w tym miesiącu, może nie w tym roku, ale... Kiedyś. I następnym razem będzie miał wszystko to, czego będzie potrzebował, żeby rozpętać tu prawdziwą wojnę. - Shane zadrżał, zobaczyła, jak mięśnie jego pleców napinają się pod obcisłym szarym podkoszulkiem. - Muszę cię stąd wydostać, zanim spotka cię coś złego.

Claire podeszła i objęła go. Przytuliła się do niego, oparła mu głowę na plecach i westchnęła.

- Bardziej boję się o ciebie - powiedziała. - Ty i kłopoty...

- Tak. - Usłyszała uśmiech w jego głosie. - Przyciągamy się - dokończył.

ROZDZIAŁ 4

Spaghetti było smaczne i Shane szybko dał się przekonać do wspólnego obiadu. Siedział naprzeciwko Michaela, ale nie rozmawiali ze sobą i unikali patrzenia sobie w oczy. Zachowywali się całkiem poprawnie. Claire już zaczynała się odprężyć, kiedy Shane zapytał beczelnie:

- Eve, dodałaś czosnku? Wiesz, jak lubię czosnek. Rzuciła mu złe spojrzenie.

- Och, cała okolica już o tym wie. - A potem przeproszającym tonem zapytała Michaela: - Smakuje ci, prawda? Nie za dużo dałam? - Bo wampiry za czosnkiem nie przepadały. I dlatego Shane dodawał czosnek do wszystkiego, co jadł.

- W porządku - uspokoił ją Michael, ale rozgrzebywał jedzenie na talerzu i był nieco blady. - Monica dziś wpadła. Szukała ciebie, Claire.

Shane i Eve zgodnie jęknęli. Przynajmniej raz cała trójka jej współlokatorów była tego samego zdania. I wszyscy na nią patrzyli.

- No co? - spytała. - Przysięgam, to nie... Ja się jej nie podkładam ani nie! To po prostu wariatka, dobra? Nie przyjaźnię się z nią. Nie wiem, dlaczego wciąż tu przyłazi.

- Pewnie znów cię w coś wplączę” - westchnęła Eve i dołożyła sobie spaghetti. - Tak jak na tej imprezie bractwa studenckiego. Słuchaj, przecież ona robi imprezę w ten piątek, słyszeliście? Super ekskluzywną, znajomym spoza miasta zapewnia przelot. To chyba z okazji urodzin albo dnia, kiedy tata dał jej większą kasę. Powinniśmy się tam wkręcić bez zaproszenia.

- Podoba mi się ten pomysł. - Shane był podekscytowany. Wkręcić się na imprezę do Moniki. - Zerknął na Michaela, i potem szybko odwrócił wzrok. - A ty? Dla ciebie to jakieś wykroczenie przeciwko kodeksowi wampira?

- Możesz mi skoczyć, Shane.

- Chłopcy - przywołała ich do porządku Eve. - Język. Młodociana przy stole.

- Jakbym pierwszy raz to słyszała. Sama tak czasem mówię.

- A nie powinnaś - upomniął ją Michael ze śmiertelnie poważną miną. - Serio mówię. Dziewczyny powinny mówić: „cmoknij mnie”, a nie „możesz mi skoczyć”. Tak czy inaczej, odradzałbym „ugryź mnie”. Przynajmniej w tej okolicy.

Eve zakrztusiła się spaghetti. Shane zaczął ją klepać po plecach, ale też się śmiał, podobnie jak Michael. Claire jeszcze przez chwilę piorunowała ich wściekłym wzrokiem, ale ostatecznie poddała się i uznała, że to jednak bardzo śmieszne.

Wszystko znów było w porządku.

- No jak. Piątek wieczorem? - chciała wiedzieć Eve, ocierając oczy i próbując złapać oddech między jednym chichotem a drugim. - Imprezka? Bo chętnie bym trochę poszalała.

- Wchodzę w to - powiedział Michael i włożył do ust sporą porcję spaghetti. Claire zastanawiała się, czy to go piecze. - Wydaje mi się, że jak pójdę z tobą, to ona nie będzie mogła nas nie wpuścić. Wampiry mają status VIP - a. Warto to czasem wykorzystać.

Shane popatrzył na niego i na moment w tym spojrzeniu pojawiło się ciepło, którego Claire tak bardzo brakowało, ale zniknęło bardzo szybko i między tymi dwoma znów wyrósł mur.

- To musi być przyjemne - stwierdził. - Wszyscy powinniśmy pójść, jeśli w ten sposób zepsujemy Monice imprezę.

Skończyli jeść w niezręcznym milczeniu. Claire zorientowała się, że wciąż wraca myślami do czerwonego aksamitnego pudełka, które czekało na górze w jej pokoju, i próbowała nie robić miny osoby, która ma coś na sumieniu. Pewnie nieudolnie. Zauważyła, że Michael obserwował ją dziwnie uważnie, nie wiedziała tylko, czy wyczuwał jej dyskomfort, czy zastanawiał się, czemu nie rajcował jej pomysł wybrania się na imprezę do Moniki.

Zjadła za szybko, posprzątała po sobie naczynia i zwiłała na górę, mamrocząc jakieś wymówki o tym, że ma dużo nauki. No cóż, raczej się zdążyli przyzwyczaić, że ona dużo się uczy. Była kolejka Shane'a na zmywanie, więc przez jakiś czas będzie miał zajęcie...

Pudełko było tam, gdzie je zostawiła; leżało na toaletce. Złapała je, oparła się plecami o ścianę i osunęła się po niej, przykucając i ważąc pudełko w dłoni.

- Zastanawiasz się, czy ją wkładać, czy nie - stwierdziła raczej, niż zapytała Amelie, a Claire krzyknęła zaskoczona.

Elegancka wampirzyca siedziała w swobodnej pozie w starym, krytym aksamitem fotelu, dłonie miała skromnie splecione na kolanach. Wyglądała jak portret, a nie żywa osoba. Było w niej coś takiego - teraz jeszcze bardziej niż zwykle - co wydawało się równie wiekowe i zimne jak marmur.

Claire wstała, było jej głupio, ale w obecności Amelie po prostu nie wypadało kucać pod ścianą. Amelie podziękowała za ten przejaw dobrego wychowania skinieniem głowy, ale poza tym się nie poruszyła.

- Przepraszani, że cię zaskoczyłam, Claire, ale chciałam pomówić z tobą na

osobności.

- Jak się tu pani dostała? Znaczący to pani dom, ale czy wampiry...?

- Nie mają zakazu wstępu? Nie do domu, w którym mieszka inny wampir, a zresztą nawet gdybyście wszyscy byli ludźmi, dom należy do mnie. Ja go kazałam zbudować, podobnie jak wszystkie inne domy Założycielki. Ten dom mnie zna, nie potrzebuję pozwolenia, żeby tu wchodzić. - Oczywiście Amelie zabłąsły w mroku. - Czy to cię niepokoi?

Claire z trudem przełknęła ślinę i nic nie odpowiedziała.

- Czego pani chce?

Amelie szczupłym palcem wskazała aksamitne pudełko w dłoni Claire.

- Chcę, żebyś włożyła bransoletkę.

- Ale...

- Ja nie proszę. Wydałam ci polecenie.

Claire zadrżała, bo chociaż Amelie głosu nie podniosła, zabrzmiała w nim twarda nuta. Otworzyła pudełko i wyjęła bransoletkę. Poczowała w dłoni jej ciężar i ciepło i przyjrzała się jej uważnie.

Bransoletka nie miała zamka, ale widać było, że jest za mała, żeby wsunąć ją przez dłoń.

- Nie wiem, jak...

Kątem oka dostrzegła błyskawiczny ruch i zanim zdążyła podnieść głowę, Amelie już wyjmowała bransoletkę z jej ręki, M chłodne, silne palce przytrzymały ramię Claire.

- Została zrobiona dla ciebie - wyjaśniła Amelie. - Nie ruszaj się. W przeciwieństwie do bransoletek, które nosi większość ludzi, twojej nie da się zdjąć. Kontrakt, który podpisałaś, daje mi takie prawo, rozumiesz, prawda?

- Ale... Nie, ja nie chcę...

Za późno. Amelie wykonała nieznaczny ruch i bransoletka znalazła się na nadgarstku Claire. Dziewczyna próbowała wyrwać rękę, ale bezskutecznie, Amelie była za silna. Uśmiechnęła się i przytrzymała jej rękę jeszcze przez chwilę, jakby chcąc coś w ten sposób zademonstrować, a wreszcie ją puściła. Claire zaczęła gorączkowo obracać bransoletkę, próbując odkryć jej sekret.

Bransoletka stanowiła jednolitą całość i nie dawała się zdjąć.

- Trzeba to zrobić właśnie tak, jak nakazują stare zwyczaje powiedziała Amelie. - Ta bransoletka uratuje ci życie, Claire. Pamiętaj moje słowa. To zaszczyt, jakim

rzadko kogoś obdarowałam. Powinnaś być mi wdzięczna.

Wdzięczna? Claire czuła się jak pies na smyczy i bardzo jej się to nie podobało. Popatrzyła gniewnie na Amelie, a wampirzyca uśmiechnęła się szerzej. Raczej trudno byłoby powiedzieć, że serdeczniej - było w tym uśmiechu coś, co całkowicie kłóciło się z pojęciem „ciepła”.

- Być może poczujesz wdzięczność później - skwitowała Amelie i uniosła brwi. - Zostawię cię już. Na pewno masz dużo nauki.

- Jak ja mam ukryć bransoletkę przed przyjaciółmi? - wypaliła Claire, kiedy wampirzyca ruszyła w stronę drzwi.

- Masz nie ukrywać - ucięła Amelie i otworzyła drzwi, nawet nie przekręcając klucza w zamku. - I nie zapomnij. Jutro u Myrnina masz być dobrze przygotowana. - Wyszła na korytarz i zamknęła drzwi za sobą. Claire rzuciła się do drzwi i przekręciła gałkę, ale nie chciały się otworzyć. Zanim odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi, Amelie zniknęła. Korytarz był pusty. Claire stała tam i nasłuchiwała pobrzękiwania talerzy z parteru, dalekich odgłosów śmiechu. Zachciało jej się płakać.

Potarła oczy, odetchnęła głęboko. Usiadła przy biurku i próbowała się uczyć.

Następny dzień był wypełniony zajęciami, testami i spotkaniami grup dyskusyjnych i Claire ucieszyła się z popołudniowej przerwy, kiedy ta wreszcie nadeszła. Głupio się czuła ubrana w podkoszulek z długimi rękawami, ale tylko pod nim mogła schować bransoletkę, a rozpaczliwie pragnęła ją ukryć. Na razie jakoś się udawało. Eve nic nie zauważyła, Shane jeszcze spał, kiedy wyszła na uczelnię. Michael też się nie pokazywał. Wczoraj wieczorem w przypiływie desperacji próbowała na kilka sposobów pozbyć się złotego kółka - nożyczkami, a potem za pomocą pary zardzewiałych szczypiec do cięcia drutu znalezionych w piwnicy - ale nożyczki złamała, a szczypce ześlizgiwały się z metalu. Sama nie umiała sobie z tym poradzić, a o pomoc poprosić nie mogła.

Nie ukryjesz jej na zawsze.

No cóż, zawsze mogła próbować.

Claire skierowała się w stronę Centrum Uniwersyteckiego i kawiarni, a tam znalazła Eve, zaaferowaną i zarumienioną pod warstewką ryżowego pudru, samą za barem.

- Gdzie Amy? - spytała Claire, podając jej trzy dolary za mochę. - Myślałam, że pracuje przez cały tydzień?

- Nie dobijaj mnie, ja też tak myślałam. Dzwoniłam do szefa, ale się rozchorował,

tak samo jak Kim, więc zostałam dzisiaj sama. Nie ma na świecie tyle kawy, żeby mi to ułatwić. - Eve dmuchnięciem odsunęła włosy ze spoconego czoła i podskoczyła do ekspresu, w którym nastawiła dwie kolejne porcje naparu.

- Śniło ci się kiedyś, że biegniesz, a wszyscy inni stoją bez ruchu, ale ty i tak ich nie możesz dogonić?

- Nie - powiedziała Claire. - Mnie się zwykle śni, że jestem goła na zajęciach.

Eve pokazała zęby w uśmiechu.

- Za to dostaniesz sos karmelowy za friko. Usiądź, nie stój nade mną jak cała reszta tych sępów.

Claire znalazła wolny stolik i rozłożyła na nim książki, a kiedy Eve wywołała jej imię, przyniosła sobie mochę, ziewnęła i znów otworzyła Ostatnią wolę i testament. Większość nocy przesiedziała nad tymi symbolami, usiłując się ich nauczyć na pamięć, ale były trudne. Opanowała wszystkie tamte egipskie, ale jednak okazały się o wiele mniej jasne, a miała wrażenie, że Myrnin nie będzie zbyt wyrozumiały, gdy się pomyli.

Jakiś cień padł na książkę. Uniosła wzrok i zobaczyła posterunkowego Trávisa Lowe'a i jego partnera Joego Hessa stojącego tuż za nim. Obu ich znała, pomogli jej w trudnych chwilach, kiedy tata Shane'a grasował po Morganville, usiłując zabijać wampiry (nierzadko z sukcesem). Nie nosili bransoletek i nie byli objęci Ochroną, ale o ile dobrze rozumiała, wypracowali sobie jakiś szczególny status. Nie była pewna, jak im się to udało, ale musieli kiedyś zrobić coś naprawdę odważnego.

- Cześć, Claire - przywitał się Hess i przysunął sobie krzesło. Lowe zrobił to samo. Fizycznie wcale nie byli do siebie podobni - Hess był wysoki i trochę żyłasty, z podłużną twarzą, Lowe był puciołowaty i nieco łyśiał. Ale wyraz twarzy mieli identyczny: opanowany, czujny. - Jak się masz?

- Świetnie. - Claire z trudem powstrzymała chęć dotknięcia bransoletki. Popatrzyła na obu policjantów, coraz bardziej zaniepokojona. - Co się dzieje? Stało się coś złego?

- Można tak powiedzieć - pokiwał głową Lowe. - Posłuchaj, Claire... Z przykrością ci to mówię, ale na tyłach waszego domu dziś rano śmieciarze znaleźli zwłoki dziewczyny.

Zwłoki? Claire zdrętwiała.

- Kto to?

- Amy Callum - powiedział Hess. - To miejscowa dziewczyna. Rodzina mieszka zaledwie o kilka domów od was. Są załamani. - Zerknął w stronę baru. - Pracowała tu.

Amy? Amy z kawiarni? O nie...

- Znałam ją - jęknęła Claire. - Pracowała z Eve. Miała być dzisiaj w pracy. Eve mówiła... - Eve. Claire spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że Eve nadal pogodnie gawędzi z ludźmi, realizując zamówienia i przyjmując gotówkę. - Jesteście pewni, że to pod naszym domem?

- Claire... - Obaj policjanci wymienili spojrzenia, dość ponure spojrzenia. - Jej ciało wepchnięto do pojemnika na śmieci.

Jesteśmy pewni.

Claire zrobiło się słabo. Tak blisko... Sama wyносиła śmieci zaledwie dwa dni temu, prawda? Wrzucała worki ze śmieciami do pojemnika. Amy wtedy jeszcze żyła. A teraz...

- Zauważyłaś coś dziwnego wczoraj wieczorem? - ciągnął Hess.

- Nie. Było... było ciemno, kiedy wróciłam do domu. A potem przez całą wieczór się uczyłam.

- Słyszałaś może jakiś hałas?

- Nie. Miałam na uszach słuchawki. Przykro mi.

Shane wyglądał przez okno, przypomniała sobie. Może kogoś widział. Ale przecież by coś powiedział, prawda? Nie ukrywałby czegoś podobnego.

Uderzyła ją jakaś okropna myśl i spojrzała w oczy Hessa.

- Czy to był...? - Za dużo ludzi kręciło się wkoło. Zrobiła gest zatapiania kłów w szyi. Pokręcił głową.

- Zginęła w ten sam sposób jak ostatnia ofiara - wtrącił Lowe. - Nie możemy wykluczyć udziału naszych przyjaciół pijących krew, ale to nie w ich stylu. Ale wiesz, do kogo to pasuje...

- Do Jasona - szepnęła Claire tępo. - Brata Eve. Nadal jest na wolności?

- Jeszcze go nie złapaliśmy na niczym nielegalnym. Ale go złapiemy. Jest za bardzo szalony, żeby żyć normalnie. - Lowe przyglądał się jej. - Nie widziałaś go, prawda?

- Nie.

- Powiemy Eve. - Jakby na niewidzialny znak Hess i Lowe wstali. - Słuchaj, jeśli coś ci się przypomni, zadzwoń, dobrze?

I nie chodź po mieście sama. Ochrona czegoś takiego nie obejmuje. - Lowe rzucił znaczące spojrzenie na jej nadgarstek, a ona poczuła, że się rumieni, zupełnie jakby zgadł, jakiego koloru majtki ma na sobie. - Jeśli musisz gdzieś wyjść, wychodź w towarzystwie kogoś z przyjaciół, jasne? To samo Eve. Będziemy próbowali mieć na

was oko, ale ostrożność to dla was najlepsza obrona.

Claire patrzyła za odchodzącymi policjantami. Wymienili spojrzenia z dość wysokim młodym człowiekiem, który szedł w jej stronę. Przez chwilę wydawało jej się, że to Michael miał taki sam chód, taką samą sylwetkę - ale potem światło zabłysło w jego włosach. Rudych włosach, nie blond włosach Michaela.

Sam. Sam Glass, dziadek Michaela. Amelie uprzedzała Claire, że Sam zabierze ją do Myrnina; ona po prostu o tym zapomniała. No cóż, nie ma sprawy, Claire lubiła Sama. Był spokojny, uprzejmy i wcale nie przypominał wampira, pomijając bladą cerę i ten dziwny błysk w oczach. Zupełnie jak u Michaela, pomyślała teraz nagle. No, ale byli obaj najmłodszymi, a do tego - co najdziwniejsze - spokrewnionymi wampirami. Może im wampiry są młodsze, tym bardziej przypominają z wyglądu ludzi.

- Witaj, Claire. - Sam przywitał się, jakby po raz ostatni rozmawiali ze sobą z pięć minut temu, a nie co najmniej tydzień.

Pomyślała, że wampiry pewnie inaczej odczuwają upływ czasu.

- Czego chcieli? - Miał na sobie dzinsy i uczelniany podkoszulek i wyglądał seksownie. To znaczy seksownie jak na rudego wampira. Miał też miły, jeśli nawet nieco roztargniony uśmiech. Nie była w jego typie. O ile Claire wiedziała, Sam nadal totalnie kochał się w Amelie, trudniej jej było objąć to rozumem niż teorię strun przestrzeni.

Wciąż czekał na odpowiedź. Próbowwała coś wykrztusić.

- Jakaś dziewczyna zginęła. Znaleźli ją w naszych pojemnikach na śmieci. Amy. Amy Callum?

Wyrazista, szczerą twarz Sama przybrała ponury wyraz.

- Cholera. Znam tę rodzinę, porządni ludzie. Zajrzę do nich.

- Usiadł i pochylił się w jej stronę, zniżając głos. - Nie zabił jej wampir, tyle mogę od razu powiedzieć. Słyszałbym, gdyby któryś się do niej dobrał.

- Tak - zgodziła się Claire. - Brzmiało to tak, jakby zabił ją ktoś z naszych. - Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że Sam przecież do ludzi raczej się nie zaliczał i zarumieniła się. - Znaczy... No, że jakiś człowiek.

Sam uśmiechnął się do niej, ale w oczach miał smutek.

- Nic się nie stało, Claire. Już się do tego zdążyłem przyzwyczaić. To miasto dzieli się na naszych i obcych. - Opuścił wzrok na swoje dłonie leżące spokojnie na blacie stołu. - Mam cię zabrać na umówione spotkanie.

- Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, która godzina.

- Szybko pozamykała książki i zaczęła pakować plecak.

- Nie ma pośpiechu. - Wciąż unikał jej wzroku. Bardzo cicho dodał: - Claire... Czy ty jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

- Co takiego?

Szybkim ruchem złapał ją za nadgarstek, ten, na którym pod długim rękawem chowała bransoletkę. Boleśnie wbiła jej się w skórę.

- Wiesz, o czym mówię.

- Auć - szepnęła, a on puścił jej rękę. - Musiałam. Nie miałam wyboru. Musiałam podpisać, jeśli chciałam, żeby moi przyjaciele byli bezpieczni.

Sam nic nie odpowiedział, teraz już patrzył na nią, ale ona nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Nie podobało jej się, że wie o jej układzie z Amelie. Co, jeśli powie Michaelowi? Co, jeśli Michael powtórzy Shane'owi? Dowie się, wcześniej czy później. No cóż, wolałaby, żeby to było możliwie jak najpóźniej.

- Wiem o tym. Chciałbym, żebyś nie robiła tego drugiego. Z Myrningem. To... nie jest bezpieczne.

- Wiem. On jest chory czy coś. Ale nie skrzywdzi mnie. Amelie...

- Amelie nie zawraca sobie głowy dobrem poszczególnych osób. - Jak na Sama była to wyjątkowo gorzka uwaga, zwłaszcza w odniesieniu do Amelie. - Ona cię wykorzystuje tak, jak wykorzystuje wszystkich ludzi. Nie ma w tym nic osobistego, ale w twoim własnym interesie też raczej nie leży.

- Dlaczego? Czego ty mi nie mówisz?

Sam przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, najwyraźniej usiłując podjąć jakąś decyzję, a w końcu powiedział:

- Przez ostatnich kilka lat Myrning miał pięciu uczniów.

Dwójka z nich to były wampiry.

Claire zamruwała zaskoczona, a Sam tymczasem wstał.

- Pięcioro? Co się z nimi stało?

- Zadajesz właściwe pytania. To teraz zadaj je odpowiednim osobom.

Ruszył do wyjścia. Claire głośno złapała oddech, wzięła do ręki plecak i poszła za Samem.

Przy barze policjanci przekazywali Eve złe wiadomości. Claire obejrzała się za siebie i stała się świadkiem właśnie tej chwili, w której do Eve dotarło, że jej koleżanka nie żyje. Nawet przez odległość całej sali zabolął ją widok cierpienia na jej twarzy, szybko zamaskowanego i odsuniętego na bok. W Morganville do tracenia

bliskich można się było przyzwyczaić, uznała Claire.

Boże, czasami to miasto bywało naprawdę wstrętne.

Sam miał samochód, eleganckiego, ciemnoczerwonego sedana o przyciemnionych szybach. Zaparkował go w podziemnym garażu w Centrum Uniwersyteckim, na miejscu zarezerwowanym tabliczką: „Tylko dla sponsorów”, z rysunkiem naklejki, jaka powinna widnieć na przedniej szybie, żeby można było parkować tam legalnie.

Naklejkę taką Sam, oczywiście, miał.

Otworzył jej drzwi od strony pasażera z galanterią, do jakiej nie przywykła, i Claire wsiadła.

- Jesteś jednym ze sponsorów?

- Niezupełnie. Amelie daje naklejki wampirom, które mają coś do załatwienia w kampusie.

Kiedy już wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce, Claire spytała:

- A miewasz coś do załatwienia w kampusie?

- Wykładam na kursach wieczorowych - wyjaśnił Sam i uśmiechnął się szeroko. Kiedy się uśmiechał, wyglądał na jakieś dwanaście lat. Miała wrażenie, że wampiry raczej nie lubią robić takich rozkosznie głupawych min. Może gdyby je robiły, cieszyłyby się większą sympatią wśród miejscowej oddychającej ludności. - Coś w rodzaju działalności społecznej.

- Super. - Szyby były tak mocno przyciemnione, że wydawało jej się, że na zewnątrz jest środek nocy. - Ty przez to widzisz?

- Jak w dzień - powiedział Sam, a ona dała już spokój pytaniom, zapięła pas i pozwoliła mu prowadzić. Przejazdźka nie trwała długo, w Morganville nigdzie nie było daleko, ale miała czas zauważyć w samochodzie Sama jeszcze parę rzeczy. Było tu czysto. Naprawdę czysto. Zero jakichkolwiek śmieci. (No przecież raczej nie wcina w tym samochodzie hamburgerów, prawda? Zaraz. Mógłby jednak...) Nie pachniało tu też jak w innych samochodach. Pachniało nowością i jakby czymś sterylnym. - Jak sobie radzisz na uczelni?

Och. Sam zamierzał prowadzić z nią teraz typową rozmowę dorosłego o nauce.

- Świetnie - zbyła go Claire. Nikt nigdy nie chciał słyszeć HM to pytanie prawdziwie szczerzej odpowiedzi, ale takie „świetnie” nie było też kłamstwem. - Nie są specjalnie trudne. - To też nic było kłamstwo.

Sam zerknął na nią, a przynajmniej tak jej się wydało w mdłym świetle deski rozdzielczej.

- Może nie wynosisz z nich tyle, ile byś mogła - powiedział - Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

Wzruszyła ramionami.

- Jak praca dla Myrnina? - Głos Sama zabrzmiał sucho.

To rzeczywiście wyzwanie, Claire...

- Amelie nie zostawiła mi wyboru.

- Ale i tak chciałaś to robić, prawda?

Faktycznie chciała. Musiała to przyznać. Myrnin ją przeraził, ale było w nim też coś tak bardzo błyskotliwego. Znała tę iskierkę. Sama też taką miała i zawsze szukała kogoś, czegoś, kto by tę iskierkę rozdmuchał.

- Może on po prostu potrzebuje z kimś porozmawiać - zasugerowała.

Sam wydał jakiś niezobowiązujący pomruk, w którym zabrzmiała odrobina rozbawienia, a potem zatrzymał samochód.

- Muszę poruszać się szybko - powiedział. - To te drzwi na końcu alejki, spotkamy się pod nimi, w cieniu.

Otworzył drzwi i zwyczajnie... zniknął. Drzwi się zatrzasnęły, jakby same z siebie. Claire zatkało z wrażenia. Rozpięła pas bezpieczeństwa i wysiadła, ale na ulicy, w oślepiającym świetle słońca nie było ani śladu Sama. Samochód stał zaparkowany w ślepej uliczce i dopiero po chwili Claire poznała dom, przed którym stała. Wielką gotycką budowlę, lustrzane odbicie Domu Glassów, w którym mieszkała, ale należącą do pani o nazwisku Katherine Day i do jej wnuczki.

Babunia Day siedziała na werandzie, bujając się spokojnie i poruszając ciepłe powietrze papierowym wachlarzem. Claire uniosła rękę i pomachała jej na powitanie, a staruszka odma - chała.

- Przyszłaś mnie odwiedzić, mała? - zawołała babunia.

- Wejdz na werandę, dam ci lemoniady.

- Może później! - odkrzyknęła Claire. - Muszę iść...

I z dreszczem przerażenia zdała sobie sprawę, dokąd Sam kazał jej iść.

W głąb alejki. Tej alejki, gdzie wszyscy, włącznie z babunią Day, zakazywali jej wchodzić. Alejki, gdzie jak pająk w pułapce siedział wampir, który już raz kiedyś usiłował ją zwabić.

Babunia wstała. Była maleńka i pomarszczona. I twarda. Musiała być twarda, skoro dożyła starości w Morganville, pomyślała Claire.

- Nic ci nie jest? - spytała.

- Nie - zapewniła Claire. - Dzięki. Ja... Ja niedługo wrócę.

Poszła w alejkę. Za nią rozległ się głos babuni Day:

- Dziewczyno, co ty wyprawiasz? Na głowę upadłaś?

Prawdopodobnie tak.

Alejka była wąska, z obu stron otoczona płotami i wydawało się, że im dalej szła, tym bardziej się zwężała, niczym lejek. Ale tym razem nie odczuwała żadnego dziwnego przyciągania ani nie słyszała głosów.

Nie widziała też Sama.

- Tutaj - odezwał się, kiedy doszła do niewielkiego zakrętu.

I stał tam oparty o ścianę, w cieniu, pod zadaszonymi drzwiami, które prowadziły do wnętrza jakiejś szopy. I to było jak sklecone szopy. Claire zastanawiała się, czy on się powinien o nią tak mocno opierać.

- To Myrnin - stwierdziła. - To on jest tym pajakiem w pułapce.

Sam zastanowił się, a potem skinął głową.

- Większość ludzi wie, że lepiej tu nie przychodzić - powiedział. - On poluje tylko na tych, którzy nie mają ochrony.

Potrafi wyczuć różnicę, więc ciebie nie zaatakuje. Na razie.

Pocieszające. Sam otworzył drzwi, które wyglądały na zbyt słabe, żeby wytrzymać napór łagodnego wietrzyka, i wszedł do środka. W nieruchomym powietrzu unosił się jakiś zapach, coś starego i gorzkawego. Chemikalia. Stary papier. Nieprane ciuchy.

No i?

Claire wzięła głęboki oddech, który smakował tymi wszystkimi rzeczami, i weszła do kryjówki Myrnina.

ROZDZIAŁ 5

Myrnin miał humorek. Pyszny humorek. - Claire! - Kiedy schodziła po schodach do głównego pomieszczenia - bo w tej szopie zmieściły się tylko schody - znalazł się przy niej tak szybko i na tyle blisko, że drgnęła i cofnęła się, opierając o tors Sama, który ją podtrzymał. Myrnin miał oczy szeroko otwarte i pełne entuzjazmu. - Czekałem na ciebie! Późno, późno, późno, bardzo późno przyszłaś, wiesz. No chodź, chodź, nie mamy czasu na głupstwa. Przyniosłaś książki? Dobrze. I co z Ostatnią wolą i testamentem¹? Zaznajomiłaś się z symbolami? Proszę, weź to. - Wcisnąwszy jej do ręki kawałek kredy, Myrnin znów skoczył w bok, szybki jak pasikonik, i podsunął bliżej starą, poplamioną tablicę. Żeby ją przyciągnąć, musiał odsunąć kilka stosów książek, co zrobił, beztrudno lekceważąc bałagan, jaki powstawał przy okazji. Sarn szepnął niemal niedosłyszalnie:

- Uważaj. Bywa niebezpieczny, kiedy jest w takim nastroju.

Wolne żarty. Claire pokiwała głową, przełknęła ślinę i uśmiechnęła się, kiedy Myrnin spojrział na nią tymi swoimi rozradowanymi oczami szaleńca. Chciała zapytać, co przychodzi po tej fazie maniakalnego podniecenia, ale brakowało jej śmiałości.

- Będę w pokoju obok - powiedział Sam. Myrnin odprawił go niecierpliwym machnięciem ręki, ledwie zaszczycając spojrzeniem.

- Tak, tak, dobrze, idź. A teraz zacznijmy od egipskiej inskrypcji słowa „asem”. Asem. Wiesz, jaki pierwiastek oznacza?

- Elektrum - odpowiedziała Claire i uważnie nakreśliła kredą symbol. Trochę przypominający miseczkę, z przechodzącą przez środek dużą łaską. - I jak?

- Znakomicie! Tak, dokładnie tak. A teraz coś trudnego. Chesbet.

Szafir. Ten symbol był niełatwy. Claire na moment przygryzła wargę, odtwarzając w głowie jego wygląd, a potem go narysowała. Koło ponad podwójną, przeciętą linią, obok noga, a obok coś, co wyglądało jak samochód bez kół nad dwoma niepołączonymi okręgami.

- Nie, nie, nie - westchnął Myrnin, złapał gąbkę i starł rysunek. - Za nowoczesne. Popatrz.

Narysował fragment ponownie, tym razem bardziej niedbale, chociaż jej to nadal przypominało samochód. Skopiowała symbol dwa razy, zanim udało jej się Myrnina zadowolić.

Symboli było mnóstwo, a on przepytwał ją ze wszystkich, coraz bardziej się

nakręcając. Ramię ją rozboleło od pisania na tablicy, szczególnie gdy udało jej się schrząnić symbol przedstawiający ołów i Myrnin zmusił ją, żeby go przerysowała sto razy.

- Powinniśmy to robić na komputerze - powiedziała, uważnie rysując symbol po raz osiemdziesiąty dziewiąty. - Za pomocą programu do rysowania.

- Nonsens. Masz szczęście, że nie każę ci ryć go rysikiem na woskowej tabliczce jak w dawnych czasach - parsknął Myrnin. - Dzieci. Jak rozpuszczone dzieci, zawsze tylko bawić się najbardziej błyszczącą zabawką.

- Komputery są wydajniejsze!

- Potrafię dokonywać obliczeń na liczydło szybciej niż ty na swoim komputerze - szydził Myrnin.

No, teraz to już się wkurzyła.

- Udowodnij!

- Co?

- Udowodnij mi to. - Nieco złagodziła ton głosu, ale Myrnin wcale nie wydawał się rozgniewany, raczej dziwnie zaciekawiony. Przyglądał jej się przez długą chwilę w milczeniu, a potem uśmiechnął najszerszym, najdziwniejszym uśmiechem jaki zdarzyło jej się widzieć na twarzy wampira.

- Dobrze - zgodził się. - Zawody. Komputer przeciwko liczydłu.

Nie była pewna, czy to faktycznie dobry pomysł, chociaż w zasadzie był jej.

- Hm... A co mam do wygrania? - Chociaż ważniejsze może: „co mogę przegrać?”

W Morganville dobijanie targu było zwykłym sposobem na życie i trochę przypominało to zawieranie układów z krwiożerczymi wrózkami. Lepiej uważać, o co się prosi.

- Własną wolność - stwierdził poważnie. Oczy miał szeroko otwarte i szczerze, a młodo wyglądająca twarz jaśniała uczciwością. - Powiem Amelie, że nie nadawałaś się do tej pracy. Pozwoli ci zajmować się dalej własnym życiem, jakiegokolwiek jest.

Wartościowa nagroda. Aż zbyt cenna. Claire z trudem przełknęła ślinę.

- A jeśli przegram?

- Wtedy cię zjem.

Ani na jotę nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nie... Nie możesz tego zrobić. - Podciągnęła rękaw podkoszulka i uniosła nadgarstek tak, że złota bransoletka zabłysła w świetle.

- Nie bądź śmieszna - prychnął. - Oczywiście, że mogę.

Dziecko, mogę robić wszystko, na co mam ochotę. Beze mnie nie ma przyszłości. Amelie? Nikt, a już zwłaszcza Amelie, nie odmawia mi od czasu do czasu jakiegoś smakowitego kąska. Bo jesteś i tak za mała, żeby się liczyć jako pełny posiłek, a poza tym nie miałbym czego żałować. Odsunęła się od niego o krok. Duży krok. Ten szalony uśmiech... Spojrzała w stronę drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie czekał na nią Sam. Nic dziwnego, że Amelie poleciła mu zostać.

Myrnin smutno, przesadnie westchnął.

- Śmiertelnicy nie są już tacy jak kiedyś. Tysiąc lat temu postawiłabyś własną nieśmiertelną duszę za kawałek czerstwego chleba. Teraz w ogóle nie da się was namówić do hazardu, nawet za cenę wolności. Naprawdę, ludzie stali się tacy... nudni. I co, nic będzie zakładu? Naprawdę?

Pokręciła głową. Na jego twarzy odmalowało się bezbrzeżne rozczarowanie.

- No dobrze - sapnął. - W takim razie na jutro napiszesz esej na temat historii alchemii. Nie oczekuję, że będzie na poziomie akademickim, ale spodziewam się, że wykazesz zrozumienie podstaw tego, czego usiłuję cię nauczyć.

- Ty mnie uczysz alchemii?!

Zdziwił się i rozejrzał po laboratorium.

- A nie widzisz, co tutaj robię?

- Ale alchemia... to bzdury. Znaczący to jest jak magia, a nie nauka.

- Tak, to smutne, że dokonania alchemii zostały zapomniane, i owszem, magia to znakomite określenie na rzeczy, dla których zrozumienia nie masz jeszcze podstaw. A jeśli chodzi o naukę... - Myrnin wydał jakiś niemiły odgłos. Jego oczy znów gorączkowo zabłyśły. - Nauka to tylko metoda, a nie religia, i przecież potrafi być tak samo ograniczona. Claire, tutaj liczą się otwarte umysły. Tylko otwarte umysły. Kwestionuj wszystko, nie przyjmuj niczego na wiarę, dopóki sama tego nie udowodnisz. Tak?

Z wahaniem pokiwała głową, raczej ze strachu przed stawianiem mu oporu niż z przekonania. Myrnin wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu i poklepał ją po plecach z taką siłą, że aż zabolęło.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił. - No dobrze. Co wiesz o teorii Schrödingera? Tej z kotem?

Myrnin zrobił się dziwny dopiero pod sam koniec spotkania z Claire, kiedy - jej zdaniem - zaczął się męczyć. Musiała przyznać, że w jego laboratorium fajnie się pracuje; miał w sobie tyle pasji, tak wiele entuzjazmu do wszystkiego. Nawet do tego,

żeby okropnie ją straszyć. Był jak małe dziecko, składał się wyłącznie z tej rozpiekającej go energii i rozgestykulowanych rąk, śmiał się chętnie, ale równie szybko karcił ją, jeśli popełniła błąd. Lubił wyśmiewać, a nie poprawiać. Uważał, że jeśli sama będzie musiała wyciągnąć prawidłowe wnioski, nauczy się lekcji tak jak trzeba.

Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest już prawie ósma - późna godzina. Powinna już wrócić do domu. Myrnin chwilowo nie zwracał na nią uwagi, bo Claire zajęta była przepisywaniem tabel pełnych niezrozumiałych symboli z książki, która stanowiła tak rzadki okaz, że został na świecie tylko jeden, należący do niego egzemplarz. Ziewnęła, przeciągnęła się i powiedziała:

- Muszę już iść.

Nie podniósł wzroku znad starego mikroskopu.

- Już?

- Jest późno. Powinam wracać do domu.

Myrnin wyprostował się, spojrzał na nią, a ona zauważyła, że twarz zaczyna mu się chmurzyć.

- Zaczynasz mi dyktować reguły? - rzucił ostro. - Kto tu jest mistrzem? A kto uczniem?

- Ja... Przepraszam cię, ale nie mogę tu zostać na całą noc!

Myrnin podszedł do niej. Już go nawet nie poznawała. Zniknęła ta maniakalna energia, zniknął uśmiech, zniknął bystry, błyskotliwy gniew. Minę miał zatroskaną i niezadowoloną.

- Dom - powtórzył. - Dom powinien być tam, gdzie twoje serce. Czemu swojego nie zostawisz tutaj? Dobrze się nim zaopiekuję.

- M - moim... sercem? - Upuściła długopis i cofnęła się, odgradzając od niego wielkim laboratoryjnym stołem, na którym stały przeróżne naczynia. Myrnin obnażył kły. Kanał Discovery, Kobra królewska. O Boże, czy on potrafi pluć jadem czy co? Jego oczy zabłyśły jasno, pełne czegoś, co przypominało... strach.

- Nie uciekaj - ostrzegł, a w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie - Nie cierpię, kiedy uciekają. A teraz, powiedz mi, co ty tutaj robisz! - zażądał. - Dlaczego ciągle mnie śledzisz? Kim ty w ogóle jesteś?!

- Myrnin, jestem Claire. Jestem twoją uczennicą. Mam prawo tu być, zapomniałeś?

Okazało się, że powiedziała coś niewłaściwego i nie miała pojęcia czemu. Myrnin

zastygł bez ruchu, a światełko w jego oczach zabłysło jeszcze większym szaleństwem. Brzydkie to było, mocno przerażające. Kiedy się poruszył, zrobił to z gracją węża.

- Moja uczennica - powtórzył. - A zatem moja własność. Mogę robić, na co mam ochotę.

Królewska kobra.

- Sam! - Claire wrzasnęła i rzuciła się w stronę schodów.

Udało jej się zrobić tylko dwa kroki. Myrnin przeskoczył stół, roztrzając szklane naczynia, które posypały się deszczem połyskujących odprysków na podłogę, a potem poczuła jego dłonie, nieprawdopodobnie silne dłonie na kostkach nóg. Szarpnął ją w tył. Szukała rękoma czegoś, czego mogłaby się przytrzymać, ale trafiła tylko na wieżę z książek, która runęła w tej samej chwili, w której Claire się przewróciła.

Uderzyła o podłogę tak mocno, że cały świat na kilka niepewnych sekund zawirował jej przed oczami, a kiedy mruganiem pozbyła się gwiazd sprzed oczu, Myrnin trzymał ją za ramiona i wpatrywał się w nią z odległości kilku centymetrów.

- Nie rób tego - poprosiła. - Myrnin, nie. Jestem twoją przyjaciółką. Nie zrobię ci nic złego!

Nie wiedziała, dlaczego powiedziała właśnie to, ale najwyraźniej trafiła na właściwe słowa. Oczy otworzył szerzej, wkoło tęczy pokazało się białko, a potem ten błysk szaleństwa zniknął, zmyty falą łez. Poklepał ją po policzku, delikatnym, niepewnym ruchem i zamknął usta.

- Drogie dziecko! - powiedział. - Co ty tu robisz? Amelie kazała ci tu przyjść? Nie powinna była. Jesteś o wiele za młoda i za dobra. Powinnaś jej powiedzieć, że już tu nie wrócisz. Nie chcę cię skrzywdzić, a przecież skrzywdzę. - Poklepał się po czole, a łzy wymknęły mu się spod powiek i zaczęły płynąć po policzkach. - Muszę mieć jakiegoś ucznia, ale nie ciebie. Nie ciebie, Claire. Jesteś za młoda. Za malutka. Wyzwalasz we mnie bestię.

Podniósł się i odsunął, cmokając językiem na widok potłuczonego szkła. Zupełnie jakby przestała dla niego istnieć. Claire usiadła, a potem podniosła się na nogi, roztrzęsiona i przestraszona.

Sam stał zaledwie kilka kroków od niej. Nie zauważyła ani nie dosłyszała jego nadejścia, a on na razie nie zrobił nic, żeby ją ratować. Twarz miał spiętą, w oczach niepokój.

- On jest chory - stwierdziła Claire.

- Chory, chory, chory, tak, jestem chory - powtórzył Myrnin. Trzymał teraz twarz

w dłoniach, jakby bolała go głowa.

- Wszyscy jesteście chorzy. Wszyscy jesteście skazani.

- O czym on mówi? - Claire odwróciła się do Sama.

- Nie wiem. - Pokręcił głową. - Nie słuchaj go.

Myrnin podniósł głowę i obnażył zęby. W oczach miał wściekłość, ale były zarazem przytomne. W miarę przytomne, przynajmniej.

- Nie powiedzą ci prawdy, moja mała przekąseczko, ale ja ci ją powiem. Umieramy. Siedemdziesiąt lat temu...

Sam pociągnął Claire za sobą, żeby zejść z oczu Myrninowi, i po raz pierwszy, odkąd go znała, faktycznie wyglądał groźnie.

- Myrnin, zamknij się!

- Nie. Czas zacząć o tym mówić. Już dość długo milczałem.

- Podniósł zaczerwienione, pełne łez oczy. - Och, mała dziewczynko, nie rozumiesz? Moja rasa ginie. Moja rasa ginie, a ja nie wiem, jak to powstrzymać.

Claire otworzyła usta, a potem zamknęła je, bo nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Sam odwrócił się do niej, a wściekłość nadal promieniowała od niego jak fala ciepła.

- Zignoruj go - poradził. - On sam nie wie, co mówi. Powinniśmy stąd iść, zanim sobie przypomni, co chciał zrobić.

Albo zapomni, że nie powinien.

Claire obejrzała się przez ramię na Myrnina, który trzymał w dłoniach roztrzaskaną probówkę, usiłując złożyć razem dwa kawałki szkła. Kiedy mu się nie udało, upuścił je na ziemię i znów zakrył twarz obiema rękoma. Widziała, że ramiona mu drżą.

- Czy my... Czy ktoś nie mógłby mu pomóc?

- Nie można mu pomóc - stwierdził Sam głosem drżącym z gniewu. - Nie ma na to lekarstwa. A ty już tu nie wrócisz, jeśli będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 6

Claire mniej więcej pół drogi do domu milczała, a Sam też się nie odzywał. Ale wreszcie nie wytrzymała, tyle pytań cisnęło się jej na usta.

- On mówił prawdę, tak? - odezwała się. - Jest jakaś choroba. Amelie chciała, żebym myślała, że nie stwarza więcej wampirów z własnej woli, ale to nie do końca prawda, tak? Po prostu wy już tego nie możecie. A spośród was tylko ona nie choruje.

Sam zrobił obojętną i niewzruszoną minę w świetle padającym od strony deski rozdzielczej. Siedząc w tym samochodzie, czuła się jak w trakcie lotu kosmicznego - przez ciemne szyby nie widać było nawet światła gwiazd, więc byli tylko oni dwoje, zanurzeni w tym małym prywatnym wszechświecie. Sam włączył radio, z którego leciała muzyka klasyczna, coś lekkiego i słodkiego.

- Nie ma sensu prosić cię, żebyś się zamknęła, prawda?

Z żalem odparła:

- Obawiam się, że tak. I nie przestanę próbować dowiedzieć się, o co chodzi.

Sam pokręcił głową.

- Czy ty masz choć resztki instynktu samozachowawczego?

- Shane też ciągle mnie o to pyta.

Mimo niepokoju Sam uśmiechnął się na te słowa.

- No dobrze - dał za wygraną. - Amelie też jest chora. Coraz trudniej przychodzi jej stwarzanie nowych wampirów - ledwie udało jej się przemienić Michaela. Strasznie się bałem, że ją to tym razem zabije. Prawdę mówiąc, wszyscy jesteśmy chorzy.

Myrnin szuka przyczyn, i lekarstwa, już od siedemdziesięciu lat, ale teraz jest już za późno. Jego choroba za bardzo się posunęła i niewielkie są szanse, że ktoś zdąży mu pomóc. Claire, ja nie mogę pozwolić, żeby ona cię w taki sposób poświęcała. Mówiłem ci, że miał pięcioro asystentów. Nie chcę, żebyś stała się kolejną liczbą w statystyce.

O Boże, więc wszystkie wampiry umierają. Claire poczuła przypływ adrenaliny, tak silny, że aż ręce jej się od tego zatrzęsły. Czuła dziwnego rodzaju... satysfakcję. Nad którą dominowało jeszcze coś innego, jakby... Poczucie winy. No bo co z Samem? Co z Michaeliem? Tak, no i co z Oliverem i wszystkimi innymi przypominającymi go wrednymi wampirami? Czy nie byłoby super zobaczyć, jak giną?

- A co się stanie, jeśli nie znajdzie lekarstwa? - spytała.

Usiłowała nie zdradzać swoich uczuć, ale była pewna, że Sam wyczuwa

przyspieszone bicie jej serca. - Jak długo...?

- Claire, powinnaś zapomnieć, że w ogóle coś na ten temat słyszałaś. Poważnie mówię. W Morganville jest wiele sekretów, i za ten mogłabyś zapłacić życiem. Nie mów nic, rozumiesz?

Ani swoim przyjaciołom, ani Amelie. Rozumiesz?!

Przejęcie, z jakim mówił, przeraziło ją jeszcze bardziej niż u Myrnina, bo Sam nad sobą panował. Pokiwała głową.

Ale to nie powstrzymało pytań, które zalewały jej umysł, ani sugerowanych przez nie możliwości.

Sam wypuścił ją przy krawężniku i patrzył w ślad za nią, póki nie weszła bezpiecznie do domu. Było już zupełnie ciemno, i w taką chłodną, pogodną noc mnóstwo wampirów wybiera się na polowanie. Prawdopodobnie nikt by jej nie zaatakował, ale Sam nie był w nastroju do podejmowania ryzyka.

Claire zatrzasnęła drzwi za sobą i pozamykała zamki, przez długich kilka sekund stała oparta o drewniane drzwi i usiłowała pozbierać myśli. Wiedziała, że przyjaciele będą ją zarzucać pytaniami - gdzie była i czy zwariowała, że wraca, kiedy jest tak ciemno - ale nie mogła na nie odpowiedzieć, nie sprzeciwiając się poleceniom Amelie albo Sama.

A więc umierają... Wydawało się, że to niemożliwe; wampiry robiły wrażenie takich silnych, takich przerażających. A przecież sama widziała. Widziała, jak funkcjonował umysł Myrnina, widziała lęk Sama. Nawet los Amelie, idealnej, lodowato spokojnej Amelie był z góry przesądzony. Czy to nie jest dobra wiadomość? A jeśli tak, to dlaczego czuła się tak paskudnie na samą myśl o Amelie, popadającej powoli w szaleństwo jak Myrnin?

Claire jeszcze parę razy głęboko odetchnęła, siłą woli przestała na chwilę walczyć to wszystko w głowie i ruszyła w głąb domu,.

Daleko nie zaszła. Wszędzie leżały bagaże. Dopiero po chwili drgnęła i z przerażeniem zrozumiała, co się dzieje.

- O nie... - szepnęła. - To rzeczy Shane'a. - Zastawiały hol. Claire przepchnęła się między stertami pudeł i toreb. O cholera. Leżała tam konsola playstation, odłączona i jakby smutna, na jednym stosie z joypadem i kablem.

- Hej? Hej, chłopaki! Co się dzieje? - zawołała Claire, pokonując kolejne barykady.
- Jest tu kto?

- Claire? - Cień Michael pojawił się na końcu holu. - Gdzieś ty, do diabła, była?

- Ja... zatrzymano mnie dłużej w pracowni chemicznej - powiedziała. Co nawet nie było kłamstwem. - O co chodzi?

- Shane się wyprowadza - prychnął Michael. Minę miał mocno rozzłoszczoną, ale usiłował złością pokryć przykrość.

- Cieszę się, że już jesteś. Miałem już zamiar cię szukać.

Claire usłyszała niewyraźny szmer głosów na piętrze. Głos Eve, wysoki i wojowniczy. Niski pomruk głosu Shane'a. Potem minuta ciszy, a później Shane zszedł na dół z jakimś pudłem. Twarz miał bladą, ale minę zaciętą, i chociaż zawahał się na moment, widząc, że Claire wróciła, zszedł na sam dół.

- Powaga, idioto, co ty wyrabiasz, do jasnej cholery? - spytała Eve, stając u szczytu schodów. Ominęła go i zastąpiła mu drogę, zmuszając, żeby się cofnął. Shane też próbował ją obejść. - Yo, ty wioskowy kretynie! Mówi się do ciebie!

- Chcesz tu z nim mieszkać, świetnie - wycedził Shane mocno spiętym tonem. - Aleja wyjeżdżam. Mam dość.

- Wyprowadzasz się nocą?! Na głowę upadłeś?

Zrobił unik w prawo i ominął Eve z lewej strony.

I wpadł na Claire, która ani drgnęła. Nie odezwała się ani słowem i po paru chwilach milczenia Shane powiedział:

- Przepraszam. Muszę to zrobić. Mówiłem ci.

- Chodzi o twojego ojca? - spytała. - Czy o te uprzedzenia, których teraz nabrałeś do Michaela?

- Uprzedzenia? Jezus, Claire, zachowujesz się, jakby to nadal był Michael. No cóż, to nie on. Jest jednym z nich. Skończyłem już z tym szajsem. Jeśli będę musiał, złamię prawo i dam się wsadzić za kratki. Wolę to, niż mieszkać tutaj i patrzeć na niego...

- Shane urwał i na chwilę przymknął oczy. - Ty nie rozumiesz. Ty po prostu nie rozumiesz, Claire. Nie dorastałaś w tym mieście.

- Ale ja dorastałam. - Eve podeszła krok bliżej. - I nie łapię tej twojej paranoicznej bulszyterki. Michael nikogo nie skrzywdził. A już zwłaszcza ciebie, durniu. Więc wyluzuj.

- Wyluzowałem - powiedział Shane. - Wyjeżdżam.

Claire nie ustępowała mu z drogi.

- A co z nami?

- Chcesz ze mną jechać?

Powoli pokręciła głową i dostrzegła ból na jego twarzy. Po sekundzie znów była

stanowcza.

- No to nie mamy o czym gadać. I przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale nie ma żadnego „nas”. Nie zrozum mnie źle, Claire, fajnie było, ale w sumie nie jesteś w moim typie...

Michael wykonał błyskawiczny ruch. Wyrwał pudło z rąk Shane'a, które przeleciało pół holu, resztę drogi przejechało po podłodze, aż wreszcie rąbnęło o ścianę, a ze środka wysypała się zawartość.

- Przestań - krzyknął i złapał Shane'a za ramiona, rozplaszczając go na ścianie. - Nie waż się tak jej traktować. Bądź świnią wobec mnie, proszę cię bardzo. Bądź wredny wobec Eve, jeśli masz ochotę, ona ci odda pięknym za nadobne. Ale nie wyzywaj się na Claire. Dość już mam tych bzdetów, Shane - urwał zaczerpnąć tchu, ale gniew wcale mu nie mijał, jeszcze nie.

- Chcesz wyjechać, to jedź do diabła, ale lepiej przyjrzyj się sam sobie uważnie, stary. Twoja siostra zginęła. Twoja mama zginęła. Twój ojciec to niebezpieczny bandyta pełen uprzedzeń.

Ale ty już nie będziesz dłużej robił z siebie ofiary. Ciągłe ci ustępujemy, a ty ciągle dajesz ciała i po prostu dość już tego. Nie pozwolę ci dłużej jęczeć, że twoje życie jest trudniejsze niż nasze.

Shane zrobił się blady jak ściana, a potem poczerwieniał.

I rąbnął Michaela w twarz. To był mocny cios. Claire skrzywiła się i ze współczucia zakryła usta dłonią, cofając się nieco.

Michael nawet nie drgnął. W ogóle nie zareagował. Patrzył tylko Shane'owi prosto w oczy.

- Jesteś taki sam jak twój tata - stwierdził. - Co, teraz mnie dźgniesz kołkiem? Głowę mi odetniesz? Zakopiesz na tyłach domu? Pasuje ci takie coś, przyjacielu?

- Tak! - wrzasnął mu Shane prosto w twarz, a w jego oczach było coś tak strasznego, że Claire nie mogła nawet drgnąć. Nie mogła złapać oddechu.

Michael puścił go, odszedł i pogrzebał w stercie rzeczy, które się wysypały z pudła niesionego przez Shane'a. Coś z niej wybrał.

Zaostrzony kołek.

Niebezpiecznie ostry myśliwski nóż.

- Przygotowałeś się - wycedził i rzucił oba przedmioty Shane'owi, który złapał je w locie. - No to do dzieła.

Eve krzyknęła i zasłoniła Michaela własnym ciałem, ale on łagodnie i stanowczo

odsunął ją na bok.

- No już - powiedział. - Albo to zrobimy teraz, albo i tak do tego wrócimy później. Chcesz się wyprowadzić, żeby móc mnie zabić z czystym sumieniem. Po co czekać? No, stary, do roboty. Nie będę stawiał oporu.

Shane obracał nóż w ręku, a przy każdym nerwowym poruszeniu jego ostrze połyskiwało w świetle. Claire stała bez ruchu zmrożona zimnem i nie przychodziło jej na myśl nic, co mogłaby powiedzieć czy zrobić. Co się tutaj działo? Jakim cudem zrobiło się aż tak źle? Co...

Shane zrobił krok w stronę Michaela, wielki krok, ale Michael ani drgnął. Jego oczy wcale nie były zimne i wcale nie miały tego wampirzego, przerażającego spojrzenia. Te oczy były ludzkie i pełne lęku.

Przez długą chwilę nikt się nie poruszał, a potem Michael się odezwał:

- Wiem, że tobie się wydaje, że ja cię zdradziłem, ale to nieprawda. Tu wcale nie chodziło o ciebie. Chodziło o mnie i zrobiłem to po to, żeby nie siedzieć tu już dłużej jak w pułapce. Ja tu umierałem. Pogrzebany żywcem.

Shane skrzywił się, jakby ten myśliwski nóż przewierał jego wnętrzności.

- No to może powinieneś być umrzeć. - Uniósł dłoń, w której ścisnął kołek.

- Shane, nie! - wrzeszczała Eve, usiłując stanąć między nimi, ale Michael ją powstrzymywał. Obróciła się do niego z furią. - Przestań, do diabła! Przecież wcale nie chcesz umrzeć!

- Nie chcę. On wie, że nie chcę.

Shane zamarł, cały drżał. Claire obserwowała jego twarz, jego oczy, ale nie umiała zgadnąć, o czym myślał. Co czuł. To była twarz, której zupełnie nie znała.

- Byłeś moim przyjacielem. - Shane mówił drżącym głosem. - Byłeś moim najlepszym przyjacielem. No, jak jeszcze to wszystko może się pochrzanić?

Michael nic nie odpowiedział. Podeszedł o krok, wyjął Shane'owi z rąk nóż i kołek i objął kumpla. I tym razem Shane nie stawiał oporu.

- Idiota - westchnął Michael i poklepał go po plecach.

- Nieważne. Sam zacząłeś - mruknął Shane, cofnął się i potarł oczy grzbietem ręki.

- Rozejrzył się wkoło i spojrzał na Claire. - Miałaś już dawno być w domu.

Cholera. Miała nadzieję, że dzięki awanturze z Shane'em zapomną o jej późnym powrocie. Ale, oczywiście, szukał teraz, sposobu na odwrócenie uwagi od siebie, a ona znalazła się pod ręką, łatwy cel.

- Właśnie - powiedziała Eve. - Zdaje się zapomniałaś, jaki jest do nas numer.

Mogłaś zadzwonić i powiedzieć, że nie leżysz martwa w jakimś rowie.

- Nic mi nie jest.

- Ale Amy owszem. Została zamordowana i wepchnięta do naszego pojemnika na śmieci, więc wybaczyć, że się nieco niepokoiłam, że ktoś cię mógł zabić. - Eve skrzyżowała ramiona na piersiach, a jej mroczne oczy jeszcze pociemniały ze złości.

- Już sprawdzałam, czy tam cię nie ma, zanim Shane rozpętał to swoje badziewne przedstawienie.

O kurczę. W stresie związanym z całym popołudniem w towarzystwie Myrnina zupełnie zapomniała o śmierci Amy. Oczywiście, że Eve się wściekała, nie, nie tyle nawet wściekała, ile po prostu zwyczajnie bała.

Claire obawiała się spojrzeć w oczy Shane'owi. Zamiast tego bezradnie popatrzyła na Michaela.

- Przepraszam. Ja się... zasiedziałam w pracowni chemicznej, no i... powinnam była chyba zadzwonić.

- I przyszedł do domu piechotą? Po ciemku? - Kolejne pytanie, którego wolałaby uniknąć. Wzruszyła tylko ramionami.

- Wiesz, jak nazywają w Morganville przechodniów? Przenośny bank krwi. - Głos Michaela też brzmiał chłodno. Chłodno i gniewnie. - Przestraszyłaś nas wszystkich okropnie. To do ciebie niepodobne, Claire. Co się stało?

Shane stanął obok niej i na moment ulżyło jej, że chociaż on się na nią nie wścieka. Ale zaraz odsunął jej bluzę pod szyję, najpierw z prawej, potem z lewej, sprawnie i brutalnie sprawdzając, czy nie ma śladów ugryzień na szyi. Zaskoczył ją tak, że nie próbowała stawiać oporu. Potem podciągnął jej prawy rękaw aż za łokieć i uniósł rękę, żeby jej się przyjrzeć.

A kiedy sięgnął do lewej, przeszył ją elektryczny prąd niepokoju. Bransoletka. O Boże.

Wyrwała mu się i odepchnęła go.

- Nic mi nie jest, jasne? Nic mi nie jest! Żadnych śladów po kłach!

- No to pokaż - zażądał Shane. Oczy miał skupione i przestraszone, i to spojrzenie łamało jej serce. - No dawaj, Claire.

Udowodnij.

- Dlaczego mam ci cokolwiek udowadniać? - Wiedziała, że źle postępuje i jakoś idiotycznie złościło ją, że on się tak bardzo denerwuje - Nie jesteś moim właścicielem jak jakiś wampir!

Powiedziałam już, że nic mi nie jest! Dlaczego mi zwyczajnie nie zaufasz?

Zrobiłaby wszystko, żeby cofnąć te słowa, ale było za późno. Walnęły w niego jak uderzenie w twarz. A on już tyle przeszedł, I Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego...

Michael stanął między nimi. Spojrzał przez ramię na Sliane'a.

- Ja się tym zajmę. - Zasłaniał Eve i Shane'owi widok. Zanim Claire zdążyła zrobić coś, żeby go powstrzymać - jakby zresztą cokolwiek zrobić mogła - złapał ją za lewą rękę i podciągnął rękaw bluzki aż po łokieć.

Przez sekundę jak oniemiały wpatrywał się w złotą bransoletkę, a potem podniósł jej rękę w górę i obejrzał z obu stron. I opuścił rękaw bluzki, zasłaniając dowód w postaci biżuterii.

- Wszystko w porządku - powiedział i spojrzał jej w oczy.

Mówiła prawdę. Zresztą wiedziałbym, gdyby jakiś wampir ją ukąsił. Poczulbym to.

Shane otworzył usta, a potem zamknął je bez słowa. Zrobił kolejny krok w tył, patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem zawrócił.

Eve zawołała:

- Może weźmiesz na górę swoje manatki, o ile planujesz zostać.

- Potem - uciał Shane i ruszył po schodach, nie oglądając się za siebie.

- Lepiej z nim porozmawiam - westchnęła Claire. Michael przytrzymał ją za ramię.

- Nie - powiedział. - Najpierw porozmawiasz ze mną.

Pchnął ją stronę kuchni. Zza ich pleców Eve prychnęła:

- Kolejny udany rodzinny obiad! A co tam... Zjem ostatniego hot doga!

Nawet za zamkniętymi drzwiami kuchni Michael nie chciał ryzykować. Pociągnął Claire za sobą w stronę spiżarni, otworzył drzwi i włączył tam światło.

- Do środka - rozkazał. Weszła do spiżarni, a on zamknął drzwi za nimi. Dwóm osobom było tam ciasno, pachniało lekko zwiędzonymi przyprawami i octem po tym, jak kilka tygodni temu Shane upuścił butelkę. Michael zniżył głos do wściekłego syku.

- Gość ty, do cholery, zrobiła?

- To, co musiałam - odparowała. Cała się trzęsła, ale nie chciała dać się Michaelowi zastraszyć. Była zmęczona, a poza tym miała wrażenie, że ostatnio wszyscy próbują ją zastraszać.

Była może mała, ale nie słaba. - To był jedyny sposób. Amelie...

- Trzeba było porozmawiać ze mną. Porozmawiać z nami.

- A ty przyznałeś nam się, kiedy byłeś duchem? Zrobiłeś zebranie całego domu zanim zdecydowałeś się zostać prawdziwym wampirem? No właśnie. No cóż, nie ty

jeden możesz dokonywać własnych wyborów, Michael. A ja tak wybrałam, to moja decyzja i ja z tym będę żyła. A dzięki temu wszyscy będziecie bezpieczni.

- Bo kto tak mówi? - spytał bez ogródek Michael. - Amelie? Od kiedy to ufasz wampirom?

Nie odwracała wzroku od jego wielkich, niebieskich oczu.

- Tobie ufam.

Zdusił uśmiech.

- Wariatka.

- Pacan. - Pchnęła go, tak leciutko, a on jej na to pozwolił. Nawet udał, że się chwieje na nogach, chociaż wątpiła, żeby dało się wampira zbić z nóg, może tylko czasem jakiemuś innemu wampirowi. - Michael, ona nie zostawiła mi wyboru. Tata Shane'a... Chociaż wyjechał, narobił szkód. Shane'owi nie będą lulaj ufać, a ty wiesz, co się dzieje, kiedy...

- Kiedy komuś nie ufają - dokończył Michael poważnie.

Tak, wiem. Posłuchaj, nie martw się Shane'em. Ja go ochronię. Mówiłem ci...

- Możesz nie móc go ochronić. Słuchaj, bez obrazy, ale jesteś wampirem dopiero od jakichś dwóch tygodni. Mam książki z biblioteki, które leżą u mnie dłużej. Nie możesz obiecywać...

Michael wyciągnął rękę i położył palec na jej ustach, momentalnie ją uciszając. Jego niebieskie oczy były czujnie zmrużone i patrzył bardzo uważnie.

- Cii - szepnęła i wyłączyła światło.

Claire usłyszała trzaśnięcie drzwi kuchni, a potem głośnie siąkanie obcasów Eve na drewnianej posadzce.

- Halo? Haaalooo?! No świetnie. Dlaczego moi wszyscy współlokatorzy dąsają się jak małe dziewczynki albo znikają, kiedy trzeba zmyć naczynia? Michaelu Glass, jeśli mnie słyszysz, do ciebie mówię!

Claire o mało nie parsknęła śmiechem. Michael zakrył dłonią jej usta, żeby zdusić ten śmiech. Pociągnął ją za ramię i poszła za nim, poruszając się ostrożnie, żeby niczego nie zrzucić z półek. Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi na tyłach spiżarni, drzwi prowadzących do małego schowka, i schyliła się, żeby przez nie przejść. Po drugiej stronie panowała całkowita ciemność, nie było tam nawet odrobiny światła, jakie wpadało do spiżarni, i Claire ogarnęła lekka panika. Michael pchnął ją naprzód i z wahaniem weszła do kompletnie mrocznego schowka. Usłyszała, jak z bardzo cichym kliknięciem Michael zamyka drzwi za ich plecami i podłogę zalało

jasne elektryczne światło.

- Masz - powiedział Michael i podał jej latarkę. - Może zaczniesz nas tutaj szukać, ale dopiero później.

Do tej kryjówki Claire została wepchnięta swojego pierwszego dnia pobytu w Domu Glassów, nie było z niej innego wyjścia poza tym jednym. Od początku myślała, że to takie miejsce, w jakim wampir mógłby sobie ustawić parę podręcznych trumien, ale było tu zupełnie pusto. O ile wiedziała, Michael wolał spać na materacu.

- Miałam zamiar cię już wcześniej spytać. Co to za miejsce?

- Piwniczka na warzywa - wyjaśnił. - Ten dom zbudowano przed czasami lodówek, a dostawy lodu też bywały nieregularne. To tutaj trzymali większość zapasów warzyw.

- A więc... to nie jest kryjówka wampira?

Michael usiadł pod ścianą i z westchnieniem wyciągnął przed siebie długie nogi. Boże, jaki on był przystojny. Nic dziwnego, że Eve gotowa była przymknąć oko na brak pulsu. - O ile mi wiadomo, nie, ale z drugiej strony wampiry nigdy nie musiały się w Morganville ukrywać. Już prędzej ludzie.

Chociaż raczej nie zabrał jej tu po to, żeby rozmawiać właśnie o tym, pomyślała. Zaplotła ramiona na piersiach i poczuła, że bransoletka wbija jej się w skórę nadgarstka pod bluzką.

- Nie wiem, na jaki temat chciałeś mi zrobić wykład, ale już za późno. Podpisałam, sprawa zamknięta, na pamiątkę dostałam bransoletkę. - I nagle dziwnie zachciało jej się płakać.

- Michael...

- O co ona cię poprosiła? - Trafił tym pytaniem tak celnie, że poczuła jeszcze silniejszy nacisk łez zbierających się w oczach i w nosie.

- Hm... - Nie mogła mu powiedzieć, Amelie i Sam dali jej to wyraźnie do zrozumienia. - To tylko dodatkowe zajęcia. Chce, żebym więcej się uczyła.

- Czego? - Zmartwiony głos Michaela brzmiał ostro.

Claire...

- Niczego specjalnego. Takie tam naukowe sprawy. Pewnie i tak bym się tym w końcu zajęła, ale po prostu... Po prostu zajmie mi to o wiele więcej czasu i... I ja nie wiem, jak... - Jak utrzymać to w tajemnicy przed Shane'em. Bo przecież jakoś musi, prawda?

Już i tak źle, że znienawidził Michaela za to że jest wampirem.

Co sobie pomyśli o niej, że sprzedała się Amelii? - Ja po prostu nie wiem, jak sobie

z tym wszystkim poradzę.

I nagle się rozpląkała. Nie miała takiego zamiaru, ale stało się, nie mogła powstrzymać łez. Myślała, że Michael zrobi to, co zwykle Shane, że zacznie ją pocieszać, ale pomyliła się. Siedział, nie ruszał się z miejsca i patrzył na nią. Kiedy jej szloch ucichł i otarła dłonią policzki, odezwał się:

- Już?

Przełknęła i pokiwała głową.

- Dokonałaś wyboru, a teraz chcesz mieć i jedno, i drugie: zachować korzyści, ale uniknąć konsekwencji. Tak się nie da, Claire. Musisz wypić piwo, którego nawarzyłaś, i lepiej załatw to teraz, nie zwlekaj z tym. - Michael złagodził ton, chociaż tylko trochę.

- Posłuchaj, nie jestem wredny, wiem, jak bardzo się boisz. Ale teraz, w tym mieście, weszłaś do gry. Już nie jesteś przerażonym maleństwem, które wzięliśmy pod swoje opiekuńcze skrzydła. Teraz ty starasz się chronić nas. A to znaczy, że możesz nie być już tak bardzo lubiana jak przedtem i musisz jakoś się z tym uporać.

- Jak to? - Była oszołomiona. W jakiś sposób wcale nie spodziewała się, że sprawy zaczną iść w takim kierunku. A zwłaszcza nie spodziewała się tego chłodnego, wymagającego spojrzenia Michaela i braku przyjaznego uścisku.

- Podpisanie kontraktu to niejedna decyzja i wybór, jakiego będziesz musiała dokonać - powiedział. - To te wybory, które zaczniesz podejmować teraz, pokażą, czy zrobiłaś dobrze, czy źle. - Wstał, blady i silny, i tak piękny jak anioł w promieniu światła latarki Claire. - I przestań mnie okłamywać. Powinnaś lepiej to wszystko rozgrywać.

- Ja... Jak to?

- Powiedziałaś, że Amelie kazała ci po prostu więcej się uczyć - stwierdził ponuro. - A ja widzę, kiedy kłamiesz. Nie, nie będę cię wypytywał, bo widzę, że się tego boisz, ale po prostu zapamiętaj sobie, wampiry wiedzą, dobra?

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Claire patrzyła za nim, z otwartymi ustami, ale zanim zdążyła podnieść się na nogi i wyłączyć latarkę, Michael zniknął, wyszedł ze spiżarni. Kiedy Claire poszła za nim, okazało się, że już siedział na kanapie, a Eve skuliła się obok niego, opierając głowę o jego tors. Coś razem oglądali w telewizji, a Eve podążyła wzrokiem za Claire, która minęła ich szybko, mrużąc jakieś przeprosiny.

Przystanąła na schodach i obejrzała się na nich. Dwie nieobojętne jej osoby, dzielące się chwilą spokojnego szczęścia.

Michael był wampirem, a to oznaczało, że umierał. Jak My - nin. Będzie cierpiał, zacznie popadać w szaleństwo i krzywdzić ludzi.

Mógłby nawet skrzywdzić Eve, niezależnie od tego jak bardzo mu na niej zależało.

Łzy zakręciły jej się w oczach i zabrakło jej tchu. Kiedy problem był czysto abstrakcyjny, kiedy oznaczał, że Morganville minus wampiry równa się bezpieczeństwo, wtedy wyglądało to zupełnie inaczej, ale teraz już nie była to kwestia abstrakcyjna. Chodziło o ludzi, których znała, a nawet kochała. Nie płakałaby nad Oliverem, ale jak mogła być obojętna na los Michaela? Albo Sama? A nawet i Amelie?

Claire wzięła plecak i poszła na górę.

Drzwi do pokoju Shane'a były zamknięte. Zapukała. Przez długą chwilę nie reagował, a potem zapytał:

- Pójdiesz sobie, jeśli cię zignoruję?

- Nie - odparła.

- No to równie dobrze możesz wejść.

Leżał na łóżku i gapił się w sufit, z rękoma za głową, i nie spojrzał na nią, kiedy wchodziła i zamykała drzwi za sobą.

- A więc tak będziemy takie sprawy załatwiać? - spytała.

- Ja zrobię coś głupiego, na przykład wrócę do domu późno, a ty będziesz się wściekał i uciekał do siebie, a potem ja przyjdę i przeproszę, i wszystko naprawię?

Shane spojrzał na nią zaskoczony i powiedział:

- Może być.

Claire pomyślała o Michaelu, o tym nagle dorosłym sposobie, w jaki zaczął ją traktować. Usiadła na łóżku obok Shane'a i przez kilka chwil wpatrywała się w podłogę, zbierając odwagę, a potem podciągnęła rękaw, żeby pokazać bransoletkę.

Shane nic nie powiedział. Usiadł powoli, wpatrując się w lśniącą złotą obrączkę z symbolem Założycielki.

- Musimy porozmawiać - odezwała się. Była przerażona i robiło jej się niedobrze, ale wiedziała, że to właściwa decyzja. Jedynym innym wyjściem było kłamać, ale nie mogła kłamać bez końca. Co do tego Michael miał rację.

Shane mógł zrobić wszystko - mógł uciec, mógł wyrzucić ją ze swojego pokoju. Mógł ją nawet uderzyć.

Zamiast tego wziął ją za rękę, pochylił głowę i poprosił:

- Opowiedz mi.

Eve nie okazała się tak wyrozumiała.

- Czyś ty na głowę upadła?! - Porwała pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w rękę, chcąc czymś rzucić - tak się złożyło, że był to joypad do playstation - i Shane szybkim, ostrożnym ruchem wyjął pocisk z jej dłoni. Claire pomyślała, że może nie zareagowałby tak błyskawicznie, gdyby Eve złapała, dajmy na to, książkę.

- Spróbujmy zachowywać się jak dorośli - powiedział Michael. Znów byli wszyscy razem na dole, chociaż Shane i Michael wyraźnie nadal stali po przeciwnych stronach barykady, Zrobiło się późno - dochodziła już jedenasta - i Claire zaczynała odczuwać efekty bardzo drugiego, ciężkiego dnia. Ziewnęła nawet, zarabiając kompletnie zdesperowane spojrzenie Eve.

- Och, przepraszam, że nie dajemy ci iść spać! Michael, jak mamy traktować tę sprawę jak dorośli, skoro jedna osoba nie jest wcale dorosła? - Eve wskazała na nią trzęsącym się palcem.

- Claire, jesteś jeszcze dzieckiem. A konkretnie, jesteś durną szczeniarką, która mieszka w tym mieście od niecałych dwóch miesięcy. Nie masz pojęcia, co robisz!

- Być może - zgodziła się Claire. Głos miała prawie spokojny, co ją zdziwiło i ucieszyło. Nieprzyjemnie jej było, kiedy Eve się na nią gniewała. W ogóle nie lubiła, żeby ktoś się na nią gniewał. - Ale cóż, stało się. Dokonałam wyboru, cała ta rozmowa nie ma już teraz sensu. Ale chciałam wam powiedzieć. Nie chciałam... - Na moment popatrzyła Michaelowi w oczy - was okłamywać.

- A dlaczego nie, do diabła? Wszyscy tu wkoło kłamią. Michael kłamał, kiedy był duchem. Shane bez przerwy łże. To czemu nie ty?

Shane jęknął.

- Yo, Królowo Sceny, spuść może trochę z tonu! Podkradłaś ten występ Sarze Bernhard, tęskni teraz za nim.

- Och, jakbyś ty nie wpadał w histerię, ile razy ktoś niechcący ci naciśnie guziczek do włączania lęków egzystencjalnych!

Claire spojrzała bezradnie na Michaela, który z trudem zachowywał powagę. Wzruszył ramionami i podszedł o krok. A to, oczywiście, znaczyło, że Shane się o krok cofnie.

- Eve - powiedział Michael, Shane'a na razie ignorując. - Przyznaj dziewczynie jedno. Przynajmniej powiedziała ci sama i nie kazała ci się wszystkiego domyślać.

- Tak, ale mnie powiedziała na końcu! - Eve spiorunowała wzrokiem chłopaków, dłonie opierając na biodrach.

- Osobisty chłopak - powiedział Shane, unosząc dłoń.

- Właściciel domu - dodał Michael.

- Cholera - westchnęła Eve. - Dobra, następnym razem, kiedy będziesz zaprzedać duszę diabłu, mnie informujesz najpierw! Babska solidarność, jasne?

- Hm... Jasne.

- Kretynka. - Eve była rozbrojona. - W głowie mi się nie mieści, że to zrobiłaś. Tak ciężko pracowałam, żeby się wymigać z tego całego szajsu z Ochroną, a teraz ty się pojawiaasz, całkiem. ., Chroniona. A ja tylko chciałam, żebyś była... bezpieczna. I nie jestem pewna, czy to jest bezpieczne.

- Ja też nie - przyznała Claire. - Ale przysięgam, nic lepszego nie umiałam wymyślić. I przynajmniej to Amelie. Ona jest w porządku, prawda?

Wszyscy popatrzyli po sobie. Shane się odezwał:

- Ale nie chcesz nam powiedzieć, dlaczego ona każe ci do pozna zostawać poza domem.

- Nie, ja... Ja nie mogę powiedzieć.

- No to ona nie jest w porządku - stwierdził Shane. - Ale nikt nie miał żadnych sensownych pomysłów, jak to wszystko naprawić, i Claire zapadła w końcu w sen na kanapie, z głową na kolanach Shane'a, a on, Michael i Eve nadal gadali, gadali i gadali. Dochodziła trzecia rano, kiedy się ocknęła.

Shane nie ruszył się z miejsca, ale ktoś przykrył ją kocem, a on też mocno spał, wypromowany, na siedząco.

Claire ziewnęła, jęknęła, bo zeszywniały jej mięśnie, i wreszcie wstała z kanapy.

- Shane. Wstawaj. Musisz iść do łóżka.

Budził się tak słodko, łagodny w swoim rozespaniu.

Pójdziesz ze mną? - Nie całkiem żartował. Zapamiętała, jak się czuła, skulona u jego boku tej nocy, kiedy była taka przerażona. Wtedy uważał, ale nie była pewna, czy może liczyć na podobne opanowanie o trzeciej rano, kiedy on na wpół śpi.

- Nie mogę - powiedziała z ociąganiem. - Uśmiechnął się i wyciągnął na kanapie, zostawiając trochę miejsca między swoim ciepłym ciałem a poduszkami.

- Zostań - poprosił. - Obiecuję, że nie pozbędziesz się żadnego ciucha. No, może butów. Buty liczą się jako ciuch?

Zsunęła buty z nóg i przelazła nad nim, wsuwając się w wąską lukę, i westchnęła z ulgą, kiedy przytuli się do niej całym ciałem. Nie potrzebowała nawet koca, ale i tak nakrył ich oboje ., a potem odsunął włosy z jej szyi i pocałował ją w wrażliwą skórę.

- Chciałeś wyjechać - szepnęła. Zastygł bez ruchu. Co mogła stwierdzić, oddychać

też przestał. - Chciałeś wyjechać, a nawet nie wiedziałeś, czy nic mi się nie stało.

- Nie. Miałem zamiar cię poszukać.

- Ale najpierw się spakowałeś.

- Claire, ja nawet nie wiedziałem, że nie wróciłaś do domu, dopóki Eve nie przyszła na górę i nie zaczęła na mnie wrzeszczeć. Zamierzałem cię poszukać.

Obejrzała się na niego i zobaczyła rozpacz w jego oczach.

- Proszę, uwierz mi.

Wbrew własnej woli, wbrew rozsądkowi, uwierzyła mu. Poczula się bezpieczna, chroniona przed trudnym światem tym ciepłem emanującym z jego ciała.

Objął ją w tali ramieniem i poczuła się absolutnie bezpieczna.

- Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało - zapewnił. To była obietnica jakiej prawdopodobnie nie mógłby dotrzymać, ale w nocy, w ciemności, znaczyła dla niej wszystko. - Hej?

- Co?

- Chcesz się powygłupiać?

Chciała.

Jakoś musiała odpłynąć w sen, bo obudziła się z pulsującym bólem głowy i walącym sercem, z wrażeniem, że dzieje się coś bardzo, ale to bardzo złego. Przez chwilę, przytomniejąc, miała wrażenie, że czuje dym, i z miejsca usiadła prosto, ogarnięta paniką. Dom już raz o mało nie spłonął...

Nie, to nie ogień, ale coś zdecydowanie nie pasowało. W atmosferze domu coś się zmieniło. Ten zapach dymu to był jakiś sygnał, jaki dom jej wysyłał. Sygnał, żeby wstała z łóżka.

Shane nadal leżał obok niej na kanapie, ale też już nie spał i po chwili zerwał się na nogi, jakby on też to samo poczuł.

- Co się dzieje? - Claire przeszył prąd. - Shane?

- Coś złego.

Oboje zamarli, słysząc głośny jęk syreny. Zabrzmiało to tak, jakby dochodził dokładnie sprzed domu.

Claire usłyszała kroki na schodach i zobaczyła Eve, która szybko schodziła na dół w atlasowej koszulce nocnej i puchatym, czarnym szlafroku. Na twarzy Eve nie było ani śladu gotyckiego makijażu, była zarumieniona, zdenerwowana i przestraszona.

- Co jest? Co się stało?

- Nie wiem - powiedział bezradnie Shane. - Coś złego. Nie czujesz tego?

Sytuacja była niezwykła, zaledwie dochodziła szósta, a oni byli na nogach.

Eve zeszła na dół i szarpnęła linkę, podnosząc żaluzje zasłaniające okno wychodzące na ulicę. Wszyscy wyjrzeni. Przed domem stał samochód policyjny, jego syrena nadal wylała, a światła na dachu rzucały ciepłe kręgi na ciemnoczerwonego sedana, który stał przy krawężniku, z drzwiami otwartymi od strony kierowcy. Światła nadal włączone oświetlały ciało.

Szyby sedana były przyciemniane.

To był samochód wampira.

Eve krzyknęła, odwróciła się i spojrzała na nich szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

- Gdzie Michael? - krzyknęła, a Claire idiotycznie obejrzała się za siebie, jakby spodziewała się, że będzie tam stał.

Wszyscy jeszcze raz spojrzeli na ulicę, na samochód, na ciało.

- To niemożliwe - szepnęła Claire. Shane już biegł do drzwi, Eve stała jak wryta, nieruchoma. Claire objęła ją i poczuła, że przyjaciółka drży.

Zobaczyła, że Shane wybiega na ulicę i kierując się w stronę ciała; gliniarz, który właśnie wysiadł z wozu patrolowego, złapał go za ramię, odwrócił szarpnięciem i rzucił twarzą na maskę wozu. Shane coś krzyczał.

- Muszę tam iść - stwierdziła Claire. - Nie ruszaj się stąd.

Eve w milczeniu skinęła głową. Claire nie chciała tak jej zastawiać, ale Shane miał areszt jak w banku, jeśli nadal będzie się tak szarpał, a kto wie, co go może spotkać w więzieniu?

Była dopiero na werandzie, kiedy kolejny policyjny wóz wyjechał zza rogu, na zapalonych światłach, z włączoną syreną, która jeszcze tylko zwiększyła ogólny chaos. Zahamował obok tego pierwszego i wysiadł z niego kolejny policjant, przystając w miejscu, gdzie przytrzymywano Shane'a.

Claire nie rozpoznawała policjanta, który trzymał Shane'a twarzą w dół na masce samochodu, ale tego nowego owszem. To był Richard Morrell. Starszy brat Moniki. To nie był zły gość, tyle że miał te same obrzydliwe geny. Zmienił pierwszego gliniarza, który odsunął się na bok.

- Psiakrew! Shane, do cholery, uspokój się. To miejsce popełnienia przestępstwa, nie mogę cię tam puścić, jasne? Uspokój się!

Richard próbował uspokoić Shane'a, a drugi policjant podszedł i przykucnął obok leżącego na ulicy ciała. Claire podeszła jeszcze o krok, a policjant wyjął latarkę i

oświetlił nią twarz leżącego na ziemi mężczyzny. W jej świetle jego włosy zabłysły czerwienią.

Nie Michael.

Sam.

W piersi tkwił kołek. Sam leżał biały i nieruchomy.

- Richard! - zawołał policjant. - To Sam Glass! Wydaje mi się, że nie żyje!

- Sam - szepnęła Claire. - Nie...

Sam był dla niej miły, a tu ktoś wyciągnął go z samochodu i wbił mu drewniany kołek w serce.

- Cholera! - rzucił Richard. - Shane, siadaj na tyłku. Siadaj, ale już. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zakuł w kajdanki. - Szarpnął Shane'a za kołnierz koszulki i posadził na krawężniku, przez chwilę mierzył gniewnym wzrokiem, a potem poszedł zerknąć na leżącego. - O Matko Boska... Łap go za nogi.

- Co? - Ten drugi gliniarz - na plakietce z nazwiskiem widniało: „Fenton” - spojrzał na niego, marszcząc brwi. - To miejsce zbrodni, nie możemy...

- On jeszcze żyje, ty durniu. Łap go za nogi, cholera, Fenton! Jeśli słońce go sparzy, umrze!

Pierwsze promienie słońca pojawiały się nad horyzontem i zaczynały obejmować ciało Sama.

A Claire zobaczyła unoszący się znad niego dym.

- Na co czekasz? - krzyknął Richard. - Podnosimy go! - Drugi policjant po chwili wahania złapał Sama za nogi. Richard wziął go pod ramiona i razem wrzucili go do ciemnoczerwonego sedana, tego o przyciemnianych szybach, zatraskując potem drzwi samochodu. Fenton chciał wsiąść za kierownicę, ale Richard go uprzedził. - Rana jest zupełnie świeża. Ma szansę, jeśli uda mi się dowieźć go do Amelie.

Fenton się cofnął. Richard odpalił silnik i zatrasnął drzwi od strony kierowcy, już z piskiem opon jadąc w stronę wylotu ulicy. Fenton spojrzał gniewnie na Shane'a.

- Będziesz mi sprawiał kłopoty, chłopcze? - spytał ostro.

Claire miała wielką nadzieję, że nie. Ten facet był dwa razy większy niż Richard Morrell, dwa razy od niego starszy i w ogóle wyglądał jak pitbull w ludzkiej skórze.

Shane uniósł ręce.

- Żadnych kłopotów, panie władzo.

- Widzieliście oboje, co się tu stało?

- Nie - pokręciła głową Claire. - Spałam. Wszyscy spaliśmy.

- Wszyscy w tym samym pokoju? - warknął gliniarz i przyjrzał się jej potarganym włosom i zmiętemu ubraniu. - A nie wziąłbym cię za taką.

Przez chwilę nie rozumiała, o co mu chodzi, a potem zarumieniła się z ogarniającego ją, palącego wstydu.

- Nie, ja chciałam powiedzieć... Eve była u siebie. My spaliśmy na kanapie.

Shane dodał:

- Tak, wszyscy spaliśmy. Obudziliśmy się na dźwięk syreny. - Co nie było do końca prawdą. Bo przecież najpierw się obudzili, a potem usłyszeli syrenę. Ale Claire nie wiedziała, czemu miałyby to być takie znów ważne.

Policjant postukał w trzymany w ręku radiotelefon, nadal marszcząc brwi.

- W domu powinna być was czwórka. Gdzie pozostali dwoje?

- Eve jest w środku. A Michael... - Gdzie do diabła podziewał się Michael? - Nie wiem, gdzie on jest.

- Pójdę sprawdzić, czy nie ma go w swoim pokoju - zaproponował Shane, ale gliniarz jednym wściekłym spojrzeniem sprawił, że znów zamarł w miejscu.

- Siedź na tyłku na tym krawężniku i bądź cicho. Ty, jak się nazywasz?

- Claire Danvers.

- Claire, wejdź do domu i poszukaj Michaela Glassa. Jeśli go nie ma, to sprawdź, czy nie ma też samochodu.

Claire spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Chyba nie myśli pan...?

- Nic nie myślę, póki nie ustalę faktów. Muszę wiedzieć, kto tu jest, kogo nie ma i dopiero zacząć działać. - Gliniarz przeniósł mroczne spojrzenie na Shane'a, który znów chciał wstawać. - Już ci powiedziałem, siedź na tyłku, Collins.

- Nie mam z tym nic wspólnego!

- Jeśli miałbym zrobić listę głównych podejrzanych o traktowanie kołkiem wampirów, byłbyś na samej górze, więc owszem, masz. Siadaj.

Shane usiadł wściekły. Claire w duchu poprosiła go, żeby nie robił niczego głupiego, a potem szybko wbiegła do domu. Eve była na górze i ubierała się - czarny obcisły T - shirt z podkreślonym strasznym rysunkiem Elmera Fudda z przodu i czarne dżinsy, a do tego ciężkie martensy.

- To nie był...

- Wiem, widziałam - powiedziała Eve. Głos miała zduszony, jakby przed chwilą płakała albo zaraz miała się rozpłakać.

- To był Sam, prawda? Żyje? Czy... to drugie?

- Nie wiem. Richard powiedział coś, co zabrzmiało, jakby mógł z tego jeszcze wyjść. - Claire mocno złapała gałkę drzwi i zerknęła w głąb korytarza. Drzwi pokoju Michaela były zamknięte. Zawsze były zamknięte. - Sprawdzałaś...?

- Nie. - Eve odetchnęła głęboko i wstała. - Pójdę zobaczyć z tobą.

Drzwi do pokoju Michaela nie były zamknięte na klucz, i w pokoju panowała kompletna ciemność. Claire zapaliła światło. Łóżko Michaela było puste, schludnie zasłane, a w wyglądzie pokoju nie było nic niezwykłego. Eve zajrzała do szaf, pod łóżko, nawet do łazienki.

- Ani śladu po nim - powiedziała bez tchu. - Chodźmy do garażu.

Garaż stanowiła szopa na tyłach, niepołączona z domem. Zeszły we dwie do kuchni i stamtąd wyszły kuchennymi drzwiami. Przeszły przez wyboisty podjazd. Drzwi szopy były zamknięte.

Eve otworzyła jedno skrzydło, Claire drugie.

Samochodu Michaela nie było.

- A co z pracą? To możliwe, że pojechał do pracy?

- TJ nie otwiera przed dziesiątą - powiedziała Eve. - Po co miałby tam jechać przed szóstą?

- Remanent?

- Myślisz, że będą ściągali tam wampira przed szóstą rano, żeby robił remanent? - Eve trzasnęła drzwiami szopy i jeszcze je z rozpędu kopnęła. - Gdzie on jest, do diabła? I, do diabła, dlaczego ja nie mam działającej komórki? Ani ty?

Komórka Claire zginęła, ta Eve została zniszczona; dziewczyny przez parę chwil spoglądały po sobie ze smutkiem, a potem bez słowa zawróciły na ulicę, gdzie Shane nadal siedział na krawężniku. Jeśli ktoś umiał siedzieć buntowniczo, to właśnie on.

- Daj mi swój telefon - zażądała Eve i wyciągnęła do niego rękę. Shane spojrzał na nią chmurnie. - Już, baranie. Michaela nie ma w domu, a jego samochód zniknął.

- Michael ma samochód? A to od kiedy?

- Od kiedy dostał go od wampirów. Nie powiedział ci?

Shane tylko pokręcił głową. Jakiś mięsień zadrgał mu przy Szczęce.

- On mi ni cholery nic nie mówi, Eve. Nie odkąd...

- Odkąd zacząłeś go traktować jak uosobienie zła? Kto by pomyślał.

Shane w milczeniu podał jej swoją komórkę i odwrócił wzrok, spoglądając na ulicę tam, gdzie przedtem leżało ciało Sama. Claire zastanawiała się, czy pomyślał o

krucjacie swojego ojca, o tym, że „dobry wampir to martwy wampir”.

Claire zastanawiała się, czy gdzieś w głębi duszy czasem się z tym nie zgadzał.

Eve wybrała numer i podniosła telefon do ucha. Przez kilka pełnych napięcia sekund nic się nie działo, a potem Claire zobaczyła ulgę na twarzy Eve.

- Michael? Gdzie ty jesteś, psiakrew?! - Cisza. - Gdzie?!

- Cisza. - Aha. Okay. Muszę ci powiedzieć, że... - Cisza. Wiesz.

- Cisza. - Tak, no to... Porozmawiamy później.

Eve zamknęła kłapkę telefonu i oddała go Shane'owi. Wsunął go do kieszeni i uniósł brwi pytająco.

- Nic mu nie jest - uspokoiła ich.

- I co?

- I wszystko. Nic mu nie jest. To tyle.

- Bzdura - parsknął Shane i pociągnął ją, żeby usiadła obok niego na krawężniku. - Gadaj, Eve. Ale już.

Claire też przysiadła, po drugiej stronie Eve. Krawężnik był zimny, ale siedzenie na nim miało tę zaletę, że wóz policyjny zasłaniał ich widok Fentonowi. Rozmawiał teraz z pasażerami innego samochodu, z przyciemnionymi dla wampirów szybami, który przystanął za wozem policyjnym.

- Był w centrum - powiedziała Eve. - W Radzie Starszych. Wezwali go tam dzisiaj rano.

- Ale kto?

- Wielka Trójka. Oliver, Amelie i burmistrz, ojciec Richarda i Moniki. Amelie właśnie dowiedziała się o Samie. Ale Michaelowi nic nie jest. - Niewymówione „na razie” zawisło na końcu tego zdania. Eve się martwiła. Przysunęła głowę bliżej Shane'a, jeszcze ściszyła głos i powiedziała: - Nie miałeś nic wspólnego z tym, co spotkało Sama, prawda?

- Jezu, Eve!

- Pytam dlatego, że...

- Wiem, dlaczego pytasz - odszepnął wściekle. - Do diabła, nie. Gdybym miał zamiar zaatakować jakiegoś wampira, to przecież nie Sama. Gdybym chciał coś zyskać, zaatakowałbym kolkiem kogoś takiego jak Oliver. A skoro mowa o Oliverze, jest moim głównym podejrzanym.

- Wampiry nie zabijają swoich.

- Zlecił zabicie Brandona - wtrąciła Claire. - Moim zdaniem Oliver jest zdolny do

wszystkiego. I bardzo by się ucieszył, gdyby Amelie była jeszcze bardziej osamotniona.
- z trudem przełknęła ślinę. - Raz mi powiedziała, że Sam jest bezpieczniejszy, kiedy trzyma go od siebie z daleka. Chyba miała rację.

- Nieważne. Cokolwiek by się działo, Oliver dba, żeby mieć czyste ręce. Jakiś biedny człowiek za to spłonie i ty o tym wiesz - powiedział Shane. - A to się wszystko stało tuż przed naszym domem. Nikt nie zapomniał, co zrobił mój tata. Nie wydaje ci się, że ktoś nas wrabia?

Cholera. Shane miał rację. Dobrze, że Michaelowi nic się nie stało, ale to miało też swoje wady - znaczyło, że Michaela nie było w domu, kiedy zaatakowano Sama.

A Michael był spośród nich jedyną osobą, której zdanie mogło dla wampirów coś znaczyć.

I faktycznie, Fenton obszedł policyjny wóz i przez kilka chwil przyglądał się całej trójce, a potem powiedział:

- Macie jechać i złożyć zeznania. Wszyscy troje. Wsiadać na tylne siedzenie.

Shane nie drgnął.

- Nigdzie nie jadę.

Policjant westchnął i oparł się o karoserię.

- Synu, jesteś charakternym chłopakiem i ja to doceniam. Ale zrozum mnie dobrze, albo wsiądziesz do mojego wozu, albo pojedziesz z nimi. - Wskazał cichego, ciemnego sedana wampirów. - A ja ci obiecuję, wtedy to się skończy gorzej. Jasne?

Shane pokiwał głową, wstał i podał rękę Eve.

Claire nadal siedziała. Podciągnęła rękaw na lewym ramieniu. Bransoletka zabłysła i zamigotała w porannym świetle, uniosła rękę, żeby Fenton dobrze ją zobaczył.

Oczy mu się rozszerzyły.

- Czy to...?

- Chcę się widzieć z moją Opiekunką - zażądała Claire.

- Proszę.

Odszedł i zaczął rozmawiać przez radio, a potem wrócił i ruchem głowy wskazał Shane'a i Eve.

- Na tylne siedzenie - polecił. - Jedźcie na komisariat.

A ty, mała... - Skinął w stronę drugiego wozu. - Oni cię zabiorą do Amelie.

Claire przełknęła gulę w gardle i wymieniła spojrzenia z Shane'em a potem z Eve. Tego sobie nie zaplanowała. Chciała, żeby wszyscy zostali razem. Jak ma zapewnić im

bezpieczeństwo, jeśli zostaną rozdzieleni?

- Nie rób tego - prosił Shane. - Jedź z nami.

Prawdę mówiąc, zaczynało jej się wydawać, że to lepszy pomysł. Wampiry też pewnie nie będą za szczęśliwe, a błyszcząca bransoletka nie chroniła jej przed podejrzeniami. Amelie i tak mogła kazać ją skrzywdzić albo zabić.

- Dobrze - zgodziła się Claire. Na twarzy Shane'a odmalowała się wielka ulga, kiedy schylał głowę, żeby wsiąść na tylne siedzenie policyjnego wozu. Eve wsiadła za nim.

Gliniarz zatrzasnął drzwi za Eve, zanim Claire zdążyła wsiąść do policyjnego samochodu.

- Co jest! - wrzasnął Shane i walnął w szybę. Razem z Eve próbowali wysiąść, ale drzwi nie chciały się otworzyć.

Fenton złapał ją za ramię i pchnął w kierunku sedana, otworzył jego drzwi i wsadził ją na tylne siedzenie, zanim zdążyła zaprotestować. Claire usłyszała ciche kliknięcie zamykających się zamków i zastygła zupełnie nieruchomo, usiłując dostrzec coś w mroku.

Jeden z wampirów włączył górne światło. O cholera. Za tą dwójką nie przepadała. Kobieta była biała jak śnieg, miała jasnoblonde włosy i oczy jak blade srebro. Gretchen. Jej partner, Hans, był nieprzyjemnym mężczyzną o siwiejących krótkich włosach, z kamiennym wyrazem twarzy.

- Szkoda, że nie dostał nam się ten chłopak - odezwała się Gretchen z wyraźnym rozczarowaniem. Głos miała niski, gardłowy, mówiła z ciężkim, obcym akcentem. Niezupełnie niemieckim, ale też nie jakimś wyraźnie innym. Claire pomyślała, że to jakiś stary język. - Był wobec nas taki niegrzeczny, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. A już na pewno jego ojcu należy się lekcja, nawet jeśli chłopakowi nie.

- Amelie mówiła, że mamy po prostu przywieźć tę tutaj odparł Hans i samochód ruszył. Spojrzał na Claire we wsteczne lustro. - Zapnij pas, proszę.

Nie bardzo rozumiała, po co - jakby go to w ogóle obchodziło - ale zapięła pas i usiadła wygodniej. Zupełnie jak w czasie jazdy z Samem poprzedniego dnia, za oknami nic nie widziała poza niewyraźną szarą kropką w miejscu, gdzie wschodziło słońce.

- Dokąd mnie zabieracie? - spytała.

Gretchen się roześmiała. Claire dostrzegła błysk jej kłów, ale Gretchen ich nie potrzebowała, żeby kogoś przerazić. Wcale a wcale.

- Do Rady Starszych. Na pewno pamiętasz to miejsce, Claire. Tak dobrze się tam bawiłaś, kiedy odwiedziłyśmy je po raz ostatni.

ROZDZIAŁ 7

Morganville - spalone słońcem, pokryte kurzem, zapuszczone miasteczko - było tym, co zwykle widywała większość ludzi, ale był też plac Założycielki - luksusowy mały wycinek Europy, gdzie osobnicy posiadający puls nie byli mile widziani. Claire tylko raz widziała ten plac i nie było to przyjemne wspomnienie; nieważne, że malutkie kawiarnie wyglądały słodko, a sklepy były świetne, ona miała przed oczami tylko samo centrum placu, w parku, z klatką, w której zamknęli wtedy Shane'a.

Gdzie zamierzali spalić go żywcem jako karę za coś, czego w ogóle nie zrobił.

Z jakiegoś powodu Claire spodziewała się, że zaparkują w tym samym miejscu co poprzednio - poza placem, przed posterunkiem policji - ale, oczywiście, to było niemożliwe, prawda? Niektóre starsze wampiry mogły być może wytrzymać na słońcu, żaden jednak z własnej woli nie przechadzałby się w jego promieniach. Morganville zostało zbudowane tak, by zapewnić wygodę wampirom, nie ludziom, i kiedy drzwi od strony Claire otworzyły się, a Gretchen niecierpliwym gestem kazała jej wysiadać, okazało się, że są na podziemnym parkingu. Pełen był ładnych samochodów o zaciemnionych szybach. Zupełnie jak jakieś centrum handlowe w Beverly Hills.

Stali tam uzbrojeni strażnicy. Jeden z nich ruszył w ich stronę, kiedy Gretchen wyciągnęła Claire z samochodu, ale Hans pomachał mu odznaką i ten drugi facet - też pewnie wampir - usunął się na bok.

- Idziemy - powiedział Hans. - Twoja Opiekunka czeka.

Gretchen zachichotała. Nie był to radosny śmiech. Claire potykała się o własne nogi, usiłując nadążyć za dwójką idących dziarskim krokiem wampirów. Gretchen trzymała ją silnymi jak żelazo palcami za ramię, narażając na kolejne sińce. Kiedy dotarli do szerokiej klatki schodowej, Claire była już zdyszana. Wampiry zaczęły wbiegać po schodach truchcikiem. U szczytu schodów znajdowały się drzwi przeciwpożarowe, a przy nich panel kontrolny. Claire nie próbowała zerkać, kiedy Hans wystukał na nim kod; znając paranoję wampirów, nic by jej z tego nie przyszło. Te urządzenia pewnie zresztą były tak ustawione, że i tak nie przepuszczały nikogo, komu biło serce.

A to kazało jej się zastanowić, czy Myrnin stoi też za systemem ochrony w mieście...? Może miała nauczyć się jeszcze czegoś? Naprawdę przydałoby się, gdyby zdołała go przekonać, żeby jej pokazał...

Skupiała się na kwestiach technicznych, żeby bronić się przed strachem, ale kiedy tylko drzwi otworzyły się, nie było już na czym się skupiać poza tym lękiem, który zalał ją zimną, lepką falą. Gretchen to chyba wyczuła. Spojrzała na Claire chłodnymi, srebrzystymi jak lustro oczami i się uśmiechnęła.

- Martwisz się, malutka? - spytała słodko. - Martwisz się o siebie czy o swoich przyjaciół?

- Martwię się o Sama - powiedziała Claire. Gretchen przestała się uśmiechać i przez moment wydawała się rzeczywiście zaskoczona i wytrącona z równowagi. - Żyje jeszcze?

- Czy żyje? - Gretchen znów przybrała zwykłą maskę i uniosła delikatnie zarysowaną brew. - Może da się go jeszcze uratować, jeśli o to pytasz. Twój przyjaciel Shane będzie pewnie musiał spróbować jeszcze raz.

- Shane tego nie zrobił!

Tym razem Gretchen uśmiechnęła się z wyraźnym okrucieństwem.

- Być może - powiedziała. - Może jeszcze nie zdążył. Ale bądź cierpliwa. Zdąży. To leży w jego naturze, tak samo jak zabijanie w naszej.

Claire próbowała oszczędzać oddech, bo znów szybko szli przed siebie, wielkimi krokami przemierzając ciemnoczerwony dywan. Kiedy Claire znalazła się po raz pierwszy w Radzie Starszych, wydawało jej się, że to dom pogrzebowy; wszędzie było cicho, elegancko i poważnie. Kiedy wystawili tam zwłoki Wampira, którego według nich zabił Shane, było tam mnóstwo róż. Tym razem nie zauważyła żadnych kwiatów. Gretchen poprowadziła ją korytarzem, przez solidne podwójne drzwi do okrągłego holu wejściowego. Stało tam czterech uzbrojonych strażników wampirów i Gretchen z Hansem musieli zatrzymać się i okazać legitymacje oraz oddać broń. Claire przeszukano - szybkimi, wprawnymi klepięciami chłodnych dłoni, pod których dotykiem zadrżała.

A potem otworzyły się jakieś drzwi i została wprowadzona do dużej, okrągłej sali z wysokim sklepieniem, żyrandolami przypominającymi lodowe sople i ciemnymi, kosztownymi obrazami na ścianach. Zapachu róż sobie nie wyobraziła. Pośrodku sali stał masywny stół konferencyjny otoczony krzesłami, z wazonem intensywnie czerwonych róż.

Przy stole nikt nie siedział. Ale grupka mniej więcej dziesięciu osób stała w drugim końcu sali, z opuszczonymi oczami.

Kilka osób podniosło głowy i Claire napotkała spojrzenie Olivera, od którego już

nie mogła odwrócić wzroku. Nie widziała go od czasu, kiedy groził, że ją zabije, próbując wywabić Shane'a z jego kryjówki, a teraz, kiedy się wyprostował i Claire znów przypomniało się na moment, jak lodowate i silne były te dłonie, kiedy zaciskały się na jej gardle. Jak bardzo się wtedy bała Oliver warknął gardłowo, ale na tyle głośno że go dosłyszała. Jego oczy przypominały wilcze. Wcale nie wydawały się ludzkie.

- Widzę, że przyprowadziliście przestępczynię, by jej wymierzyć karę. Ruszył w ich stronę.

Gretchen spojrzała na Hansa, a potem odsunęła Claire i zasłoniła ją sobą.

- Stój - rzuciła. Oliver zatrzymał się zaskoczony. - Dziewczyna prosiła o spotkanie ze swoją Opiekuną. Nie mamy żadnego dowodu jej winy.

- Jeśli mieszka w tamtym domu, to jest winna - warknął Oliver. - Zaskakujesz mnie, Gretchen. Od kiedy to stajesz po stronie oddychających?

Roześmiała się, ale w tym śmiechu zabrzmiała jakaś jasna, fałszywa nutka. Powiedziała coś w języku, którego Claire nie rozpoznała. Oliver coś na to odparował, a Hans położył dużą dłoń na ramieniu Claire.

- Odpowiadamy za nią - stwierdził. - I jest własnością Amelie. Nie masz do niej żadnych praw, Oliver. Odsuń się.

Oliver z uśmiechem uniósł dłonie i odstąpił na bok, Hans pchnął Claire naprzód, a kiedy go mijali, poczuła na karku spojrzenie Olivera ostre jak sztylet.

Kółko zgromadzonych rozstało się, kiedy Hans poszedł. Większość, jak domyślała się Claire, była wampirami. Nie nosili żadnych identyfikatorów ani nic takiego, ale mieli taką samą jasną skórę i taką samą wężowatą płynność i szybkość ruchów. Widziała tam tylko dwóch ludzi. Burmistrza Morrella, który miał bardzo nieszczęśliwą minę, i jego syna Richarda. Mundur Richarda był miejscami mokry i dopiero po kilku chwilach do Claire dotarło, że ta wilgoć to krew.

Krew Sama.

Sam leżał na plecach na dywanie, głowę miał opartą na kolanach Amelie. Wampirzyca klęczała i delikatnie gładziła jasnomiedziane włosy Sama. Wyglądał blado, jak martwy, a kołek nadal tkwił w jego klatce piersiowej.

Amelie miała zamknięte oczy, ale otworzyła je, kiedy Hans pchnął Claire w jej stronę. Przez długą chwilę wydawało się, że wampirzyca nie poznaje dziewczyny, a potem na jej twarzy pojawiło się znużenie. Opuściła wzrok na Sama, palcami obrysowując jego policzek.

- Claire, pomożesz mi - powiedziała, jakby kontynuując rozmowę, która Claire ominęła. - Zróbcie jej trochę miejsca, proszę.

Hans puścił ją, a Claire ogarnęła szalona ochota, żeby stąd uciec, uciec z tej sali, dorwać Shane'a i uciec z nim dokądkolwiek, byle jak najdalej stąd. W oczach Amelie kryło się coś zbyt wielkiego, żeby to pojąć, coś, czego poznawać nie chciała. Już zaczynała się cofać, ale Amelie wyciągnęła rękę, złapała ją za nadgarstek i pociągnęła. Claire opadła na kolana po drugiej stronie Sama.

Wyglądał jak martwy.

Naprawdę zupełnie martwy.

- Kiedy ci powiem, złapiesz za kołek i pociągniesz - zapowiedziała Amelie cichym i spokojnym głosem. - Ale dopiero, kiedy powiem.

- Ale... Ja nie jestem zbyt silna... - Dlaczego nie poprosiła Richarda? Albo jednego z wampirów? A nawet Olivera?

- Wystarczy ci siły. Claire, na mój znak. - Amelie znów zamknęła oczy, a Claire nerwowym gestem otarła spoczone dłonie o nogawki dżinsów. Kołek tkwiący w piersi Sama miał okrągły przekrój, drewno było wypolerowane, koniec zaostroszony i nie umiała stwierdzić, jak głęboko tkwi w ciele. Sięgnął do serca? Czy to nie wystarczy, żeby go raz na zawsze zabić? Przypomniała sobie rozmowę o innych wampirach, które zostały potraktowane kołkiem i zginęły...

Twarz Amelie nagle wykrzywiła się boleśnie i wampirzyca powiedziała:

- Claire, teraz!

Claire nawet się nie zastanawiała. Objęła dłońmi kołek i pociągnęła z całej siły, przez jedną pełną przerażenia sekundę pewna, że to się nie uda, ale potem poczuła, jak kołek wychodzi, ocierając się po drodze o kość.

Ciało Sama wygięło się jak rażone prądem z jednej z tych maszyn do reanimacji serca, a stojące kołem wampiry cofnęły się. Amelie nadal go trzymała, a jej palce pobielwały, kiedy ścisnęła jego głowę. Szeroko otworzyła oczy, miały teraz barwę czystego, błyszczącego srebra.

Claire cofnęła się, ściskając kołek obiema dłońmi. Ktoś wyjął jej go z ręki - Richard Morrell, zmęczony i ponury. Włożył go do plastikowej torebki, którą potem zasunął na suwak.

Dowód rzeczowy.

Sam znów opadł bezwładnie. Z rany w jego klatce piersiowej krew sączyła się cienką strużką. Amelie zdjęła żakiet z białego jedwabiu i zwinawszy go, przycisnęła do

rany, tamując krwawienie. Claire przysiadła bezradnie i patrzyła na Sama. Nie poruszał się, leżał nieruchomo.

Nadal wyglądał jak martwy.

- Samuel - odezwała się Amelie głosem niskim, spokojnym i ciepłym. Pochyliła się nad nim niżej. - Samuel. Spójrz na mnie.

Otworzył oczy. Źrenice miał bardzo rozszerzone. Dziwne, sowe oczy. Claire przygryzła wargę i znów pomyślała o ucieczce, ale Hans i Gretchen stali za jej plecami i wiedziała, że tak czy inaczej nie miałyby najmniejszej szansy.

Sam zamrugął, a jego źrenice zaczęły powoli się zwężać i przybierać nieco normalniejszy wygląd. Poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Oddychaj - powiedziała Amelie tym samym ciepłym, spokojnym tonem. - Jestem tu, Samuelu. Nie opuszczę cię. - Palcami delikatnie pogładziła go po czole, a on zamrugął i skupił na niej wzrok.

Jakby nie było na świecie nikogo poza nimi dwojgiem. Amelie się myliła, pomyślała Claire. Nie chodzi tylko o to, że Sam ją kocha. Ona kocha go tak samo mocno.

Sam oderwał wzrok od Amelie i spojrzał po otaczających go ludziach, jakby kogoś szukał. Kiedy nie znalazł właściwej twarzy, znów spojrzał na Amelie. Jego usta ułożyły się w czyjeś imię. Michael.

- Michaelowi nic nie grozi - uspokoiła go Amelie. - Hans przyprowadź go.

Hans skinął głową i odszedł szybkim krokiem. Michael. Claire drgnęła, zdając sobie sprawę, że w szoku związanym z tym wszystkim zupełnie zapomniała, że on tu jest. Sam wprawdzie z minuty na minutę wyglądał coraz lepiej, ale Amelie nadal przyciskała prowizoryczny opatrunek do rany w jego piersi.

Sam uniósł dłoń, powoli, niezręcznym gestem i przez kilka długich sekund patrzyli na siebie w milczeniu. Przytrzymał opatrunek i z pomocą Amelie usiadł. Pomogła mu oprzeć się o ścianę.

- Możesz nam powiedzieć, co się stało? - zapytała go.

Sam pokiwał głową, a Claire podniosła wzrok i zobaczyła Richarda Morrella, który przykucnął obok z notatnikiem i długopisem w ręku.

Głos Sama, kiedy go wreszcie z siebie wydobył, zabrzmiał słabo i niepewnie. Mówił z wyraźnym wysiłkiem.

- Pojechałem zobaczyć się z Michaeliem.

- Ale Michael, jest tu, z nami - powiedziała Amelie. - Wezwaliśmy go tu jeszcze

nocą.

- Wyczułem, że nie ma go w domu, więc wycofałem samochód z podjazdu. Ktoś otworzył drzwi... Paralizator, nie mogłem nic zrobić. Przebił mnie kołkiem, kiedy upadłem.

- Kto? - spytał Richard. Sam na moment przymknął oczy, potem je otworzył.

- Nie widziałem. Człowiek. Słyszałem bicie serca. - Z trudem przełknął. - Pić.

- Najpierw musisz się wyleczyć - stwierdziła Amelie.

- Jeszcze kilka chwil. Czy możesz nam coś powiedzieć o człowieku, który cię zaatakował?

Sam z wysiłkiem otworzył oczy.

- Powiedział do mnie: Michael.

Michael pojawił się w samą porę, żeby usłyszeć te ostatnie słowa. Spojrzał na Claire szeroko otwartymi oczami, a potem przykucnął obok Sama.

- Kto powiedział? Ten, kto ci to zrobił?

- Nie wiem kto. Wiem tylko, że mężczyzna. Zwrócił się do mnie twoim imieniem. Chyba mnie wziął za ciebie. - Wargi Sama skrzywiły się w bladym cieniu uśmiechu. - Chyba nie zauważył włosów, zanim mnie przebił kołkiem.

Ten artykuł w gazecie. Kapitan Oczywisty. Ktoś zdecydował się zaatakować najmłodszego wampira w mieście i zbiegiem okoliczności zamiast niego trafił na Sama. Równie dobrze na ulicy mógł leżeć Michael.

A sądząc po wyrazie twarzy Michaela, pomyślał sobie właśnie dokładnie to samo.

Amelie była wstrząśnięta. Nie rzucało się to w oczy, ale Claire знаła ją na tyle dobrze, żeby wyczuć różnicę. Poruszała się szybciej, a jej oczy były mniej spokojne niż zazwyczaj. Claire lekko drgnęła, kiedy Amelie przywołała ją do sąsiedniego pomieszczenia. Niewielki i pusty, był to chyba jakiś pokój konferencyjny. Amelie nie była tam sama; poszedł za nią wysoki, jasnowłosy wampir i stanął przy drzwiach jak żywa zaporą. Nie można by się stamtąd wydostać szybko, a może nawet wcale.

- Co się stało? - spytała ostro Amelie.

- Nie wiem - odparła Claire. - Spałam. Obudziłam się, kiedy... - Miała powiedzieć: „Kiedy usłyszałam syrenę”, ale to nie była prawda. Odczuła wtedy coś, coś ją zaalarmowało. A Shane i Eve też to poczuli. Zwykle trzeba by było chyba eksplozji nuklearnej, żeby wyrwać Shane'a ze snu przed świtem, a obudził się błyskawicznie. - Zupełnie jakby w domu rozległ się jakiś alarm.

Twarc Amelie zrobiła się nieprzenikniona.

- Doprawdy.

- Czemu? Czy to ważne?

- Możliwe. Co jeszcze?

- Nic... Zeszliśmy na dół. Na zewnątrz wyły syreny, ale zanim wyszliśmy na ulicę, było już chyba po wszystkim. Sam leżał na ziemi, a policja już tam była.

- Nikogo innego nie widziałaś?

Claire pokręciła głową.

- A twoi przyjaciele? - spytała Amelie. - Gdzie byli?

To nie było zwyczajne pytanie. Claire poczuła, że puls jej przyspiesza, i usiłowała zachować spokój. Jeśli Amelie jej nic uwierzy...

- Spali - odparła stanowczo. - Shane był ze mną, a Eve widziałam, kiedy wyszła ze swojego pokoju. Nie mogli tego zrobić.

Amelie obrzuciła ją spojrzeniem. Od tego spojrzenia wcale nie poczuła się spokojniejsza.

- Wiem, jak bardzo ci zależy na ich życiu. Ale zrozum, Claire, jeśli dla nich kłamiesz, ja ci tego nie wybaczę.

- Nie kłamię. Wszyscy byli u siebie, kiedy się ocknęłam. Brakowało tylko Michaela, a on był tu z tobą.

Amelie odwróciła się od niej i zaczęła się przechadzać po pokoju powolnymi, pełnymi gracji krokami. Wyglądała tak idealnie, była taka... Pozbierana. Claire nie zdołała się powstrzymać i wypaliła:

- Nie martwi się pani o Sama?

- Bardziej się martwię, żeby ten ktoś, kto go zaatakował, nie znalazł kolejnej okazji do ataku. Sam żyje już dość długo, żeby coś takiego przetrwać, chociaż niewiele brakowało. Gdyby kołek został w jego klatce piersiowej trochę dłużej albo gdyby słońce go oparzyło, nie miałby szansy. Gdyby napastnikowi udało się dopaść Michaela, umarłby niemal natychmiast. Miną całe dziesięciolecia, zanim się uodporni.

Claire otworzyła usta, zamknęła je, a potem otworzyła znowu, wreszcie znajdując potrzebne słowa.

- Chce pani powiedzieć, że... Wampiry nie umierają od kolka wbitego w serce?

- Chcę powiedzieć, że nie jest tak łatwo zabić jednego z nas. Z każdym rokiem naszego życia, trudniej. Mogłabyś wbić kołek w moje serce, a ja bym go po prostu wyjęła i bardzo się na ciebie rozgniewała za to, że mi niszczysz garderobę. Gdy bym

nie wyjęła go w ciągu pierwszych paru godzin, może by mi zrobił krzywdę, i to nawet poważną, ale nie zniszczyłby mnie w sposób, o jakim myślisz. MY wcale nie jesteśmy tacy słabi, mała Claire. - Jej zęby przez chwile zabłysły bielą w uśmiechu. - Powinnaś może uprzedzić o tym przyjaciół. A zwłaszcza Shane'a.

- Ale... Brandon...

Uśmiech Amelie zbladł.

- On był torturowany - wyjaśniła. - Przypalony słońcem, żeby zmniejszyć jego odporność. W chwili kiedy go zamordowano, nie miał więcej siły niż nowo narodzony. Ojciec Shane'a aż za dobrze nas rozumie, widzisz.

Tak jak teraz Claire. Co mogłoby wcale nie wyjść jej na dobre.

- Policja zabrała Shane'a i Eve na komisariat. Nie chcę, żeby coś im się stało.

- Oczywiście, że nie chcesz - Tak jak ja nie chciałam, żeby coś złego stało się mojemu drogiemu Samuelowi, który chętnie oddałby życie za prawa oddychających mieszkańców tego miasta. - Głos Amelie zrobił się zimny i mroczny, a Claire aż ścisnęło w żołądku. - Być może byłam zbyt pobłażliwa. Dałam ludziom zbyt wiele swobody.

- Nie jesteśmy pani własnością - - szepnęła Claire i nagle wydało jej się, że bransoletki na przegubie jej ręki zacisnęła się tak, że poczuła ból. Złapała się za nadgarstek i skrzywiła.

- Czyżby? - spytała chłodno Amelie. Wymieniła spojrzenie wampirem stojącym przy drzwiach. - Pozwól jej odejść. Już nie jest mi potrzebna.

Skłonił się lekko i odsunął z przejścia. Claire z trudem hamowała się, by nie zacząć biec - Bała się i denerwowała, przebywając w jednym pomieszczeniu z Amelie, nie wspominając już i tym strażniku, ale musiała przynajmniej spróbować.

- Co do Shane'a i Eve..

- Nie wtrącam się do ludzkiego wymiaru sprawiedliwości powiedziała Amelie. - Jeśli są niewinni, zostaną wypuszczeni.

Odejdź teraz. Oczekuję, że zgłosisz się dzisiaj do Myrnina. Załatwiłam ci na uniwersytecie dodatkowe zajęcia, na które będziesz uczęszczać. Lista została dostarczona ci do domu dziś rano.

Claire się zawahała.

- Sam miał mnie zawieźć do Myrnina. . . Kto teraz. . .? Amelie odwróciła się do niej, a w jej oczach zabłysło coś i przerażającego.

- Głupia dziewczyno, nie zawracaj mi głowy drobiazgami! Odejdź, już!

Claire uciekła.

Dom był pusty. Nie było Shane'a ani Eve, a Michaela też już nie widziała w budynku Rady Starszych, zanim Hans i Gretchen ją stamtąd zabrali. Claire poczuła się bardzo samotna. Pozamykała wszystkie drzwi i posprawdzała też okna.

Dom robił wrażenie... jakby ciepłego. Nie w takim sensie, że było w nim duszno, ale po prostu przytulnie. Jakby chciał, żeby dobrze się poczuła Claire położyła dłoń na ścianie salonu. Czy ty mnie słyszysz? - spytała i zrobiło jej się głupio. Przecież to tylko dom, prawda? Zwyczajne drewno i cegły, beton, kable i rury. Jak mógłby ją słyszeć?

Ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że ten dom wyrwała dziś rano ze snu, ją, Shane'a i Eve. Że jakoś próbował ich ostrzec. Ten dom przecież uratował kiedyś Michaela, kiedy zabił Olivera, obdarzył go takim życiem, jakim mógł, życiem ducha. Ten dom chciał pomóc.

- Szkoda, że nie umiesz mówić - westchnęła. - Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć, kto próbował zabić Sama.

Ale dom tego powiedzieć nie mógł, a ona jak idiotka gadała ze ścianki Claire odwróciła się i zauważyła kartkę, którą poruszała lekka bryza. Bryza, której przecież nie było.

Kartka leżała na stoliku, na futerale gitary Michaela. Claire złapała ją i przeczytała, ledwie śmiejąc uwierzyć. . .

Czego się spodziewała? Że dom poda jej nazwisko kandydata na pogromcę wampirów, który zaatakował Sama? Oczywiście, że nie. To nie była odpowiedź na jej pytanie.

To był plan zajęć, z czerwonym stemplem, którego wielkie litery mówiły: „korekta”. Zniknęły prawie wszystkie jej podstawowe przedmioty, obok nich widniała informacja, że ma już je zaliczone.

Jej uwagę zwróciły jednak przedmioty, które pojawiły się na ich miejsce. Zaawansowana biochemia, wstęp do filozofii, mechanika kwantowa. Mity i legendy - dla zaawansowanych.

O rany. Czy to nie dziwne, że na ten widok jej serce na moment zamarło? Claire sprawdziła terminy, a potem zerknęła na zegarek. Została jej zaledwie godzina do pierwszych zajęć, ale jeszcze nie mogła wyjść z domu. Nie, dopóki nie dowie się co z Shane'em i Eve.

Pół godziny później wisiała na telefonie, usiłując doprosić się, żeby ktoś w komisariacie odpowiedział na jej pytania, kiedy usłyszała skrobanie przy zamkach w

drzwiach i głos Eve:

- .. .kretynie. - Lęk ściskający żołądek Claire zaczął znikać.

- Yo, Claire! Jesteś tam?

- Jestem. - Z ulgą odłożyła słuchawkę i wyszła im na spotkanie do holu.

Eve obejmowała ramieniem Shane'a, podtrzymując go. Claire zamrugała i przyjrzała się twarzy chłopaka. Spuchniętej i posiniaczonej.

- O Boże - jęknęła i podbiegła do niego. - Co się stało?

- Nasz wielki człowiek zaczął się trochę stawiać posterunkowemu Fentonowi. Oglądałaś kiedyś Bambi kontra Godzilla?

Tak to trochę wyglądało, tylko ciosów było więcej - opowiadała Eve. Siłła się na wesołość. - Chciałam go zabrać do szpitala na badanie, ale...

- Nic mi nie jest - warknął Shane. - Bywało gorzej.

Pewnie to była prawda, ale Claire czuła się bezradna. Chciała coś zrobić. Cokolwiek. Razem z Eve zaprowadziły Shane'a na kanapę, gdzie opadł na poduszki i przymknął oczy. Pod sińcami był blady. Claire niespokojnie pogładziła go po potarganych włosach, milcząco pytając Eve, co ma robić. Eve wzruszyła ramionami i bezdźwięcznie powiedziała: „Daj mu odpocząć”. Ale minę miała niepewną.

- Shane - odezwała się Eve na głos. - Nie chcę zostawiać cię tu samego. Powinieneś pojechać do szpitala.

- Dzięki, mam - odparł. - To tylko siniaki. Chyba przeżyję. No dobra, zabierajcie się już stąd. - Złapał Claire za rękę i na chwilę otworzył ciemne oczy. No cóż, jedno oko. Drugie za bardzo zapuchło. - Co się działo? Nic ci nie jest?

- Nic się nie działo. Wszystko w porządku. Rozmawiałam z Amelie. - Claire odetchnęła głęboko. - Samowi chyba nic nie będzie.

- A Michaelowi? Też nic mu nie jest? - spytała Eve.

- Wszystko okay. Przepraszam, nie mogłam was stamtąd wydostać wcześniej. Amelie... - Może lepiej nie mówić im, jak mało Amelie przejęła się wizją Eve i Shane'a za kratkami.

- Była zajęta Samem.

Eve wzruszyła ramionami i rzuciła Shane'owi zirytowane spojrzenie.

- Pewnie wyszlibyśmy stamtąd w dziesięć minut, gdyby zachowywał się spokojnie - powiedziała. - Słuchaj, Shane, wiem, że jesteś twardziel, ale czy musisz szukać okazji do bójki z każdym kretynem na świecie? Nie wystarczy ci co drugi?

- Wiesz, co mnie przeraża? Szukam okazji do bójki tylko z co drugim. Aż tylu ich

jest. - Jęknął i ułożył się na kanapie wygodniej. - Kurczę. Posterunkowy Pacan umie przywalić.

- Shane... - zaczęła Claire. - Serio. Nic ci nie jest? Mogę cię zabrać do szpitala, jeśli trzeba.

- Dadzą mi tylko woreczek z lodem, odeślą do domu i policzą sobie sto baksów, których nie mam. - Złapał ją za rękę. Miał otarte kłykcie. - A ty? Żadnych ugryzień, żadnych złamań?

- Żadnych - uspokoiła go. - Żadnych ugryzień ani złamań.

Są wściekli i zmartwieni, ale nikt nie próbował mnie skrzywdzić. - Spojrzała na zegarek i serce zabiło jej mocniej. - Hm... Muszę iść. Mam zajęcia. Jesteś pewien, że...?

- Jeśli mnie jeszcze raz zapytasz, czy nic mi nie jest, zacznę się walić po twarzy, żeby cię za to ukarać - zagroził. - Idź. Eve, dopilnuj, żeby nie szwendała się nigdzie sama, dobra?

Eve już trzymała w ręku klucze i niecierpliwie nimi pobrzękiwała.

- Postaram się - obiecała. - Claire, to jest do ciebie przesyłka kurierska. - Rzuciła przyjaciółce paczkę z wypisanym ładnym charakterem pisma nazwiskiem Claire. To samo pismo co na paczce z bransoletką, pomyślała Claire.

W środku znalazła nowiutką komórkę z odtwarzaczem MP3 i małą kłapką otwierającą klawiaturę do pisania esemesów. Komórka była włączona i naładowana.

Na kartce były trzy słowa: „Na wszelki wypadek”. Podpisała się, oczywiście, Amelie. Eve spojrzała na komórkę i uniosła brwi. Claire szybko zmięła kartkę.

- Czyja chcę wiedzieć, co to jest? - spytał Shane.

- Chyba nie - powiedziała Eve. - Claire, małym dziewczynkom, które w Morganville przyjmują słodycze od obcych, przytrafia się coś złego. Albo bardzo złego.

- To nie od nikogo obcego. A ja potrzebuję komórkę.

Zajęcia zupełnie nie przypominały tych, na które Claire uczęszczała do tej pory. Poczula, że wreszcie zaczęła studiować. Od pierwszych zajęć wykładowcy wydawali się bystrzy i zainteresowani tym, co robią, miała wrażenie, że wreszcie ją dostrzegają. Co więcej, stawiali przed nią wyzwania. Nerwowo odsiedziała zaawansowaną biochemię, zapisując potrzebne podręczniki, tak samo filozofię. Połowy z tego, o czym mówiono na filozofii, nie rozumiała, ale brzmiało to o wiele ciekawiej niż usypiające głosy wykładowców na jej dawnych zajęciach.

Zanim nadeszła pora przerwy na lunch, była podekscytowana... Wreszcie działało

się coś fajnego. Z radością zaczęła szukać używanych krążek, których potrzebowała, i jeszcze bardziej się ucieszyła, kiedy odkryła, że jakimś cudem przyznano jej stypendium i może podręczniki opłacić z tego rachunku. Dostała nawet kartę do bankomatu.

Kupiła sobie przy okazji nowy T - shirt z długimi rękawami I parę golarek - jednorazówek. I jakiś szampon.

To aż przerażające, jak miło mieć trochę własnej kasy w kieszeni.

Koło trzeciej po południu zaczynała się już zastanawiać, czy powinna pójść do pracowni Myrnina sama, ale postanowiła poczekać. Nikt nie informował jej o zmianie planów, więc poszła się pouczyć do Centrum Uniwersyteckiego, zanim ktoś po nią nie przyjedzie. Główna sala była zatłoczona, a w rogu ktoś grał na gitarze - zebrał się tam spory tłumek oklaskujący kolejne utwory. Gitarzysta był niezły - zagrał teraz jakiś klasyczny, trudny kawałek, a zaraz potem popularną piosenkę. Claire rozkładała właśnie książki na stoliku, kiedy dobiegł ją znany utwór i aż weszła na krzesło, chcąc coś zobaczyć nad głowami ludzi, którzy otaczali gitarzystę.

Tak jak podejrzewała, to był Michael. Siedział, ale dostrzegła jego głowę i ramiona. Podniósł oczy, odszukał ją wzrokiem, skinął głową i znów skupił się na grze. Claire zeskoczyła, starła ślady butów z drewnianego krzesła i usiadła. Zaczęła błyskawicznie myśleć. A więc Michael tu był. Po co? Czy to przypadek? Czy może chodzi o coś innego?

Spróbowała skoncentrować się na właściwościach modulacji fal niskiej częstotliwości w namagnetyzowanej plazmie. Szczerze mówiąc, temat był fascynujący. Fizyka gwiazd. Nie mogła się doczekać zajęć w pracowni fizycznej... Lektura szła jej powoli, ale była ciekawa. To się łączyło z inną kwestią z zakresu fizyki plazmy, która zwróciła jej uwagę, z jej kontrolowaniem i przesyłaniem. Może to był tylko zbieg okoliczności, ale czuła, że kryje się w tym coś, co powinna zrozumieć. Coś, co się wiązało z tym, co Myrnin powiedział jej o rekompozycji, która stanowiła kluczowy element alchemii. Czy to możliwe, żeby między tymi dwiema sprawami zachodził jakiś związek?

Plazma to naładowane cząsteczki. Mogą być kontrolowane i da się na nie wpływać za pomocą odpowiednio ukształtowanego pola magnetycznego. Plazma stanowiła stan pośredni między materią a energią... Między jedną formą a drugą. Rekonstrukcja.

I nagle uderzyło ją, co musiał odkryć Myrnin. Przejścia. One musiały stanowić

takie odpowiednio ukształtowane pola magnetyczne utrzymujące cienką, elastyczną powłokę plazmy w stanie równowagi. Ale jak udało mu się zrobić z nich przenośne portale? Bo przecież tym właśnie musiały być, żeby zakrzywiać w taki sposób przestrzeń... I ta plazma to nie mogła być taka zwykła plazma, prawda? Ale co, plazma o niskiej temperaturze? Czy coś takiego w ogóle istnieje?

Claire była tak tym pochłonięta, że nawet nie usłyszała szurnięcia krzesłem po przeciwnej stronie stołu, kiedy ktoś tam siadł, póki czyjaś ręka nie chwyciła książki, którą miała przed sobą, i nie odsunęła jej na bok.

- Cześć, Claire - powiedział Jason, porąbany brat Eve. Wyglądał blado i gnidowato; nie tak jak bladzi są Goci, chorowicie blado. Anemicznie. Na szyi miał strupy po krostach, oczy szeroko otwarte i poprzecinane czerwonymi żyłkami i sprawiał urażenie, jakby się naćpał. Naprawdę porządnie naćpał. Poza tym chyba się nie kąpał ani nie zmieniał ubrań na czyste od kilku dni, a może nawet tygodni; zalatywał brudem i zgnilizną. Uch. - Jak leci?

Nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić. Zacząć krzyczeć? Zamknęła książkę i wzięła ją do ręki - podręcznik był dość ciężki i można by nim zadać niezły cios - i próbowała rozejrzeć się wkoło. W Centrum było pełno ludzi. Oczywiście, większość otaczała Michaela, ale sporo osób chodziło po sali, gadało, uczyło się. Ze swojego krzesła Claire widziała Eve za barem, z uśmiechem nalewającą zaparzoną kawę.

Jakby Jason był niewidzialny. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

- Cześć - przywitała się. - Czego chcesz?

- Pokoju na świecie - odparł. - Ładna jesteś.

A ty zupełnie nie. Nie powiedziała tego, nie mogła. Po prostu czekała w milczeniu. Jestem tu całkowicie bezpieczna. Dokoła jest mnóstwo ludzi, jest też Michael, jest Eve...

- Słyszałaś, co powiedziałem? - zapytał Jason. - Mówiłem, że jesteś ładna.

- Dziękuję. - W ustach jej zaschło. Była przerażona i nawet nie wiedziała, czego się boi, poza tym że pamiętała, co jej opowiadała o Jasonie Eve. Faktycznie wyglądał groźnie. I jeszcze te strupy na szyi... Czy został ugryziony? - Muszę już iść.

- Odprowadzę cię na zajęcia - powiedział Jason. Udało mu się powiedzieć to takim obłętnym tonem, jakby to była jakaś kwestia z pornograficznego filmu. - Zawsze chciałem ponieść książki seksownej studentce.

- Nie - zaprotestowała. - Nie mogę. Znaczący... Nie idę na zajęcia. Ale na mnie już czas. - Tylko dlaczego po prostu mu nic powiedziała, żeby spadał? No dlaczego?

Jason przesłał jej dłonią całusa.

- No to zmykaj. Ale nie miej do mnie pretensji, kiedy następna dziewczyna trafi do waszego pojemnika na śmieci, bo ty nie chciałaś mi wyświadczyć zwykłej grzeczności.

Wstawała właśnie, kiedy to powiedział, a ona po prostu... zastygła. Zastygła i wytrzeszczyła na niego oczy.

- Co takiego? - wyjąkała głupio. Jej mózg, który przed chwilą gnał z prędkością światła, przeskakując z jednego zagadnienia fizyki na inne, teraz działał niemrawo. - Coś ty powie-

dział?

- Nie żebym coś zrobił. Ale gdybym zrobił, to znów bym planował. Chyba że ktoś by ze mną porozmawiał i mnie przekonał, żebym tego nie robił. Albo gdyby dobił ze mną targu.

Claire zrobiło się zimno. Co gorsza, poczuła się zupełnie sama. Jason niczego takiego nie robił - po prostu siedział i mówił. Ale ona czuła się napastowana i strasznie bezbronna. Przecież Michael jest niedaleko. Słyszysz, jak gra. Siedzi tam. Jesteś bezpieczna.

- No dobrze - wydusiła, czując, jakby usta miała pełne kurzu i pinezek. Powoli znów usiadła na krześle, - Słucham.

Jason nachylił się do niej, oparł ręce na stole i ściszył głos.

- Posłuchaj, Claire, to wygląda tak. Chcę, żeby moja siostra zrozumiała, co zrobiła, wysyłając mnie do tego miejsca. Wiesz, jak jest w więzieniu w Morganville? Jakby jakiś kraj Trzeciego Świata specjalnie nastawiał się na dręczenie więźniów. Eve mnie tam wsadziła. I nawet nie próbowała mnie wybronić.

Claire ścierpły palce, tak mocno ścisła książkę. Zmusiła się, żeby rozluźnić chwyt.

- Przykro mi. Musiało ci być ciężko.

- Ciężko? Suko jedna, czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Cały czas gapił się na nią oczami, które wydawały się martwe, bo w ogóle nie mrugał. - Miałem należeć do niego, wiesz. Do Brandona. Kiedyś miał ze mnie zrobić wampira, ale teraz nie żyje, a ja zostałem wykiwany. I tylko czekam, aż ktoś mnie z powrotem wsadzi do więzienia, i wiesz co, Claire? Nie wybieram się tam. A przynajmniej najpierw się trochę zabawię.

Złapał ją za nadgarstek, a ona otworzyła usta do krzyku... Nagle w jego dłoni znalazł się nóż, którym dotknął jej nadgarstka.

- Nie ruszaj się - ostrzegł. - Nie skończyłem jeszcze. Zrób krok, a polecą krew.

I tak chciała zacząć wrzeszczeć, ale krzyk zamarł jej na ustach i zamienił się w słaby, cichy jęk. Jason uśmiechnął się i narzucił paskudnie brudną chustkę do nosa na jej nadgarstek i nóż, zakrywając je.

- No proszę - wycedził. - Nikt niczego nie zauważy, zresztą mają to gdzieś. Zwłaszcza w Morganville. Ale w razie pojawienia się jakichś kandydatów na bohaterów, zatrzymajmy to między nami. Claire się trzęsła.

- Puść mnie. - Jakoś jej się udało odezwać głosem cichym i pewnym. - Nic nie powiem.

- Och, daj spokój. Polecisz do swoich kumpli, a oni na policję. Pewnie do tych dwóch palantów Hessa i Lowe'a. Próbowali mnie przyskrzynić od małego, wiedziałaś? Bydlaki. - Pocił się.

Mlecznej barwy kropla spłynęła mu po bladym policzku i opadła na wojskowego kroju kurtkę. - Słyszałem, że masz dobre układy z wampirami. To prawda?

- Co? - Nacisk noża na nadgarstek zwiększył się, gorący i bolesny, a ona pomyślała, z jaką łatwością mógłby jej przeciąć żyły. Ramię jej drżało, ale jakoś udało się jej powstrzymać ochotę, żeby mu natychmiast wyrwać rękę. - Ja... Tak. Mam.

Ochronę. Będziesz miał nieprzyjemności, Jason.

Miał naprawdę przerażający uśmiech, nienaturalny grymas, który nie obejmował tych jego gorączkowych, dziwnych oczu.

- Od urodzenia mam nieprzyjemności - parsknął. - Leć i powiedz temu wampirowi, który cię naznaczył, że ja coś wiem. Coś, co może to miasto wysadzić w powietrze. I sprzedam to za dwie rzeczy: za prawo zrobienia z moją siostrą, co mi się żywnie podoba, i za bilet na wyjazd z Morganville.

O Boże, o Boże, o Boże. On chce się targować. O życie Eve.

- Nie zawieram żadnych układów - powiedziała, wiedząc, że to prawdopodobnie wyrok śmierci. - Nie pozwolę ci skrzywdzić Eve.

Aż zamrugał. Przez moment wyglądał prawie jak zwykły człowiek i Claire przypomniała sobie, że nie jest od niej wiele starszy.

- A jak mnie powstrzymasz, laseczko? Uderzysz mnie tornistrem?

- Jeśli będę musiała.

Usiadł swobodniej, gapiąc się na nią, a potem się roześmiał. Głośno. To był chropawy, metaliczny śmiech i Claire pomyślała: O Boże, on mnie zaraz zabije, ale wtedy odsunął chustkę zakrywającą jej nadgarstek i jak w magicznej sztuczce nóż zniknął. Z płytkiego zadrapania na jej skórze płynęła cienką strużką krew, a Claire

poczuła wreszcie pieczenie.

- Wiesz co, Claire? - Jason wstał, wsadził ręce w kieszenie kurtki i uśmiechnął się do niej znowu. - Bardzo mi się podobasz. Jesteś przezabawna.

Ruszył do wyjścia, a Claire spróbowała wstać, żeby zobaczyć, w którą stronę się kieruje, ale nie mogła. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zniknął jej z oczu w parę sekund.

Claire spojrzała w stronę baru. Eve stała bez ruchu, wpatrując się w nią rozszerzonymi oczami, i nawet bez białego pudru byłyby blada jak ściana.

- Nic ci nie jest? - zapytała bezgłośnie.

Claire pokręciła głową.

Ale nie czuła się dobrze, a skaleczenie na jej nadgarstku nie przestawało krwawić. Pogrzebała w plecaku i znalazła plaster samoprzylepny - zawsze je nosiła, na wypadek pęcherzy na stopach.

Wyglądała go na rękę, kiedy zorientowała się, że ktoś za nią stanął. Podskoczyła, spodziewając się, że to Jason wrócił, tym razem w napadzie psychotycznej żądzy mordy.

Ale to był Michael. W rękę trzymał futerał z gitarą i wyglądał rewelacyjnie. Był odprężony, jeszcze nigdy go takim nie widziała. Policzki mu się nawet zaróżowiły, a oczy błyszczały.

Ale ten błysk szybko zniknął. Michael zmarszczył brwi.

- Ty krwawisz - zdziwił się. - Co się stało?

Claire westchnęła i uniosła nadgarstek, pokazując mu plaster.

- Człowieku, ale byś się zawstydził, gdybym ci powiedziała, że to coś innego. - Michael zrobił głupią minę. - Michael, jestem dziewczyną, to by było całkiem naturalne, wiesz... Tampony?

Wampir nie wampir, był typowym facetem i ta jego mina była bezcenna - połączenie zażenowania i niechęci.

- O cholera. Naprawdę nie przyszło mi do głowy. Przepraszam. Jeszcze się nie zdążyłem przyzwyczać. No więc... Co się stało?

- Skaleczyłam się papierem - skłamała.

- Claire...

Westchnęła.

- Nie dziwacz tylko, dobra? To był brat Eve, Jason. Chyba chciał mnie tylko przestraszyć.

Michael otworzył oczy szerzej i szybko odwrócił głowę w stronę baru, szukając wzrokiem Eve. Kiedy ją zobaczył, na jego twarzy odmalowała się aż bolesna ulga, ale tylko na moment, potem mina mu się ponuro zwarzyła.

- W głowie mi się nie mieści, że tu przyszedł. Dlaczego oni nie mogą po prostu złapać tego barana?

- Może ktoś tego nie chce - zasugerowała Claire. - Wampirzyc przecież nie rusza. O ile to on zabija te dziewczyny. - Chociaż właściwie przyznał się do tego, nieprawdaż? A ten nóż też mógł stanowić wskazówkę. - Porozmawiamy o tym później. Muszę się teraz dostać... - W porę przypomniała sobie, że nie powinna rozmawiać z Michaeliem o Myrnie. - ...na zajęcia - dokończyła. Naprawdę nie sądziła, że Amelie będzie chciała, żeby tam szła sama, i nie była pewna, czy powinna. Myrnin był fascynujący, przez większość czasu, ale kiedy się zmieniał...

Nie, nie powinna tam iść sama. A jeśli coś się stanie? Sama tam nie będzie, żeby ją przed nim obronić.

Michael nie ruszył się z miejsca.

- Wiem, dokąd idziesz - powiedział. - Mam cię tam zawieźć.

Zamrugła zszokowana.

- Ty... Co?

Zniżył głos, chociaż nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Zabiorę cię, gdzie trzeba. I zaczekam na ciebie.

W drodze do samochodu Michaela Claire dowiedziała się, że Amelie mu powiedziała. Najwyraźniej musiała - nie ufała żadnemu wampirowi poza Samem, kiedy chodziło o informacje o Myrnie i dostęp do niego, ale Michael miał własny interes w dbaniu o bezpieczeństwo Claire, a Sam przynajmniej przez kilka dni musiał odpoczywać.

- Ale dobrze się czuje? - zaniepokoiła się Claire.

Michael otworzył jej drzwi na podziemny parking odruchowym gestem, który przejął pewnie kiedyś od dziadka. Czasami wykonywał podobne gesty jak Sam i miał nawet podobny chód.

- Lepiej - powiedział. - Ale o mało nie umarł. Wszyscy - to znaczy wampiry - są teraz nieźle podenerwowani. Chcą dopaść tego, kto przebił go kołkiem, i naprawdę wszystko im jedno, jak to zorganizują. Kazałem Shane'owi obiecać, że nie ruszy tyłka z domu i nigdzie nie pójdzie sam.

- Naprawdę myślisz, że dotrzyma słowa?

Michael wzruszył ramionami i otworzył drzwi sedana o przyciemnianych szybach, dokładnie takiego samego jak ten, którym jeździł Sam. To był ford. Miło wiedzieć, że wampiry kupują amerykańską markę.

- Próbowałem przemówić mu do rozumu, ale Shane raczej nie słucha tego, co mam mu do powiedzenia. Już nie.

Claire wsiadła do samochodu i zapięła pas. Kiedy Michael usiadł na siedzeniu kierowcy, powiedziała:

- To nie twoja wina. Jemu po prostu trudno przyzwycząić się do tego, że jesteś jednym z nich. Nie wiem, czy możemy coś na to poradzić.

- Nie - powiedział Michael, ruszając. - Absolutnie nie możemy nic na to poradzić.

Jazda, oczywiście, trwała krótko i z tego, co Claire udało się dostrzec przez przyciemniane szyby, Michael pojechał tą samą trasą, którą jechał Sam, w stronę alei i kryjówki Myrnina. Zaparkował samochód przy krawężniku. Kiedy wysiadała, Claire przypomniała sobie o czymś i zajrzała do wnętrza samochodu, i potem z powrotem wsiadła do auta.

- Cholera - jęknęła. - Ty nie możesz wysiąść, prawda? Nie wolno ci wychodzić na słońce!

Michael pokręcił głową.

- Mam poczekać na ciebie tutaj, dopóki słońce nie zajdzie, potem po ciebie pójde. Amelie obiecała, że zadba, żebyś do tego czasu była bezpieczna.

- Ale... - Claire ugryzła się w język. To nie była wina Michaela. Słońce zajdzie dopiero za jakieś trzy godziny, więc będzie musiała po prostu przez ten czas sama na siebie uważać.

- Dobra. To do zobaczenia po zmroku.

Zamknęła drzwi samochodu. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że Katherine Day siedzi na werandzie dużego domu Założycielki, huśtając się na ławce i popijając coś, co wyglądało jak mrożona herbata. Claire pomachała jej. Babunia Day kiwnęła jej głową.

- Tylko uważaj! - zawołała.

- Tak, proszę pani!

- Mówiłam królowej, że nie podoba mi się, że cię do tego czegoś wysyła, tak jej mówiłam - powiedziała starszka, dla podkreślenia swoich słów wojowniczo wymachując palcem.

- Chodź i napij się ze mną mrożonej herbaty, dziewczyno. To coś tam na dole może

sobie zaczekać. I tak najczęściej nie mu pojęcia, co się wkoło niego dzieje.

Claire uśmiechnęła się, ale pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę, proszę pani. Nie powinnam się spóźniać. Nie mniej dziękuję. -
Zawróciła w stronę alejki, ale jeszcze na moment przystanęła. - Aha... Jaka królowa?

Babunia niecierpliwie zamachała ręką, jakby odpędzała muchę.

- Ona, oczywiście. Biała Królowa. Jesteś zupełnie jak Alicja, wiesz. Wskakuj do norki Szalonego Kapelusznika.

Claire bała się za dużo o tym myśleć, bo aż za dobrze pamiętała zdanie: „Ściąć jej głowę!” Uśmiechnęła się jeszcze raz grzecznie do babuni Day i pomachała jej, a potem poprawiła plecak na ramieniu i poszła do tej swojej szkoły wieczorowej.

ROZDZIAŁ 8

Amelie rzeczywiście zadbała o bezpieczeństwo Claire. Dokonała tego, zamykając Myrnina.

Claire upuściła plecak u stóp schodów - skąd łatwo było go zabrać, zwiewając biegiem - i zobaczyła w laboratorium nowy nabytek: klatkę. A w niej, w środku, był Myrnin.

- O mój Boże... - Zrobiła kilka kroków w jego stronę, omijając jak zwykle niebezpiecznie rozchwane stosy książek. zagryzła wargę. O ile się orientowała, to była ta sama klatka, której wampiry kiedyś zamknęły Shane'a na placu Założycielki - grube czarne pręty, całość na kółkach. Przy odrobinie szczęścia, wampiroadporna. Ktoś, kto Myrnina w niej zamknął, był na tyle miły, że dał mu całe naręczce książek oraz stertę przytulnych (jeśli nawet nieco przetartych) koców i spłóviałych poduszek. Ułożył się w kącie klatki na tych poduszkach, a na czubku nosa miał okulary lennonki. Czytał.

- Spóźniłaś się - zauważył, odwracając stronę. Claire otworzyła usta, a potem zamknęła je, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

- Och, klatką się nie przejmuj. To dla twojego bezpieczeństwa, oczywiście. Skoro Samuela tu nie ma, żeby cię mógł ochraniać.

- Obrócił kolejną stronę, ale jego oczy wcale nie podążały za czytany tekst. Tylko udawał, że czyta i w jakiś sposób to najbardziej ją zabolalo. - Pomysł Amelie. Nie mogę powiedzieć, żebym go do końca aprobował.

Wreszcie udało jej się wykrztusić:

- Przykro mi.

Myrnin wzruszył ramionami i zamknął książkę, upuszczając ją głośno na stos pozostałych.

- Już mi się zdarzało siedzieć w klatce - stwierdził. - I na pewno mnie wypuszczą, kiedy pojawi się twoja przyzwoitka. A tymczasem kontynuujmy naukę. Przysuń sobie bliżej krzesło. Wybacz, że nie wstanę, ale jestem nieco wyższy niż to... - Wyciągnął rękę i postukał w pręty klatki. - Amelie mówiła mi, że przeniosłaś się na zajęcia dla zaawansowanych.

Claire z zadowoleniem przyjęła zmianę tematu pozwalając jej oderwać myśli od klatki, w której ze względu na nią został zamknięty jak zwierzę. I od tego, jak dziwnie uspokajająco to na nią działało. Odczytała mu swój plan zajęć i zaczęła odpowiadać napytania, ujęte w ostrych słowach i stanowiące dziwaczną mieszaninę eksperckiej

wiedzy i kompletnej ignorancji. Filozofię i biochemię rozumiał; nie miał za to zielonego pojęcia o mechanice kwantowej, ale kiedy objaśniła mu jej podstawy, pokiwał głową.

- Mity i legendy? - powtórzył zaskoczony, kiedy przeczytała nazwę kolejnego przedmiotu. - Ale dlaczego Amelie uznała za wskazane... Ach, nieważne, na pewno ma jakiś powód. Twój esej? - Wyciągnął rękę. Claire wyłowiła z plecaka spięte kartki wydruku z komputera i podała mu je. Sześć stron, z pojedynczym odstępem. Opisała historię przedmiotu, który dopiero zaczynała rozumieć, jak najlepiej umiała. - Przeczytam to później. A książki, które ci dałem?

Claire wyjęła książki z plecaka.

- Przeczytałam Aureusa i Złoty łańcuch Homera.

- Zrozumiałaś je?

- Jakoś... nie bardzo.

- To dlatego, że alchemia jest głęboko tajemną dziedziną. Trochę jak masoneria... Masoni jeszcze istnieją? - Kiedy pokiwała głową, na twarzy Myrnina pojawiła się dziwna ulga. - No to dobrze. Wiesz, konsekwencje mogłyby być naprawdę okropne, gdyby ich już nie było. A co do alchemii, to nauczę cię, jak tłumaczyć kody mówione i pisane, ale ważniejsze dla mnie jest, żebyś opanowała mechanikę niż filozofię. Rozumiesz metody konstrukcji pieca do kalcynowania?

- Chyba tak. A nie możemy po prostu zamówić tego, co jest nam potrzebne? Albo to gdzieś kupić?

Myrnin postukał srebrnym pierścieniem w pręty klatki.

- Wykluczone. Dzieci współczesności to idioci, niewolnicy pracy innych, zależni we wszystkim. Ale nie ty. Ty się nauczysz nie tylko korzystać z narzędzi, ale też je wytwarzać.

- Chcesz, żebym została inżynierem?!

- A nie jest to wiedza przydatna dla kogoś, kto studiuje fizykę, rozumieć jej praktyczne zastosowania? Popatrzyła na niego pełna wątpliwości.

- Chyba nie każesz mi sprawić sobie kowadła i wyklepywać na nim śrubokrętów lub czegoś podobnego?

Myrnin się uśmiechnął.

- Jaki dobry pomysł! Zastanowię się nad tym. A teraz chciałbym przeprowadzić pewne doświadczenie. Jesteś gotowa? Pewnie nie.

- Tak jest.

- Odsuń ten regał... - Wskazał na potwora zapchanego książkami, który wyglądał, jakby lada moment miał się rozlecieć. Oczywiście, aż jęczał pod ciężarem książek. - Zepchnij go na bok.

Claire nie była pewna, czy ten regał trzyma się na tyle mocno, żeby wytrzymać takie popychanie, ale zrobiła, co kazał. Regał okazał się mocniejszy, niż wyglądał i, ku swojemu zdziwieniu, kiedy przepchnęła go na bok, zobaczyła niewielkie, zakończone hakiem drzwi. Zamknięte były na wielki żelazny zamek w kształcie serca.

- Otwórz je - polecił i podniósł książkę, którą odłożył, kiedy weszła, na chybił trafił przerzucając parę stron.

- Gdzie jest klucz?

- Nie mam pojęcia. - Zaczął odwracać strony szybciej, marszcząc brwi. - Rozejrzyj się.

Gdzie niby miała zacząć? Wszędzie leżały książki, panował nieopisany bałagan, nic nie leżało na swoim miejscu.

- Nie możesz mi dać chociaż jakiejś wskazówki?

- Gdybym pamiętał, to bym dał. - Głos Myrnina zabrzmiał sucho, ale też nieco smutnawo. Kątem oka spojrzała w jego stronę. Znów odłożył książkę i patrzył przed siebie, ale nie na nią ani na nic konkretnego. Patrzył obojętnie. - Claire?

- Tak? - Otworzyła pierwszą szufladę przy drzwiach. Pełno w niej było butelek z, o ile widziała, kurzem, w większości opatrzonych naklejkami. Jakiś pajak panicznie uciekł w kąt szuflady, a ona skrzywiła się i zatrzasnęła ją.

- Możesz mi powiedzieć, co ja robię w tej klatce? - Jego głos brzmiał teraz dziwnie, nienaturalnie spokojnie, z jakąś ukrytą nutką. Claire odetchnęła głęboko i dalej przeszukiwała szuflady. Unikała patrzenia na Myrnina. - Nie lubię klatek. Złe rzeczy mnie spotykały w klatkach.

- Amelie mówi, że jeszcze trochę musisz w niej posiedzieć. Zapomniałeś? To ma nam pomóc.

- Nie pamiętam. - Głos miał ciepły, miękki i pełen żalu.

- Chciałbym stąd wyjść. Mogłabyś mnie, proszę, wypuścić?

- Nie. Nie mam...

Klucza. Ale przecież je miała. Kółko z kluczami leżało tuż przed nią, na wpół ukryte pod kartkami. Trzy klucze. Jeden to był wielki żelazny klucz i Claire z miejsca nabrała niemal całkowitej pewności, że będzie pasował do tego wielkiego zamka w kształcie serca w drzwiach za regałem. Drugi był nowszy, też spory i ciężki, i musiał być

kluczem do klatki Myrnina.

Trzeci klucz był delikatny i malutki. Na taki kluczyk zamyka się pamiętnik albo walizkę.

Claire sięgnęła po kółko z kluczami i przysunęła je do siebie, starając się to zrobić cicho. Oczywiście usłyszał. Wstał i chwycił się prętów.

- Ach, świetnie - ucieszył się. - Claire, proszę, otwórz te drzwi. Nie mogę ci pokazać tego, co zamierzałem, kiedy siedzę zamknięty.

Boże, nie wolno jej spojrzeć na niego, nie może na niego patrzeć.

- Nie wolno mi tego zrobić. - Wybrała duży klucz. Był zimny i chropawy, i stary. Naprawdę stary. - Chciałeś, żebym otworzyła drzwi, prawda?

- Claire, popatrz na mnie! - W głosie miał wielki smutek.

Usłyszała ciche podzwanianie pierścionkiem o pręty, kiedy znów je złapał. - Claire, proszę.

Odwróciła się od niego i wsunęła klucz do zamka w kształcie serca.

- Claire, nie otwieraj tych drzwi!

- Przecież mi kazałeś!

- Nie! - Myrnin szarpnął prętami klatki i chociaż była z żelaza, usłyszała, jak grzechoczą. - To moje drzwi i Moja ucieczka! Chodź tu i wypuść mnie! Już!

Zerknęła na zegarek. Jeszcze za wcześnie, niestety jeszcze za wcześnie, została przynajmniej godzina do zachodu słońca, Może więcej. Michael nadal nie mógłby wyjść z samochodu.

- Nie mogę - powiedziała. - Przepraszam.

Myrninowi wyrwał się dźwięk, który sprawił, że się ucieszyła, że jest po drugiej stronie pomieszczenia. Nigdy nie słyszała lwiego ryku, nie na własne uszy, ale wyobrażała sobie, że właśnie tak by brzmiał, pełen wściekłości. Odebrał jej pewność siebie. Przymknęła oczy i próbowała nie słuchać, ale teraz zaczął coś mówić. Nie mogła zrozumieć słów, ale płynęły gniewnym strumieniem w języku, którego Claire nie знаła. Ale ten ton głosu... Nie można było nie pojąć zawartych w nim złych półtonów.

Zabiłby ją, gdyby w tej chwili dostał jaw swoje ręce. Dzięki Bogu, że ta klatka była na tyle mocna, że...

Warknął coś niskim i gardłowym głosem i usłyszała ze metal pęka z wysokim, wibrującym dźwiękiem.

Nie, klatka nie była wystarczająco mocna.

Myrnin odginal pręty.

Claire odwróciła się, nadal trzymając klucz w ręku i zobaczyła, że Myrnin szarpie za pręty, jakby były zrobione z papieru.

Jak mu się to udało? Skąd on ma tyle siły? Nie zrobi sobie nit złego?

Zrobił. Dostrzegła krew na jego rękach.

Drgnęła, kiedy dotarło do niej, że gdyby wydostał się z klatki, to samo mógłby zrobić jej.

Musiała się stąd wydostać.

Claire obesza stół, precyzyjnie się między dwoma wysokimi stosami książek i potknęła się o stółek, któremu brakowało jednej nogi. Boleśnie się uderzyła, przewracając na podłogę i lądując na stercie różnych śmieci - kawałków starej skóry, jakiś cegieł, paru zwiędniętych roślin, widocznie potrzebnych Myrninowi do jakiegoś botanicznego doświadczenia. Rany, ależ ją zabolalo. Obróciła się na bok, z trudem chwytając oddech, i podniosła się na nogi.

Usłyszała długi, powolny jęk metalu i na jedną pechową sekundę przystanęła, żeby obejrzeć się za siebie.

Drzwi klatki stały otworem, a Myrnin z niej wyszedł. Nadal miał na nosie lennonki, ale wzrok istoty, która wyrwała się właśnie z piekła.

- O cholera - szepnęła Claire i z rozpaczą spojrzała w stronę schodów.

Za daleko. O wiele za daleko, za wiele przeszkód na drodze do wolności, a on umiał poruszać się błyskawicznie. Pierwszy dopadnie tych drzwi.

Bliżej miała do drzwi zamkniętych na klucz niż do schodów, a sam klucz nadal mocno ścisnęła w garści. Będzie musiała zostawić plecak z książkami, nie zdoła teraz go złapać.

Nie miała czasu na zastanowienie. Zadrapanie nożem Jasona na nadgarstku było nadal świeże, Myrnin na pewno je wyczuwał i dzwonek na obiad dźwięczał mu głośno i wyraźnie.

Kopniakiem usunęła książki z drogi, przeskoczyła stos śmieci i z wyciągniętym przed siebie kluczem rzuciła się do drzwi. Ręce jej drżały i musiała dwa razy próbować, zanim udało jej się wcisnąć za duży klucz do dziurki, a kiedy zaczęła go obracać, przeżyła chwilę kompletnej paniki, bo klucz najpierw ani drgnął...

Ale potem poruszył się, z metalicznym zgrzytem zapadek i bolców i drzwi się otworzyły.

Po drugiej stronie był salon w Domu Glassów, a Shane siedział na kanapie,

plecami do niej, i grał w grę wideo.

Claire zamarła, totalnie wytrącona z równowagi. Przecież to nic może być prawda? Nie powinna móc go widzieć, a przecież słyszała wszystkie odgłosy walki, którą toczył na monitorze. Czowała zapach domu. Chilli. Ugotował chilli. Nadal nie zaniósł na górę wszystkich swoich pudeł. Część jeszcze wałała się w salonie.

- Shane - szepnęła i wyciągnęła rękę w stronę przejścia.

Coś w tym miejscu wyczuła, jakby lekko napiętą błonę, i zadrżała, czując, że włoski na ramionach stanęły jej dęba.

Shane zatrzymał grę i powoli wstał.

- Claire? - Patrzył w złą stronę, w górę, na schody.

A jednak ją usłyszał. A to znaczyło, że wystarczyło zrobić krok i znalazłaby się w bezpiecznym miejscu. Nie udało jej się.

Na jej ramię opadła dłoń Myrnina. Odciągnął ją w tył i kiedy Shane zaczął się odwracać w ich stronę, Myrnin zatrzaskał drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Bała się poruszyć. Był szalony, wyraźnie to widziała. Nie zostało w nim nic znajomego. W głowie brzęczały jej ostrzeżenia Amelie i Sama. Nie doceniła Myrnina, a właśnie przez to zginęli jego poprzedni uczniowie.

Myrnin trząsał się, a ręce zaciskał w pięści. Krew skapywała na otwarty podręcznik chemii, który leżał na podłodze.

- Kim jesteś? - szepnął. To był znów ten sam akcent, który zauważyła u niego, kiedy była tu po raz pierwszy, tylko wyraźniejszy. Znacznie wyraźniejszy. - Dziecko, co cię tu sprowadziło? Czy nie rozumiesz, co ci tu grozi? Kto jest twoim opiekunem? Zostałaś przysłana jako prezent?

Na moment przymknęła powieki, a potem je otworzyła i, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Ty jesteś Myrnin, a ja nazywam się Claire, jestem twoją przyjaciółką. Jestem twoją przyjaciółką, rozumiesz? Pozwól mi sobie pomóc. Zraniłeś się.

Wskazała na jego poharatane palce. Myrnin opuścił wzrok i chyba się zdziwił, jakby przedtem wcale nie czuł bólu. Możliwe zresztą, że nie czuł.

Cofnął się o dwa kroki, wpadł na stół i przewrócił stojak z pustymi probówkami. Spadły i porozbijały się na kamiennej posadzce.

Myrnin zatoczył się, oparł o ścianę, zakrywając twarz zakrwawionymi rękoma, a potem zaczął się monotonicznie kołysać.

- Coś jest nie tak - jęknął. - Miałem zrobić coś ważnego. Nie pamiętam, co to było.

Claire obserwowała go nadal śmiertelnie przerażona, a potem przykucnęła naprzeciw niego.

- Myrnin - odezwała się. - Te drzwi. Te, które otworzyłam. Dokąd one prowadzą?

- Drzwi? To przejście. Momenty w czasie, zatrzymane chwile, nic z tego długo nie trwa, no wiesz, to jak krwiobieg. Próbowałem go butelkować, ale nie zachowuje świeżości. Znaczący czas. Krew się zmienia, czas tak samo. Jak masz na imię?

- Claire. Nazywam się Claire.

Oparł głowę o ścianę. Po policzkach spływały mu krwawe łzy.

- Nie ufaj mi, Claire. Nigdy mi nie ufaj. - Uderzył tyłem głowy o ścianę z taką siłą, że Claire się skrzywiła.

- Ja... Dobrze. Nie będę.

- Od jak dawna się przyjaźnimy?

- Niezbyt długo. '

- Nie miewam przyjaciół - powiedział głucho. - Wiesz, kiedy ma się tyle lat co ja, nie ma się przyjaciół. Miewa się rywali, miewa się stronników, ale przyjaciół nigdy. Jesteś za młoda, o wiele za młoda, żeby to zrozumieć. - Zamknął oczy i kiedy je znów otworzył, wyglądał prawie przytomnie. Prawie. - Amelie chce, żebyś się ode mnie uczyła, tak? A więc jesteś moją uczennicą ?

Tym razem Claire po prostu skinęła głową. Jakikolwiek to był atak, już mijał, a Myrnin znów wydawał się obojętny, zmęczony i smutny. Zdjął okulary, złożył je i wsadził do kieszeni fartucha.

- Nie uda ci się - stwierdził. - Nie zdołasz się wystarczająco szybko uczyć. Dzisiaj omal cię nie zabiłem, następnym razem mogę nie zdołać się powstrzymać. Tamci inni... - Urwał, im moment skrzywił się i odchrząknął. - Ja nie... Ja nie zawsze byłem taki jak teraz, Claire. Proszę, zrozum. W przeciwieństwie do wielu należących do mojego gatunku nigdy nie chciałem się stać potworem. Ja tylko chciałem się uczyć, a tym sposobem mogłem się uczyć wiecznie.

Claire zagryzła wargę.

- Mogę to zrozumieć. Ja... Amelie chce, żebym ci pomogła i uczyła się od ciebie. Uważasz, że jestem dość bystra?

- Och, wystarczająco bystra. Czy opanowałabyś potrzebną wiedzę, gdybyś miała dość czasu? Być może. A nie będziesz mała w tej sprawie żadnego wyboru, ona będzie ci ciągle kazała przychodzić się uczyć, dopóki się nie nauczysz albo dopóki cie nie zabiję. - Myrnin uniósł głowę i popatrzył na nią. Znów myślał racjonalnie i był bardzo

spokojny. - Mówiłem ci już, że masz mi nie ufać?

- Tak.

- To dobra rada, ale w tym jednym przypadku zignoruj ją i pozwól sobie pomóc.

- Pomóc...?

Myrnin wstał, w ten dziwny sposób, jakby był pozbawiony szkieletu, i pogrzebał wśród szklanych słoików, zlewek i probówek, aż wreszcie znalazł coś, co z wyglądu przypominało czerwoną sól. Potrząsnął pojemnikiem rozmiaru słoiczka na przyprawę i otworzywszy go, wyjął jeden kryształek. Położył go sobie na języku, na moment zamknął oczy i się uśmiechnął.

- Tak - mruknął. - Tak właśnie myślałem. - Zamknął słoiczek i podał go Claire. - Weź to.

Wzięła. Słoiczek był zadziwiająco ciężki.

- Co to jest?

- Nie mam zielonego pojęcia, jak to nazwać - powiedział.

- Ale podziękuj.

- A co mam z tym zrobić?

- Wytrząśnij odrobinę na dłoń, pokażę ci jak. - Wyciągnął do niej rękę. Cofnęła swoją, a Myrnin przez moment wyglądał na urażonego.

- Nie, masz rację. Sama to zrób. Przepraszam.

- Znów podał jej słoiczek i zachęcił ją gestem. Z wahaniem odwróciła pojemnik do góry dnem nad swoją dłoń. Wysypało się z niego kilka czerwonych kryształków. Chciał, żeby wysypała więcej, więc zrobiła to, energicznie potrząsając pojemnikiem, aż wreszcie usypała na dłoni mniej więcej pół łyżeczki tej substancji.

Myrnin odebrał jej słoiczek i odstawił na miejsce, a potem skinął głową.

- No już - ponaglił ją. - Łyknij to.

- Przepraszam?

Gestem pokazał, że ma włożyć kryształy do ust.

- Ja... Hm... Ale co to właściwie jest?

Tym razem Myrnin przewrócił oczami niecierpliwie.

- Weź to, Claire! Nie mamy za wiele czasu. Chwile, kiedy jestem przytomny, są coraz krótsze. Nie mogę zagwarantować, że znów mi się nie pogorszy. I to niedługo. To ci pomoże.

- Nie rozumiem. W jaki sposób to coś ma mi pomóc?

Nie tłumaczył tego po raz drugi, milczącym spojrzeniem prosił ją o to. Wyglądał

tak szczerze i taką miał nadzieję w oczach, że wreszcie podniosła dłoń do ust i z wahaniem spróbowała jednego kryształka.

Smakował jak truskawkowa sól, z posmakiem goryczki. Poczula nagły, maleńki wybuch lodowatej jasności, jakby w ciemnym pokoju zapaliła się lampa stroboskopowa, oświetlając piękne, błyszczące przedmioty.

- Tak - szepnął Myrnin. - Teraz widzisz.

Tym razem zlizala więcej kryształków. Cztery czy pięć. Gorycz stała się wyraźniejsza, ledwie maskowana smakiem truskawek, a reakcja nastąpiła jeszcze szybciej. Zupełnie jakby przedtem spała, a teraz nagle się obudziła. Cudownie, od zawrotu głowy oprzytomniała. Świat stał się tak wyrazisty, miał tak ostre kontury, że wydawało jej się, że nawet wypolerowane stare drewno stołu może ją skaleczyć.

Myrnin złapał na chybił trafił jakąś książkę i otworzył ją. Podsunął ją Claire pod oczy i to było jak kolejny wybuch światła w ciemności, jasne i piękne, och, jakie ładne, to, w jaki sposób słowa przechodziły jedno w drugie i jak wnikały w jej umysł. Trochę to bolało, ale było też idealne, i zaczęła jak najszybciej czytać.

„Esencja złota jest esencją Słońca, a esencją srebra jest esencja Księżyca. Musisz pracować z każdym z tych metali w zależności od jego właściwości, ze złotem w ciągu dnia, ze srebrem nocą...”

Zaczęła wszystko rozumieć. Doskonale rozumieć. Alchemia była niczym innym jak poetyckim opisem sposobu, w jaki oddziaływały na siebie materia i energia, sposobu, w jaki różne powierzchnie wibrowały z różną częstotliwością, to była fizyka, czysta fizyka, i wreszcie zaczynała rozumieć, jak może ją wykorzystać.

A potem... Potem poczuła się, jakby wszystkie światła nagle Zgasły.

- Weź jeszcze - zachęcał Myrnin. - Ilość, jaką masz w rękę, wystarczy na godzinę, dwie. W tym czasie mogę cię bardzo wiele nauczyć. Być może tyle, że oboje zrozumiemy, w jakim kierunku powinniśmy działać później.

Tym razem Claire nie wahała się i zlizala czerwone kryształy do ostatniej odrobiny.

Myrnin miał rację, kryształów wystarczyło na nieco ponad godzinę. On też kilka łyknął po jednym, uważnie je sobie wydzielając i korzystając z nich tak długo, aż nawet i one ni mogły już usunąć rosnącego zamętu w jego spojrzeniu. Pod koniec zaczął się irytować. Claire zaczęła zamykać książki i układać je na stole - siedzieli przedtem we dwoje po turecku na posadzce, praktycznie przysypani kolejnymi tomami. Myrnin kazał jej przerzucać się z jednej książki na drugą, tam podsuwał jakiś akapit, tu rozdział, gdzie indziej wykres albo stronę czegoś tak starego, że najpierw

musiał ją nauczyć języka, żeby to mogli odczytać.

Nauczyłam się kilku języków. Nauczyłam się... Nauczyłam się tak wiele. Pokazał taki jeden diagram, ale to wcale nie był zwykły diagram, był trójwymiarowy i tak skomplikowany jak płatek śniegu. Morganville wcale ot tak sobie nie powstało, zostało zaplanowane. Zaplanowane przez wampiry, zbudowane przez Myrnina i Amelie. Domy Założycielki stanowiły jego część - trzynaście jasnych silnych węzłów mocy w tej sieci, utrzymywanej razem za pomocą skomplikowanej energetycznej struktury. Mogła przemieszczać ludzi z jednego miejsca w drugie przez te przejścia, chociaż Claire jeszcze nie do końca rozumiała, jak są kontrolowane. Ale ta sieć umiała coś jeszcze. Mogła zmienni wspomnienia. Mogła nawet gdzieś bronić ludziom wstępu, jeśli Amelie sobie tego życzyła.

Myrnin pokazał jej też swoje zapiski z badań wykonanych przez ostatnich siedemdziesiąt lat, dotyczących choroby wampirów. Aż mroziło krew w żyłach, kiedy patrzyła, jak schludne notatki z czasem robią się coraz bardziej niewyraźne, a pod koniec zaczynają tracić jakikolwiek sens.

Jakąś częścią umysłu zastanawiała się, czy nie powinna po prostu stanąć z boku i pozwolić, żeby to wszystko działało dalej, ale Myrnin... To wszystko, co wiedział, czego dokonał a ona nigdy nie nauczyłaby się tyle od nikogo, nigdy aż tak wiele.

Może troszeczkę. Może mogłabym mu pomóc chociaż troszeczkę.

Kryształy przestawały działać, Claire poczuła się potwornie zmęczona. Bolały ją mięśnie gorączkowym pulsowaniem, które mówiło jej, że ta substancja nie jest wcale dla ludzkiego organizmu za bardzo przyjazna. Czuła w głowie każde uderzenie serca, a wszystko wydawało się takie ciemne. Takie... takie nie do ogarnięcia.

Poczuła na policzku powiew powietrza i odwróciła się w stronę schodów. Michael schodził po nich szybko, szybciej niż kiedykolwiek, a na widok Claire siedzącej obok Myrnina stanął wryty.

- On powinien być...

- Zamknięty w klatce? - Claire słyszała gorycz we własnym głosie. I nie przejmowała się nią. - On jest chory, Michael. Ale nie jest zwierzęciem. A zresztą, jak go zamknąć, to się wydostaje.

Nagle Michael wydał jej się bardzo młody, chociaż przecież dyl starszy od niej. I do tego jeszcze był wampirem.

- Claire, wstań i podejdź do mnie. Proszę.

- Dlaczego? On mnie nie skrzywdzi.

- On nic nie poradzi na to, co robi. Słuchaj, Sam mi powiedział, ilu już zabił...

- Michael, on jest wampirem. Oczywiście, że...

- Ilu zabił w ciągu ostatnich dwóch lat. Więcej niż wszystkie inne wampiry z Morganville razem wzięte. A teraz wstań i podejdź tu.

- On ma rację - odezwał się Myrnin. Zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością, Claire to widziała, ale rozpaczliwie chwycił się roli, jaką odgrywał wobec niej przez ostatnią godzinę. Łagodnego, zabawnego, słodkiego faceta, płonącego entuzjazmem i z pasją pokazującego jej swój świat. - Czas na ciebie. - W uśmiechu pokazał zęby - wcale nie wampirze. To był typowo ludzki uśmiech. - Poradzę sobie, Claire, a przynajmniej rzadko zdarza mi się okazja kogoś skrzywdzić. Amelie Wyśle kogoś, kto się mną zajmie. Zwykle stąd nie wychodzę, kiedy... kiedy zaczynam zapominać. Nigdy nie umiem znaleźć kluczy, a jak już je znajdę, to nie wiem, jak się ich używa. Ale nigdy nie zapominam, jak się zabija. Twój przyjaciel ma rację. Powinnaś już iść, proszę cię. I jeszcze jedno. Kontynuuj naukę.

Głupie to było, ale nie chciała tak go tu zostawiać, ze światłem znikającym z jego oczu, zastępowanym przez mgłę zagubienia i strachu.

Wcale nie zamierzała tego robić, jakoś samo wyszło.

Uściskała go.

Zupełnie jakby próbowała uściskać drzewo, był tak zaskoczony, że stał sztywno. Nie umiała zgadnąć, ile czasu minęło odkąd po raz ostatni ktoś go objął. Przez chwilę stawiał jej opór, a potem objął ją i usłyszała głośne westchnienie. Nadal trudno to było nazwać uściskiem, ale pewnie na więcej nie byłoby go stać.

- Odejdź, ptaszyno - szepnął. - Śpiesz się.

Wycofała się. Oczy znów miał dziwne i wiedziała, że skończył im się czas. Któregoś dnia nie wróci już. Zostanie Bestą.

Michael znalazł się obok niej. Nie słyszała jego kroków przez pokój, ale teraz wziął ją za rękę, a na jego twarzy malowało się szczere współczucie. Ale nie dla Myrnina. Dla niej.

- Słyszałaś, co powiedział. Pospiesz się.

Wpadła na stół i niewielki słoiczek czerwonych kryształków zachwiał się, o mało nie przewracając. Złapała go, postawiła, a potem się zastanowiła. A jeśli on je zgubi? Bez przerwy gubi| różne rzeczy.

Po prostu tylko schowa kryształy, nic więcej. Przecież to mu pomagało, prawda? Więc powinna zadbać, żeby tego nie przewrócił, nie wyrzucił ani nic.

Wsunęła słoiczek do kieszeni. Zdawało jej się, że Myrnin nie zauważył, Michael na pewno nie widział. Claire poczuła, że ogarnia ją gorąca fala... czego? Wstydu? Ożywienia? Powinnam odstawić słoik na miejsce. Ale naprawdę, jeśli on zacznie coś przestawiać, nigdy go już nie znajdzie. Myrnin zapomni. Nawet nie zauważy, że zniknął.

Wchodząc po schodach, oglądała się za siebie. Kiedy byli w połowie drogi do wyjścia, Myrnin zdążył już o nich zapomnieć i niecierpliwie przerzucał stos książek, mrużąc coś do siebie pod nosem z irytacją.

Już odleciał.

Podniósł na nich oczy i warknął, i zobaczyła teraz błysk jego kłów.

Popędziła do drzwi u szczytu schodów.

ROZDZIAŁ 9

Michael nie odzywał się do niej; kiepsko to wyglądało. Nie dąsał się, tak jak od czasu do czasu Shane - po prostu był zamyślony. Jazda powrotna mijala w niezręcznym milczeniu. Na zewnątrz było zupełnie ciemno, zresztą przez te przyciemniam szyby i tak nic nie było widać.

Świat wydawał jej się jakiś nierealny, głowa ją rozboleła.

- A więc na tym polega twój kontrakt z Amelie - odezwał się Michael. - Masz pracować dla Myrnina.

- Nie. Najpierw zawarłam kontrakt z Amelie, a dopiero potem kazała mi dla niego pracować. Czy raczej uczyć się ml niego.

- A jest jakaś różnica?

Claire się uśmiechnęła.

- Owszem. Za naukę nie płacą.

- Błyskotliwa uwaga, geniuszku. A ktoś ci w ogóle płaci!'

Nie umiała na to odpowiedzieć. Nie przyszło jej do głowy,!

żeby poprosić Amelie o pieniądze. Czy to normalne, że za ci ń takiego dostaje się wynagrodzenie? Pewnie tak, skoro miała narażać życie, przebywając z Myrninem.

- Zapytam.

- Nie - sprzeciwił się ponuro Michael. - Sam zapytam. I lak chcę o tym wszystkim z Amelie pogadać.

- Michael, przestań bawić się w mojego starszego brata. In niebezpieczne. Jesteś teraz jednym z nich, ale...

- Jednym z nich? Tak, wiem. Ale ty jesteś na to wszystko o wiele za młoda, Claire, i sama nie wiesz, co robisz. Nie dorastałaś w tym mieście, nie rozumiesz zagrożenia.

- Że co, że grozi mi śmierć? Tyle to ja już całkiem dobrze rozumiałam. - Była zmęczona i obolała, ale opiekuńczość Michaela dziwnie ją drażniła. - Posłuchaj, nic mi nie jest, dobra?

Poza tym sporo się dzisiaj nauczyłam. Będzie bardzo zadowolona, wierz mi.

- Nie martwi mnie nastrój Amelie - powiedział Michael ale twój. Zmieniasz się, Claire.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- A ty niby nie?

- To był cios poniżej pasa. Posłuchaj, mam dość chodzenia wokół Shane'a na

paluszkach. Nie zmuszaj mnie, żebym chodził też koło ciebie. - Aha, teraz Michael też się już rozzłościł.

Super.

- Powiedzieć ci coś? Przeszanę marudzić na temat twojego tycia, jeśli ty nie będziesz wtrącał się w moje. Nie jesteś moim bratem, nie jesteś moim ojcem...

- Nie - przerwał. - Jestem facetem, który decyduje, czy będziesz mieszkała w tym domu.

To niemożliwe. Nie zrobiłby tego.

- Michael...

- Zawarłaś układ z Amelie, z nikim nic nie ustalałaś, a potem ukrywałaś to przed nami. Przyznałaś nam się tylko dlatego, że zobaczyłem bransoletkę. Gdybym jej nie zobaczył, nadal byś nas okłamywała. To raczej nie robi z ciebie współlokatorki idealnej. - Michael urwał na moment. - No a poza tym jest jeszcze Shane.

- To teraz jeszcze odpowiadam za zachowanie Shane'a?

- Ty nie. Ale nie dam rady wam obojgu. Więc graj fair, Claire. Nie kłam już i nie ryzykuj niepotrzebnie, dobra? Przekonam Amelie, żeby zwolniła cię z tych spotkań z Myrningem.

Jesteś za mało dorosła, żeby się w to wplątywać, a ona powinna to rozumieć. Nie kłam już. Nie ryzykuj niepotrzebnie. Claire zaczęła się wiercić na siedzeniu. Poczula w kieszeni buteleczkę i przypomniała sobie ten stan idealnej jasności umysłu. Zastanawiała się, co Michael by powiedział na to, że wzięła kryształki. Pewnie nic. Skoro mówił o wyrzuceniu jej z domu... Widocznie nic a nic go to wszystko nie obchodzi.

Samochód zwolnił i skręcił za róg, a potem zaczął podskakiwać na wyboistym podjeździe. Dom.

Claire wysiadła, zanim Michael zdążył powiedzieć do niej coś jeszcze.

Shane stał w kuchni, nalewał sobie piwo. W milczeniu uniósł szklankę w toaście i skinął głową w stronę garnka stojącego mi kuchence.

- Chilli - powiedział. - Z mnóstwem czosnku. Michael zamykał właśnie drzwi kuchni i westchnął.

- Kiedy to się skończy?

- Może kiedy przestaniesz żywić się krwią?

- Shane...

- Nie wydziwiał. Dla ciebie zrobiłem bez. - Shane spojrzał na Claire i się

nachmurzył.

- Nic ci nie jest?

- Dlaczego miałyby mi coś być?

- No... nie wiem. Nieważne. - Objął ją i pocałował w czoło. - Pewnie miałaś zły dzień.

No, jakby się zastanowić... Najpierw brat Eve groził jej i skaleczył ją w nadgarstek, potem bawiła się godzinami z Myrningiem w kotka i myszkę. Czy coś takiego w Morganville liczy się jako zły dzień? Pewnie nie. W końcu obyło się bez ofiar w ludziach.

Przynajmniej na razie.

Michael przecisnął się obok nich i poszedł do salonu. Claire wysunęła się z objęć Shane'a i podeszła do kuchenki nałożyć sobie chilli. Pysznie pachniało przyprawami. Dużą ilością przy - praw. Spróbowała odrobinę i o mało się nie zakrztusiła. Czy ono zawsze paliło jak wrząca lawa? Wszystko w tej chwili bardzo silnie odczuwała. Podejrzewała, że to jakieś działanie uboczne kryształków.

- Wydawało mi się, że cię słyszałem - powiedział Shane.

- Dziwna rzecz. Dzisiaj słyszałem twój głos. W pustym pokoju. Pomyślałem o... No, ciągle myślałem o Michaelu, jak to bywało z nim za dnia... Kiedy był duchem.

- Wydawało ci się, że ja...?

- Pomyślałem, że coś się mogło stać. Dzwoniłem do ciebie na komórkę, na tę nową.

Trzymała ją w plecaku. Sięgnęła teraz i rozpięła kieszeń, h potem sprawdziła telefon. Trzy połączenia, wszystkie od Shane'a. Nagrał się na pocztę głosową.

- Przepraszam - jęknęła. - Nic nie słyszałam. Chyba muszę ustawić głośniejszy dzwonek.

Popatrzył na nią bardzo uważnie, a on poczuła, że w jej wnętrzu to coś, co mroziło ją przez cały czas spędzony z Myrningiem, zaczyna teraz tajać.

- Martwię się o ciebie. - Położył dłoń na jej policzku. - Wiesz o tym, prawda?

Pokiwała głową i uściskała go. W przeciwieństwie do Myrnina był ciepły i silny, a jego ciało idealnie pasowało do jej ciała. Kiedy ją pocałował, poczuła chilli i piwo, ale tylko przez chwilę. A potem był już tylko Shane, zapomniała zupełnie o Myrningu i o wszelkich zjawiskach fizycznych poza tarciami. Shane docisnął ją do kuchenki. Czowała na plecach jej łagodne ciepło, ale nie miała głowy, żeby się niepokoić, czy czasem nie zajmie się płomieniem. Shane tak na nią zwykle działał.

- Tęskniłem za tobą - szepnął, muskając jej wargi ustami. Chcesz iść na górę?

- A moje chilli?

- Weź je na wynos.

Uznała, że jej dzisiejsze samopoczucie ma swoje zalety, nerwy może miała wszystkie na wierzchu, ale dzięki temu jego dotyk wydawał się tym słodszy. Zwykle czuła się nieco niezręcznie i niepewnie, trochę się bała, ale teraz miała wrażenie, że popołudnie, które zaczęło się od Jasona, a skończyło na szaleństwie Myrnina, wszystkie wątpliwości rozwiało. - Nie jestem głodna. Chodź.

Czuła się wolna jak małe dziecko, wbiegając po schodach, z Shane'em depczącym jej po piętach, a kiedy złapał ją w talu i zaciągnął do swojego pokoju, zamykając za nimi drzwi kopniakiem, zapiszczała radośnie. I wtuliła się w niego i znów go całowała, zdyszana, wolna jak ptak.

Całował ją tak, jakby ich życie miało od tego zależeć. Jakby to była jakaś olimpijska konkurencja, a on zamierzał zdobyć medal. Gdzieś w głębi umysłu sama coś do siebie mówiła, tłumaczyła sobie, że to zaraz wymknie się spod kontroli, że tylko pogorszy sytuację ich obojga, ale nic nie mogła na to poradzić. Wkrótce leżeli na łóżku Shane'a, a jego ciepłe dłonie wślizgnęły się pod jej podkoszulek i głaskały skórę na brzuchu, od czego przechodziły ją dreszcze i traciła dech. Zupełnie odjechała, kiedy rozsunął palce i położył otwartą dłoń na jej brzuchu; zrozumiała, że po prostu musi poczuć jego ręce wszędzie. Wszędzie. Serce waliło jej tak głośno, że aż kręciło jej się od tego w głowie, a to wszystko było po prostu takie... Idealne.

Sięgnęła w dół i podciągnęła koszulkę. Zrobiła to powoli, czując, jak chłodne powietrze owiewa jej skórę. Aż do krawędzi stanika. I jeszcze wyżej. Shane zastygł.

- Chcę tego - szepnęła tuż koło jego ust. - Proszę cię, Shane. Ja tego chcę. - Usiadła i sięgnęła do zapięcia stanika. Rozpięła stanik. - Proszę.

Odsunął się od niej i usiadł. Oblizwał wargi, oczy miał szeroko otwarte i ciemne, i mogłaby się w ich głębię zapadać bez końca.

- Ja wiem - powiedział. - Ja też tego chcę. Ale złożyłem kilka obietnic i chcę ich dotrzymać. Zwłaszcza tej danej twoim rodzicom, bo twój tata powiedział, że ścigałby mnie jak psa.

Shane uśmiechnął się do niej z goryczą. - Ja to mam przechłapanie.

- Ale... - Poczowała, że stanik jej się ześlizguje i przytrzymała go. Czuła się teraz idiotycznie i było jej przykro.

Westchnął.

- Daj spokój, Claire. To nie tak, że ja jestem święty. Nie jestem i, zaufaj mi, nawet

święty kupiłby prezerwatywę, a potem poszedł do spowiedzi. Ale nie chodzi o to. Chodzi o dotrzymanie

nie danego słowa, a w tym mieście moje słowo to wszystko, co mam.

Pragnęła go z rozpaloną do czerwoności furia, która zupełnie nie leżała w jej naturze, ale w jakiś sposób to, co powiedział, to, a przy tym spojrzawszy jej prosto w oczy, sprawiło, że się uspokoiła, a furia zamieniła się w coś czystego, żywego i srebrzystego.

- A poza tym - dodał Shane - prezerwatywy mi się skończyły, a konfesjonałów nie cierpię.

Objął ją i zapiął jej stanik z wprawą, która wskazywała na sporą praktykę.

Rzuciła w niego poduszką.

Ktoś szurał pod domem.

Claire drgnęła i obudziła się, natychmiast przytomna, słysząc brzęk. Podniosła się z łóżka i wyjrzała przez żaluzje. Okno jej sypialni wychodziło na tyły domu, stanowiąc świetny punkt obserwacyjny, więc wyraźnie widziała stamtąd płot i pojemniki na śmieci.

Ktoś tam był, w świetle księżyca widać było ciemną postać. Claire widziała, jak się kręci, ale nie dostrzegła, co robi. Sięgnęła po komórkę i wykręciła numer policji, a potem powiedziała w centrali, że musi skontaktować się z Joem Hessem albo Travisem i Lowe'em. Przełączono ją do posterunkowego Lowe'a, który miał rzeźki głos, mimo że była trzecia rano. Claire opisała mu szeptem, co widzi, jakby ten ktoś na tyłach domu mógł ją słyszeć.

- To pewnie Jason - zakończyła. Z drugiej strony linii dobiegł ją szelest papieru.

- Dlaczego Jason? Widzisz jego twarz?

- Nie - przyznała - ale Jason mi powiedział... On się właściwie przyznał. Co do tej zmarłej dziewczyny. Moim zdaniem to Jason, serio.

- Claire, on ci groził?

Skaleczenie na nadgarstku nadal ją piekło.

- Chyba można by tak powiedzieć - przyznała. - Miałam zamiar opowiedzieć panu o tym, ale... Ale byłam zajęta.

- Czymś ważniejszym niż informowanie nas na bieżąco? No, nic. Co się stało?

- Nie powinnam opowiedzieć panu, kiedy już pan tu przyjedzie?

- Wóz patrolowy jest już w drodze. Gdzie go dzisiaj spotkałaś?

- Na uniwersytecie powiedziała i zrelacjonowała Lowe'owi zajście w Centrum Uniwersyteckim. Nie przerywał jej, po prostu dał jej mówić i słyszała, że nadal coś

notuje.

Kiedy przerwała dla nabrania tchu, Lowe się odezwał:

- Wiesz, że to było głupie, prawda? Słuchaj, następnym razem, kiedy go zobaczysz, natychmiast wrzeszcz wniebogłosy. I ustaw sobie szybkie wybieranie numeru do mnie i do Hessa.

Z Jasonem nie ma żartów.

- Ale... Byliśmy w miejscu publicznym. Przecież on by...

- Zapytaj Eve, za co trafił wtedy do więzienia, Claire. A następnym razem się nie wahaj. Tu nie chodzi o to, że masz być odważna, chodzi o to, żebyś dożyła wieczoru, rozumiesz? Zaufaj mi.

- Ufam panu.

- On tam nadal jest?

- Nie wiem, nie widzę go. Mógł już pójść.

- Wóz patrolowy powinien być lada moment, mają nadjechać po cichu. Widzisz ich już?

- Nie, ale moje okno wychodzi na tyły. - Coś poruszyło się na podwórzu i Claire poczuła przypływ adrenaliny. - On chyba.., Chyba jest teraz na podwórzu. Zbliża się do domu. Od tyłu.

- Obudź Michaela i Shane'a. Sprawdźcie, czy Eve nic nie jest. Pospiesz się, Claire.

Nie była ubrana, ale stwierdziła, że to bez znaczenia, a ta przyduża koszulka, w której sypiała, i tak sięgała jej do kolan. Zwolniła zamek, szeroko otworzyła drzwi swojego pokoju i zaskoczona wrzasnęła.

A przynajmniej próbowała. Nie udało jej się wydobyć z siebie głosu, bo Oliver zatkał jej usta dłonią, obrócił Claire wokół własnej osi i zaciągnął z powrotem do pokoju. Krzyknęła, ale zabrzmiało to zaledwie jak słaby, gardłowy jęk. Gołymi piętami szorowała po drewnianej podłodze, usiłując jakoś się zaprzec, ale Oliver wytrącił ją z równowagi i była zdana na niego. Komórkę wypuściła z ręki.

Gdzieś z dala słyszała głos Lowe'a wymawiającego cicho jej imię, ale ten odgłos zagłuszył szept Olivera, który nachylił się do jej ucha i powiedział:

- Chcę tylko porozmawiać. Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił ci krzywdę, dziewczyno. Wiesz, że się nie zawaham, jeśli będę musiał.

Znieruchomiała, z trudem łapiąc oddech. Czy to on kręcił się po podwórku? Jakim cudem dostał się na górę tak szybko? I dlaczego ochrona domu go nie powstrzymała przed wejściem?

No nie. Przecież teraz dom nie wpuszcza ludzi niezaproszonych, bo Michael... Michael jest wampirem. Oliver wiedział, jak tu wejść i wyjść. Miał łatwy dostęp do domu. O Boże.

- Grzeczna dziewczynka - szepnął Oliver. Rozejrzał się po Korytarzu, przesunął wiszącą na ścianie obraz i nacisnął ukryty przycisk. Ukryte drzwi naprzeciwko pokoju Eve otworzyły się z cichym szelestem, a Oliver zaciągnął Claire do środka, zamykając je za sobą. Od wewnętrznej strony drzwi nie miały klamki. Przycisk, którym mogłaby je otworzyć, znajdował się na górze, u szczytu krótkiej klatki schodowej, a on za nic nie pozwoli jej tam dotrzeć, jeśli Claire spróbuje uciekać. Kiedy Oliver ją puścił, nie ruszyła się z miejsca.

Zaczął mówić normalnym głosem. Nie musiał się obawiać, że ktoś go usłyszy, nie tutaj.

- Pomyślałem, że czas już, żebyśmy sobie porozmawiali. Podpisałaś kontrakt z Amelie. Ubodło mnie to, Claire, bo myślałem, że łączy nas szczególna przyjaźń, a ofertę złożyłem ci pierwszy. - Oliver uśmiechnął się do niej tym chłodnym, a jednocześnie dziwnie przyjaznym uśmiechem, na który nabrała się na początku. - Odmówiłaś mi. I zastanawiam się, dlaczego uznałaś propozycję Amelie za ciekawszą?

O Myrnie być może wiedział, ale o tym, co Myrnie robi, nie. Amelie postawiła sprawę bardzo jasno: on się o tym nigdy dowiedzieć nie może.

- Ona ładniej pachnie - stwierdziła Claire. - I piecze mi ciasteczka. - Po tym, co się wydarzyło wczoraj, Oliver jakoś niespecjalnie ją przerażał.

Ale wtedy obnażył kły, a oczy mu się rozszerzyły i przybrały czarną barwę.

- Żadnych sztuczek - ostrzegł. - Ten pokój jest dźwięku szczelny. Amelie kiedyś zabawiała się tu ze swoimi ofiarami, wiesz. To śmiertelna pułapka, a ty tkwisz w środku. Więc może powinnaś być bardziej uprzejma, o ile zamierzasz doczekać rana.

Claire uniosła dłoń. W świetle zabłysła złota bransoletka.

- A ugryź się, Oliver. Nie możesz mnie tknąć. Nie możesz tknąć nikogo w tym domu. Nie wiem, jak się tu dostałeś, ale...

Złapał ją za prawą rękę i zdarł plaster zakrywający skaleczenie zrobione przez Jasona. Ranka znów się otworzyła i po wewnętrznej stronie ramienia pociekła strużka krwi.

Oliver ją zlizal.

- No dobra, to już się robi obrzydliwe - powiedziała słabym głosem Claire. - Puść mnie. Puszczaj!

- Należysz do Amelie - syknął, puszczając ją. - Czuję to po smaku. Pachnie tym od ciebie. Masz rację, nie mogę cię tknąć już nie. Ale mylisz się co do pozostałych. Póki są w tym domu są bezpieczni, ale nie na zewnątrz, nie w moim mieście. Nie długo.

- Zawarłam umowę!

- Czyby? A dostałaś na piśmie, że twoi przyjaciele będą chronieni przed wszelkimi atakami? Bo ja w to bardzo wątpię, moja mała Claire. Od tysięcy lat podpisujemy kontrakty, ty masz lat zaledwie szesnaście. Sama nie masz pojęcia, jaką umowę zawarłaś.

- Oliver mówił tak, jakby w gruncie rzeczy trochę mu jej było żal i to ją faktycznie przeraziło. Skrzyżował ramiona na piersiach i oparł się o drzwi. Dzisiaj miał na sobie swoje zwykłe przebranie porządnego faceta: T - shirt farbowany w nieregularne wzory, znoszone bojówki, siwiejące, kręcone włosy związał w kucyk. Stwierdziła, że pewnie dopiero co zamknął Common Grounds. Pachniał kawą. Zastanawiała się, co też Oliver nosi w dni, kiedy nie usiłuje kogoś zastraszyć. Pizamę? Kapcie z futerkiem? Jednej rzeczy co do wampirów z Morganville była pewna, nigdy nie bywały dokładnie takie, jak człowiek się spodziewał, nawet te złe.

- Dobra - skapitulowała i odsunęła się od niego, aż poczuła pod stopami pierwszy stopień schodków. - Powiedz mi, co zrobiłam.

- Zakłóciłaś układ sił w mieście, a to jest poważne wykroczenie, moja mała Claire. Widzisz, Amelie zamierzała zostać królową tego małego królestwa. Kiedy się do tego zabierała, była przekonana, że, szczęśliwie dla niej, zginąłem. Kiedy pojawiłem się tu rok temu, wielu uznało, że woleliby raczej słuchać mnie niż jej. Nie wszyscy, oczywiście, i nawet nie większość.

Ale w czasie swojego drugiego życia nie zawarła żadnych prawdziwych przyjaźni i wiesz, nie tylko ludzie tkwią w tym mieście luk w pułapce. Wampiry też. To było coś nowego.

- Co ty mówisz?

- Nie możemy wyjechać. Nie bez jej zgody. Jak powiedziałem, wyobraża sobie, że jest Królową Śniegu, i większość chętnie jej na to pozwala. Ale nie wszyscy. Chciałem zawrzeć z nią pewną... umowę. Żeby pozwoliła niektórym z nas wyjechać z Morganville i założyć społeczność niepodlegającą jej wpływowi. Widzisz, tutaj nic się od siedemdziesięciu lat nie działo, od czasu, kiedy stworzyła ostatniego wampira. Teraz Amelie czuje potrzebę bronienia własnej pozycji. Zablokowała mnie. Nie pozwala mi zrobić kroku bez jej zgody. - Opuścił głowę i przyjrzał się Claire, a jej

zrobiło się zimno. - Nie lubię, kiedy się mnie kontroluje. Jestem wtedy... nieszczęśliwy.

- Po co mi o tym mówisz? Co ja mogę zrobić?

- Ty, małe głupie dziecko, jesteś jej pieszczoszkiem. Jeśli czegoś chcesz, ona ci to daje. Chcę wiedzieć dlaczego.

Raczej trudno powiedzieć, żeby Amelie dała Claire wszystko, czego ta chciała, kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiały, chociaż telefon komórkowy, leżący na podłodze jej pokoju, mógłby świadczyć o czymś przeciwnym.

- Nie wiem!

- Ona uważa, że masz coś, czego ona potrzebuje, w przeciwnym razie nie zawracałaby sobie głowy. Pozwalała, żeby całe miasta ginęły i nawet nie ruszyła palcem. To żaden altruizm.

Myrnin. Chodzi o Myrnina. Gdybym się od niego nie uczyła... Nie chciała dokończyć zdania, nawet myśleć na ten temat nie śmiała. Oliver działał jej na nerwy, chwilami wydawał się nienormalny.

- Może jest samotna.

Parsknął ostrym, nieprzyjemnym śmiechem.

- Na pewno zasługuje na samotność. - Podszedł o krok.

- Powiedz mi, dlaczego ona ciebie potrzebuje, Claire. Powiedz mi, co ona ukrywa, a wtedy zawrzemy umowę, zupełnie uczciwą; zapewnię twoim przyjaciołom swoją osobistą Ochronę. Nikt ich nie skrzywdzi.

Tym razem nie powiedziała nic, po prostu patrzyła na niego. Nie śmiała na niego nie patrzeć; nawet kiedy miała go na oku, doznawała dziwnego uczucia, jakby on się skradał za jej plecami, gotów zrobić jej coś strasznego, kiedy będzie się tego najmniej spodziewała.

Oliver się zirytował.

- Ty głupia, głupia dziewczyno. - Minął ją i skierował się po schodach na górę krokiem tak lekkim, że drewniane stopnie prawie nie zaskrzypiały. Po chwili ukryte, pozbawione klamki drzwi się otworzyły. Claire podniosła się, lekko się na chwilę zachwiała, a potem wyszła na korytarz. Najwyraźniej nikt niczego nie usłyszał. Było cicho jak w grobie.

Dłonie Olivera zacisnęły się na jej ramionach i usuną ją sobie z drogi, po prostu ją podnosząc i przestawiając obok, jakby zupełnie nic nie ważyła. Kiedy już ją postawił, nie puścił jej; stanął za jej plecami, nachylił się do niej i szepnął:

- Ani mru - mru, Claire. Jeśli obudzisz przyjaciół, a oni mnie zaatakują, wszystkich was zniszczę, jasne?

Pokiwała głową.

Kiedy się obejrzała, zobaczyła, że go nie ma.

Jakby w ogóle nigdy go tam nie było. Wrócił do swojego pokoju, podniosła telefon z podłogi. Połączenie zostało przerwane; Travis Lowe pewnie gnał już do Domu Glassów na włączonych syrenach.

Zrezygnowana czekała, aż zacznie się awanturę.

Coś się na tyłach domu musiało wydarzyć. Zapowiadało się nie tylko na wizytę dwóch gliniarzy, kawałek żółtej taśmy, a potem artykuł w podziemnej gazecie Kapitana Oczywistego; z okna Claire wyglądało to jak odcinek CSI: Kryminalnych zagadek Las Vegas, ludzie w białych kombinezonach zbierali materiały dowodowe i tak dalej. Stała tam duża furgonetka z przyciemnionymi szybami, w której pewnie siedzieli detektywi wampiry technicy, lekarz sądowy. Furgonetka miała z boku symbol pohcji Morganville. Claire stwierdziła, że na podwórzu za domem Michaela w ten poranek kręcili się głównie nieumarli.

Nieumarli specjaliści od zagadek kryminalnych. Coś nowego.

Już nie była pewna, co o tym myśli. Kręciło jej się w głowie, Ma półprzytomna i oszołomiona. Ostatnia noc przypominała zły sen i stanowiła jeden zamazany obraz od momentu, kiedy z Shane'em weszli na górę, aż do chwili, kiedy usłyszała za domem jakiś hałas.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Nie odeszła od okna - nie mogła się zebrać w sobie na tyle, żeby się ruszyć. To pewnie policja. Travis Lowe, jak się spodziewała, już przypędził na ratunek, ale przekonawszy się, że nie jest pogryziona i nadal żyje, wezwał posiłki. Więc to pewnie Gretchen i Hans albo może Richard Morrell przyszli po jej zeznania.

Claire spojrzała na siebie. Powinam się chyba ubrać. Nadgarstek wyglądał okropnie, usmarowany zasychającą krwią, którą zatamowała podkoszulkiem, zanim zdążyła pomyśleć, co robi. Świetnie, teraz jest nie tylko nieubrana, ale na dodatek zakrwawiona.

W ciągu dziesięciu minut wzięła prysznic, przebrała się i opatrzyła rękę, a potem zeszła na dół na bosaka.

Jej współlokatorzy byli w salonie i popatrzyli na nią z takim samym wyrazem twarzy, na tyle ogłupiałym, że stanęła jak wryta na schodach.

- No co? - spytała Claire. - Co teraz niby zrobiłam?

Michael stanął z boku, żeby Claire mogła zobaczyć, kto siedzi na krześle, z nogą założoną na nogę, i przegląda różowy jak guma do żucia egzemplarz „Teen People”.

Monica Morrell.

Miała na sobie obcisłą różową bluzeczkę z błyszczącym napisem z brylancików: „Księżniczka suk” i białe ultrakrótkie szorty, jakie nawet Daisy Duke uznałyby za zbyt wulgarne. Były opalona, leniwie wymachiwała stopą w różowym klapku japonce, z żółtym kwiatkiem, demonstrując idealny pedikiur.

- Cześć, Claire! Pomyślałam, że wybierzemy się razem na śniadanie.

- Ja... Co?!

- Śniad... da... nie - powiedziała Monica, przeciągając sylaby. - Najważniejszy posiłek dnia? Czy ty w ogóle masz jakichś rodziców?

Claire poczuła się idiotycznie zbita z tropu.

- Nie rozumiem. Po co tu przysłaś?

Shane oparł się o ścianę, patrząc gniewnie na Monice. Miał okropnie potargane włosy i Claire ogarnęła chęć, żeby wsunąć palce w te gęste, miękkie pasma i przywrócić im zwykłą, niedbałą formę.

- Bardzo dobre pytanie. A kolejne dobre pytanie brzmi: Kto ją wpuścił do środka? Poza tym trzeba będzie wyrzucić to krzesło. Tego zapachu nigdy nie zdołamy wywabić.

- Ja ją wpuściłem - powiedział cicho Michael, za co dostało mu się spojrzenie Shane'a. - Daruj sobie uwagi. Woląłem wpuścić ją do środka i uniknąć głośnej awantury na werandzie przy tych wszystkich glinach. Już i tak mamy dość kłopotów.

- A co to za liczba mnoga, bladawcu? Znaczy w sensie, że jesteś blady jak wampir, a nie...

- Oj, zamknij się, stary.

Claire potarła czoło, czując, że ból głowy wraca, pulsujący i dokuczliwy. Z wysiłkiem zignorowała Michaela i Shane'a i skupiła się na Monice, której usta wykrzywił złośliwy uśmiešek.

- Nieźle się bawisz - stwierdziła Claire.

Monica wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Przez większość czasu są dla mnie wredni, miło popatrzeć, jak dla odmiany skaczą sobie do oczu. Nie żeby mnie to specjalnie wzruszało. - Monica uniosła jedną idealnie wydepilowaną brew. - No co? Wiem, że lubisz kawę.

Widziałam, jak piłaś.

Między nimi stała Eve i przez chwilę Claire naprawdę myślała, że jej przyjaciółka wygląda... niebezpiecznie.

- Nigdzie Claire nie zabierzesz. A już na pewno nie zabierzesz jej nigdzie, gdzie może się natknąć na tego sukinsyna.

- A o którego sukinsyna ci chodzi? Bo wiesz, Claire mieszka w tym domu. To nie tak, że jest wybredna, jeśli chodzi o towarzystwo.

Eve zwinęła dłoń w pięść i przez moment Claire myślała, że rzuci się i rąbnie Monice w te idealne usta. Ale Eve się opanowała. Z trudem.

- Naprawdę lepiej, żebyś wyszła - wycodziła Eve. - Już. Zanim stanie się coś, czego potem faktycznie pożałuję.

Monica zerknęła na nią.

- Przepraszam, a my ze sobą rozmawiamy? Bo chyba się pogubiłam. Claire? Ja tu nie przyszedłam sprzeczać się z osobami normalnymi inaczej. Staram się zachowywać przyjaźnie. Jeśli nie chcesz iść, wystarczy powiedzieć.

Claire zachciało się śmiać, czuła się idiotycznie. To wszystko było zupełnie absurdalne. Dlaczego to wszystko ją spotyka?

- Czego chcesz, tak naprawdę? - spytała, a śliczne, szalone oczy Moniki lekko się rozszerzyły. Leciutko.

- Chcę z tobą porozmawiać bez tego Klubu Nieudaczników wiszącego nad nami. Pomyślałam, że możemy zjeść razem śniadanie, ale jeśli masz alergię na kofeinę i ciasto francuskie...

- Wszystko, o czym chcesz ze mną gadać, możesz powiedzieć przy moich przyjaciółkach - powiedziała Claire. Na co Monica uniosła tym razem obie brwi.

- Nooooo. Sama chciałaś - parsknęła i zerknęła na Shane'a. - A więc, gdzie był twój chłopak wczoraj po północy?

- Kto? Shane? - Zaraz, o której wyszła od niego z pokoju? Późno... Ale... przed północą.

- To nie twój zakichany interes, gdzie byłem - warknął Shane. - Eve kazała ci się wynosić. Za moment sam wykopie stąd twój chudy tyłek, żeby zobaczyć, czy będzie równo podskakiwał na stopniach werandy. Nie obchodzi mnie, czyją jesteś ulubienicą, nie przyłaż tu i nie...

- Shane - przerwała Monica z kamiennym spokojem zamknij się, do diabła. Ja cię, idioto, widziałam.

Claire czekała na jakąś złośliwą ripostę Shane'a, ale on milczał. I czekał. A oczy mu mocno pociemniały.

- Oni nic nie wiedzą, prawda? - ciągnęła Monica, postukując zwiniętym w rulon „Teen People” o biodro. - Wow. Ale zdziwko. Niegrzeczny chłopiec ma swoje sekrety. Co za niespodzianka.

- Zamknij się, Monica.

- Bo co mi zrobisz? Zabijesz mnie? - Uśmiechnęła się. - Kiedy już by z tobą skończyli, Shane, nie zostałoby nawet DNA. I to dotyczy was wszystkich. Oraz waszych rodzin.

- O co jej chodzi? - spytała Eve. - Shane?

- O nic.

- O nic... - przedrzeźniała Monica. - Zaprzeczaj wszystkiemu. Genialny plan. Ale z drugiej strony, po kimś takim jak ty niczego innego bym się nie spodziewała.

Michael patrzył teraz na Shane ze zmarszczonymi brwiami, a Claire też nie mogła na niego nie zerknąć. Shane spojrział ukradkiem najpierw na przyjaciela, a potem na Claire.

- Gliniarze nie znajdą dzisiaj żadnych zwłok za domem. Ani nie znajdą ich w samym domu - powiedziała Monica - bo Shane wczoraj w nocy usunął ciało, wynosząc je tylnymi drzwiami.

Shane nadal nie odzywał się ani słowem. Claire zakryła usta ręką.

- Nie - wyszeptała. - Kłamiesz.

- A po co miałabym kłamać? Dlaczego miałabym się przyznawać, że śledziłam wasz dom, gdybym nie musiała? Przecież to żenada! Posłuchaj, skoro kłamię, to przecież wystarczy, żeby zaprzeczył. Zapytaj go. No już. - Patrzyła teraz Shane'owi prosto w oczy.

Shane nadal się nie odzywał. Przez jakąś chwilę czy dwie nikt nawet nie drgnął, a potem ciszę przerwał Michael:

- Chryste, Shane, co jest, u diabła?!

- Zamknij się! - wrzasnął Shane. - Musiałem! Wczoraj w nocy wydało mi się, że słyszę coś w piwnicy, kiedy zszedłem do kuchni napić się wody. No więc poszedłem sprawdzić. I...

przerwał i Claire zobaczyła, że jabłko Adama podskoczyło mu, kiedy usiłował przełknąć coś, co go dławilo w gardle. - Ona tam leżała, martwa. U podstawy schodów, jakby ktoś ją tam... rzucił. Przez chwilę wydawało mi się, że to... - zerknął w

stronę Eve, i potem odwrócił wzrok. - Myślałem, że to ty. Pomyślałem, że się potknęłaś i spadłaś ze schodów. Ale kiedy tam zszedłem, zobaczyłem, że to nie ty. A ona nie była nieprzytomna, tylko martwa.

Eve osunęła się bezwładnie na sofę, z miną tak samo osłupiałą, jak osłupiała była Claire.

- Kto? Kto to był?

- Nie rozpoznałem jej. Pewnie jakaś studentka. Nie wyglądała na nikogo z miasta i nie miała bransoletki. - Shane głośno odetchnął. - Słuchajcie, do tej pory mieliśmy już dość kłopotów.

Musiałem się jej stąd pozbyć. No więc zawiąłem ją w jeden z koców, który wyjąłem z pudła, i wyniosłem ją stąd. Wsadziłem ją do bagażnika twojego samochodu...

- Ty... co?! - rzucił Michael.

- I zawiozłem ją do kościoła. Zostawiłem ją tam, w środku. Nie chciałem jej tak po prostu gdzieś... porzucać. Pomyślałem...

- Shane pokręcił głową. - Pomyślałem, że tak będzie lepiej.

Monica westchnęła. Przyglądała się swoim paznokciom z wystudiowanym znudzeniem.

- Jakie wzruszające. Ale rzecz w tym, że kiedy cię widziałam, wsadzałeś martwą laskę do bagażnika jego samochodu. I nie mogę się doczekać, aż powiem o tym bratu. Znacie mojego brata, prawda? Tego gliniarza?

Niewiarygodne.

- Czego ty chcesz? - Claire wrzasnęła.

- Mówiłam ci. Iść na śniadanie. - Monica uśmiechnęła się do niej słonecznym uśmiechem godnym gwiazdy kina. - Proszę. A jeśli się zgodzisz, po prostu może uda mi się zapomnieć o tym, co widziałam. Zwłaszcza że, rozumiecie, byłam poza domem po własnej godzinie policyjnej i nie chcę, żeby mnie pytano dlaczego. Traktujcie to jako groźbę wpadki równie niebezpieczną dla obu stron.

Brzmiało to jak propozycja jakiejś ugody, ale nią nie było, nie do końca. Monica trzymała w ręku wszystkie karty, oni nie dysponowali żadnymi. Zupełnie żadnymi.

- Za domem nie ma ciała - powiedziała Claire. - Policja nic nie znajdzie. Jesteś pewna?

- Tak mi się wydaje, ale kiepsko by się dla was zrobiło, gdybym się myliła, prawda?

- Monica wzruszyła ramionami, odęła wargi i przesłała nimi Shane'owi żartobliwego

całusa.

- Masz jaja, Shane. Mózgu nie, ale jaja tak. Nieźle to sobie wymyśliłeś, prawda? Teraz, kiedy Michael jest jednym z wybranych, nieumarłych, żaden człowiek nie wejdzie do tego domu bez zaproszenia. Więc musicie albo to zwalić na jakiegoś wampira, albo odpowiedzieć za to, że zabiło ją jedno z was. Tak czy inaczej, sprawa wygląda paskudnie i ktoś za to beknie. - Uniosła dłoń. - Głosuję za tym, że Shane. Ktoś jeszcze?

- Daj mu spokój! - rzuciła ostro Claire. - Chcesz gdzieś iść, dobra. Pójdziemy. Nie, nawet nie zaczynaj! - Eve zdążyła tylko otworzyć usta, a teraz zamknęła je z powrotem i to szybko.

- A wy sobie resztę ustalcie we troje między sobą. Niedługo wrócę. Wierzcie mi, nawet jeśli coś zjem, nie uda mi się utrzymać tego w żołądku.

Monica pokiwała głową, jakby od samego początku wiedziała, że to się tak skończy, i krokiem zawodowej modelki ruszyła w stronę drzwi. Kiedy patrzyło się z tyłu, te jej szorty wydawały się wręcz niedopuszczalnie krótkie.

I chociaż zdecydowanie jej nienawidzili, Shane i Michael popatrzyli jej śladem.

- Faceci - mruknęła Claire i złapała swój plecak.

Claire od jakiegoś czasu nie bywała w Common Grounds, ale nic się tam nie zmieniło. Atmosfera była artystyczna, ciepła, a kawiarnia pełna studentów, którzy szybko zamawiali coś, co ich stawiało z rana na nogi. Gdyby Claire tego nie wiedziała - a wiedziała bardzo dobrze - nigdy by nie uwierzyła, że ten sympatyczny, uśmiechnięty hipis za barem to wampir.

Oliver spojrzął jej w oczy i lekko skinął głową. Nie zmienił miłego wyrazu twarzy.

- Cieszę się, że cię znów widzę - przywitał się. - Co dla ciebie?

Niechętnie to przyznawała, ale podawał najlepszą kawę w mieście. Lepszą nawet niż Eve.

- Biała mocha. Z bitą śmietaną. - Udało jej się powstrzymać i nic już więcej nie dodać, bo wcale nie miała ochoty być dla niego miła. Boże, przecież on parę godzin temu zlizął krew z jej nadgarstka! Udało jej się przynajmniej uniknąć słów: „proszę” i „dziękuję”.

- Nic nie jesteś mi winna - powiedział i machnięciem ręki odmówił przyjęcia pięciodolarowego banknotu, który wyłowiła z kieszeni dzinsów. - Prezent z okazji powrotu, Claire. Ach, Monica. To, co zwykle?

- Podwójna latte, bez pianki, z różowym cukrem. W prawdziwym kubku, nie w tym

styropianie.

- Wystarczyło powiedzieć: tak - odparł. A kiedy Monica już się odwracała od baru, złapał ją za rękę. Zrobił to tak, żeby nikt poza Claire niczego nie zauważył, ale gest był wyraźnie groźny. - Ona nie płaci. Ale ty, Monica, tak. Możesz się uważać za księżniczkę, ale zaufaj mi, spotkałem ich parę i ty się nie kwalifikujesz. - Uśmiechnął się leciutko, ale w jego oczach nie było rozbawienia. - No cóż, „spotkałem” to może jednak nie jest właściwe określenie.

- Zjadłem? - podsunęła Claire lodowato. Uśmiech zrobił się zimny.

- Och, ten urok i elokwencja młodego pokolenia. Aż mi serce rośnie. - Oliver puścił ramię Moniki, odsunął się, żeby przygotować napoje. Monica cofnęła się zarumieniona. Rzuciła Claire złe spojrzenie. Jakby to była moja wina, pomyślała Claire. Potem Monica odeszła w stronę stolika w kącie. To był ten sam stolik, który kiedyś Brandon wybrał dla siebie. Siedziały tam jakieś dwie młodziutkie studentki, a na stoliku piętrzyły się książki i papiery. Monica skrzyżowała ramiona i przybrała wojowniczą pozę.

- Siedzisz na moim krześle - warknęła. - Jazda stąd.

Obie dziewczyny - niższe i brzydsze od Moniki - spojrzały na nią oczami wielkimi jak spodki. Jedna z nich wyjąkała:

- Ale która z nas?

- Obie - ucięła Monica. - Lubię mieć trochę miejsca. Wynoście się.

Zebrały swoje notatki i książki i odeszły, tak się śpiesząc, że o mało nie oblały przy tym Claire kawą.

- Musiałś to robić? - spytała Claire.

- Nie, to była zwyczajna przyjemność. - Monica usiadła, skrzyżowała gładkie, opalone nogi i klepnęła dłonią w blat. - No chodź, Claire. Siadaj. Mamy tak wiele do obgadania.

Nie chciała siadać, ale głupio wyglądała tam, stojąc i rzucając się w oczy. Usiadła więc, położyła plecak na podłogę koło krzesła i zaczęła się przyglądać porysowanemu blatowi stolika. Widziała, że kłapek Moniki naprawdę zarabia na swoją nazwę, klapiąc, kiedy dziewczyna swobodnie zaczęła machać stopą. W jakiś idiotyczny sposób przypominało jej to Myrnina.

- Już lepiej. - Monica była obrzydliwie z siebie zadowolona. Wcale nie obojętna. - No? Opowiedz mi.

- O czym?

- O tym, co każe ci robić Amelie - powiedziała Monica. - O tym super sekrecie. Znaczący wybrała cię z jakiegoś powodu, i nie chodzi o twój wdzięk i urodę, prawda? Przecież to jasne.

A więc chodzi o mózg. Nie masz tu żadnej rodziny, nie masz poza tym niczego, czego ktoś mógłby od ciebie chcieć.

Monica była bystrzejsza, niż wyglądała.

- Amelie nie wymaga ode mnie niczego specjalnego - skłamała Claire. - Może później, nie wiem. - Nerwowo przekręcała złotą bransoletkę na lewym nadgarstku. Zaczynała jej przypominać te opaski, jakimi biolodzy oznaczają zagrożone gatunki. I zwierzęta laboratoryjne.

Kiedy Claire zaryzykowała i podniosła wzrok, Monica miała na wpół przymknięte oczy.

- Doprawdy. Jestem rozczarowana. Naprawdę myślałam, że powiesz mi coś ciekawego. No, nieważne. To pogadajmy o umowie.

- Umowie? - Najpierw Jason, teraz Monica. Jakim cudem Claire dostała rolę negocjatora?

- Chcę pogadać z Amelie w sprawie Ochrony. Możesz mnie do niej wprowadzić. I zarekomendować.

Claire o mało nie parsknęła śmiechem.

- Sama ją poproś!

- Zrobiłabym to, ale mnie do niej nie dopuszczają. Ona mnie nie lubi.

- Jestem w szoku - mruknęła pod nosem Claire.

Monica obrzuciła ją długim spojrzeniem, dziwnie mało wyluzowano - ironicznym.

- Kiedy Brandon zginął, Oliver przejął jego kontrakty Rzecz w tym, że większości z nich nie dotrzymuje. Potrafi przehandlować je innym wampirom za jakieś przysługi. Jeśli nie zawrę lepszego kontraktu, nie wiadomo, co mnie w końcu spotka. - Monica wskazała bransoletkę Claire. - Równie dobrze mogę zacząć od samej góry.

Claire postukała krótkimi paznokciami w blat, zerkając na bar, za którym Oliver jakoś się nie spieszył z szykowaniem ich kaw. Zaczęła się zastanawiać, czy to bezpieczne pić coś przygotowywanego przez wampira, który zaledwie parę godzin temu jej groził, ale szczerze, jeśli Oliver chciałby ją dopaść, nie musiałby sobie robić aż takich kłopotów.

No i naprawdę miała ochotę na białą mochę.

- Oliver jest teraz twoim Opiekunem?

- Na razie. Póki nie znajdzie czegoś, na czym będzie mu zależało bardziej niż na moim kontrakcie.

- Czy to on stoi za twoim pytaniem o to, czego chce ode mnie Amelie?

- A czyja wyglądam jak czyjaś dziewczynka na posyłki?

Claire jeszcze raz spojrzała na bar.

- Kto to wie.

Monica zamilkła. Milczenie było dość niezręczne i Claire ucieszyła się, kiedy Oliver zawołał je po odbiór zamówieniu. Podskoczyła wziąć swoją kawę, zawahała się i wzięła przy okazji kawę Moniki. Udało jej się zrobić to, unikając patrzenia w oczy Oliverowi. Stanowił tylko ciemny kształt, który widziała kątem oka, i odwróciła się plecami do niego, jak mogła najszybciej.

Monica podniosła się od stołu i chyba szczerze się zdziwiła, kiedy Claire podała jej kawę.

- No co? - spytała Claire. - To się nazywa elementarna grzeczność, pewnie w domu cię tego nie uczyli. Nie znaczy, że cię lubię.

Monica zastanowiła się, co ma odpowiedzieć, i w końcu zdecydowała się na: -
Dzięki.

A Claire musiała przyznać, że to była chyba najsympatyczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niej usłyszała. Skinęła jej głową i usiadła.

„Pokój za naszych czasów”, pomyślała cierpko. I szybko zepsuła nastrój, pytając Monice:

- Oliver cię do tego namówił? - Monica nawet się na niego nie obejrzała.

- Nie. - Ale Claire jakoś jej mimo wszystko nie uwierzyła. - Musisz robić wszystko, co on ci każe? - zapytała, jakby Monica wcale jej przed chwilą nie okłamała. A Monica lekko wzruszyła ramionami. Nic więcej nie powiedziała. - A więc tak naprawdę wcale nie chcesz ze mną gadać, tak? Po prostu ci kazano.

- Niezupełnie. Pomyślałam, że to dobra okazja, żeby ktoś powiedział też o mnie słówko Amelie. - Monica uśmiechnęła się nieznacznie, ale z goryczą. - Poza tym nie czaisz? Jesteś gwiazdą. Wszyscy chcą się czegoś o tobie dowiedzieć, wampiry i ludzie. Chcą poznać twoją historię, historię twojej rodziny. Jeśli w podstawówce puściłaś baka, to w Morganville ktoś już o tym wie.

Claire o mało nie zakrztusiła się pierwszym łykiem kawy.

- Co takiego?!

- Założycielki nie da się nazwać osobą łatwo dostępną, większość wampirów wcale

nie zna jej o wiele lepiej niż my. Wciąż próbują się dowiedzieć czegoś o tym, kim jest, co tu, z tym miastem robi. To nie jest normalne, wiesz. Sposób, w jaki tu żyjemy. - Monica zerknęła na Olivera, a potem odwróciła wzrok. - On jest dość stary, żeby wiedzieć więcej niż pozostali, a też szuka dostępu do poufnych informacji. A mówi się, że ty możesz mieć do nich dostęp. Jeśli nie zdołam zdobyć Ochrony Amelie, to może przynajmniej uda mi się jakoś ułożyć sobie sprawę z nim, jeśli będę mogła mu przekazać coś nowego i cennego.

Claire przewróciła oczami.

- Jestem nikim. A gdyby jej na mnie w jakikolwiek sposób zależało, a nie zależy, to nie pozwoliłaby, żeby ktoś się o tym dowiedział. Popatrz tylko, jak traktuje... - urwała w pół słowa, a serce szybko jej zabiło. O mało nie powiedziała: „Myrnina”. a to by mogło oznaczać kłopoty. - Sama - dokończyła niezręcznie. Co w sumie też było prawdą, ale Monica nie mogła nie zauważyć jej potknięcia.

Co podkreśliła tym, że odczekała pełnych dziesięć sekund w milczeniu, zanim powiedziała:

- Nieważne. Chodzi o to, że stałaś się w pewnym sensie znana, a kiedy pojawiajemy się gdzieś razem, to zapewniam sobie, że właściwe osoby widzą mnie we właściwym towarzystwie.

A przy okazji robię to, czego chce ode mnie Oliver. I tylko to mnie obchodzi. Masz rację, wcale mi nie zależy, żebyśmy zostały najlepszymi przyjaciółkami. Nie będziemy się wymieniać ciuchami i nie zrobimy sobie identycznych tatuaży. Przyjaciółki mam. Potrzebuję sprzymierzeńców. - Napila się trochę tej swojej kawy o skomplikowanym składzie, nie spuszczając Claire z oczu. - Oliver chce wiedzieć, co wiesz, owszem. A to... - postukała we własną bransoletkę - znaczy, że robię, czego ode mnie wymaga albo...

- Albo co?

Monica spuściła wzrok.

- Przecież go znasz. W najlepszym razie mnie skrzywdzi. I to bardzo. W najgorszym... Sprzeda mój kontrakt komuś niżej.

- To jest najgorsze?

- Tak. Bo to znaczy, że przejdę w ręce wampirów z dolnej półki, tych, które są zbyt głupie, żeby zapewnić sobie dobrze zarabiających, atrakcyjnych ludzi. - Zaczęła się bawić swoją filiżanką, nie podnosząc oczu. - Może to brzmi płytko, ale tutaj to oznacza przetrwanie. Jeśli Oliver mnie przekaże niżej, to trafi mi się jakiś wariat czy bydlak,

taki, który się z ludźmi nie patyczkuje. Jeśli będę miała szczęście, to mnie tylko zabiją. Jeśli nie, skończę jako ćpunka i będę bzykać się z wampirami za kasę.

Powiedziała to tak spokojnie, tonem tak opanowanym i chłodnym, że Claire widziała, że musiała się nad tym długo zastanawiać. Niezły upadek, z roli ulubionej córeczki burmistrza do narkomanki usiłującej w zamian za opiekę zaspokajać jakiegoś niewyżytego wampira.

- Mogłabyś zostać neutralna - zasugerowała Claire. Odczuwała dziwne współczucie, nawet po tym wszystkim, co Monica je j zrobiła. Przecież ta dziewczyna tu się urodziła. I to nie tak, że miała kiedyś jakiś wybór co do tego, kim chce zostać i co robić.

- Niektórzy są, prawda? I mają spokój?

Monica uśmiechnęła się szyderczo i wszystkie ludzkie cechy na tej ładnej twarzy, które Claire przez sekundę czy dwie dostrzegła, zniknęły bez śladu.

- Mają spokój, ale tylko do czasu. Słuchaj, oficjalnie SA nie do ruszenia, bo wyświadczyli komuś przysługę, dużą przysługę, i Opiekunowie zwalniają ich z kontraktu. Przez dużą przysługę mam na myśli to, że mają szczęście, że przeżyli, rozumiesz? Nie interesują mnie tego typu bohaterские bzdety.

Claire wzruszyła ramionami.

- To po prostu zrezygnuj z kontraktu.

- Tak, jasne. Już się rozpędziłam. Nie mogę się doczekać przyszłości w roli drugiej asystentki do smażenia frytek w Dairy Queen, żeby potem moje zwłoki rozkładały się w jakimś rowie, zanim dożyję trzydziestki. - Monica oparła łokcie na stole, trzymając filiżankę z kawą w obu dłoniach. - Zastanawiałam się nad wyjazdem. Kiedyś pojechałam na cały semestr do Austin, wiesz? Ale... Jakoś nie wyszło.

- Znaczący wyleciałaś z uczelni.

Claire zarobiła w ten sposób obrażone spojrzenie Moniki.

- Zamknij się suko. Jestem tu tylko dlatego, że muszę, a ty tylko dlatego, że nie masz innego wyjścia. Więc nie bądź takim francuskim pieskiem.

Claire wypła łyk słodkiej, aromatycznej kawy. Jeśli jest zatruta, to przynajmniej umrę szczęśliwa.

- Nie ma problemu. Słuchaj, nie mogę ci pomóc dostać się do Amelie. Ja sama nie wiem, jak się z nią można skontaktować A nawet gdybym wiedziała, nie sądzę, żeby chciała przejąć twój kontrakt.

- No to po prostu zamknij się i uśmiechaj. Jeśli nie wydobędę czegoś innego z tego

zmarowanego poranka, to przynajmniej niech Oliver widzi, że się starałam.

- Ile jeszcze muszę tu siedzieć?

Monica popatrzyła na zegarek.

- Dziesięć minut. Wytrzymaj tyle, a ja nie zdradzę bratu małego sekretu twojego chłopaka.

- Skąd mogę mieć pewność?

Monica złapała się za oba policzki i zrobiła przesadnie przerażoną minę.

- O, nie! Ty mi nie ufasz! Jestem załamana. - Apotem przestała udawać. - Nic mnie nie obchodzi, czy Shane otworzył usługi taksówkarskie dla zmarłych. Obchodzi mnie tylko to, co mogę z tego mieć dla siebie.

- Możesz chcieć się zemścić - powiedziała Claire.

Monica się uśmiechnęła.

- Gdybym tego chciała, już bym go podkablowała. Poza tym słyszałam, że zemsta najlepiej smakuje na zimno.

Claire wyciągnęła książkę.

- Dobra. Dziesięć minut. I tak muszę się pouczyć. - Monica rozparła się na krześle i zaczęła długi, zabójczo trafny monolog na temat ciuchów dziewczyn stojących w kolejce po kawę, a Claire bardzo się starała nie okazywać rozbawienia. I nawet jej się udawało do chwili, kiedy Monica wskazała laskę noszącą naprawdę okropny zestaw - legginsy w grochy pod szortami.

- A gdzieś w niebiosach Versace roni pojedynczą, idealną łzę.

Claire nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, sama się za to nienawidząc. Monica uniosła brwi.

- Widzisz? Jestem taka świetna, że nawet taki ciężki przypadek jak ty zdołałam oczarować. Szkoda wprawdzie mojego talentu, no ale przecież muszę go szlifować. - Dopła kawe i wzięła swoją małą, różową torebkę, z której wystawał egzemplarz „Teen People”. - Muszę lecieć, słabizno. Powtórz swojemu i chłopakowi, że jeśli chodzi o mnie, jesteśmy kwita. No dobra, ja jestem trochę górką i to mi w sumie odpowiada. Niech to uzna zakaz zbliżania się: jeśli go zobaczę w odległości dwudziestu metrów od siebie, nie tylko opowiem bratu o nocnej przygodzie Slume'a, ale i namówię paru futbolistów, żeby przywitali się z jego rzepkami w kolanach.

Odeszła, seksownie kołysząc biodrami. Ludzie schodzili jej z drogi i oglądali się za nią. Strach i zainteresowanie mniej więcej w równych proporcjach.

Claire westchnęła. Podejrzewała, że ludziom zawsze podobały się i będą się

podobały takie dziewczyny. I tak szczerze? zazdrościła Monice pewności siebie. Może tylko trochę, zdradliwe małe troszkę.

ROZDZIAŁ 10

Zmarła dziewczyna, którą Shane zostawił w kościele, nazywała się Jeanne Jackson i była studentką drugiego roku, która zniknęła w podczas imprezy bractwa studenckiego dwu wieczory wcześniej. W gazetach podano, że została zgwałcona i uduszona, ale nie było nic o podejrzanych, i żadni gliniarze nie pojawili się przesłuchiwać Shane'a ku uldze Claire. Głupstwo zrobił, ale mogła zrozumieć jego paranoiczne odruchy. W Morganville jedno podejrzenie dzieliło go od zajęcia na stałe zwolnionej przez Jasona celi, niezależnie od tego czy rzeczywiście coś zrobił, czy nie.

To znaczy, o ile wampiry nie zdecydują się teraz zastosować własnej wersji wymiaru sprawiedliwości z pogranicza.

W „Głosie Kła” Kapitana Oczywistego znalazł się o wiele bardziej szczegółowy opis morderstwa, łącząc poprzednie dwa, o których Claire wiedziała, z tym ostatnim. Autor artykułu spekulował, że tym razem w grę wchodziło zagrożenie ze strony człowieka, nie wampira. Claire zauważyła, że Oczywisty nie nawoływał z takim samym zaangażowaniem do tworzenia komitetów obywatelskich, skoro chodziło o kogoś posiadającego bijący puls. Nie żeby rodzaj potwora, jaki je zamordował, miał jakiegokolwiek znaczenie dla zabitych dziewczyn.

Od Amelie dostała notatkę zwalniającą ją od pracy z Myrnysem na resztę tygodnia, mogła więc poświęcić się zajęciom na uczelni. Były trudniejsze niż dotychczas, co sprawiało jej radość.

Uwielbiała wyzwania, a profesorowie wydawali się naprawdę przejmować tym, czy ich studenci rozumieją przedmiot. Mity i legendy okazały się inne, niż oczekiwała, zupełnie inne. Wcale nie chodziło o greckie bóstwa ani nawet opowieści amerykańskich Indian o Oszuście. Nie, te historie mówiły o... wampirach. Właściwie była to wampirystyka porównawcza, z odniesieniami ilu literatury i folkloru od czasów najwcześniejszych zapisów historycznych do współczesnego obrazu wampira jako bohatera popkultury (kiedy Claire się nad tym teraz zaczęła zastanawiać, doszła do wniosku, że to właśnie taka współczesna wersja mitów i legend jako przedmiotu). Co dziwne w Morganville, profesorka wcale nie przeskakiwała tych fragmentów, które dotyczyły metod, jakimi wampiry zabijają ludzi, ale Claire uznała, że była chyba jedyną osobą na zajęciach, która orientowała się w rzeczywistej sytuacji panującej w mieście. Reszta pewnie bez wielkiego pojęcia odbębniła co swoje w ciągu tych dwóch lat, a potem poprzemieni się na inne uniwersytety, i nawet nie będą mieli pojęcia, że na

impresach ocierali się o prawdziwe monstra.

Nie wrywała się głośno z niczym, co mogłoby jej narobić kłopotów, bo profesorka też nosiła bransoletkę. Próbowwała skojarzyć widniejący na niej symbol z jakimś wampirem i uznała, że chyba była związana kontraktem z Susan, wampirzycą, która specjalizowała się w finansach. W każdym razie ta Susan była właścicielką wielu nieruchomości i jakąś grubą rybą w Morganville Bank and Trust.

Claire zaczęła prowadzić w specjalnym zeszycie notatki na temat wampirów, przypisanych im symboli i tego, kto co posiadał. Nie dlatego, że wiedziała, co chce z tym potem zrobić, ale dlatego, że to było ciekawe, a któregoś dnia mogło okazać się przydatne. Pewnie gdyby zapytała, Amelie wszystko by jej na len temat opowiedziała, ale ciekawiej było dojść do tego samodzielnie - w ten sposób Amelie nie mogłaby zresztą być pewna, ile tak naprawdę Claire wie, co też mogło okazać się atutem. Ona jest miła, kiedy jest jej to na rękę. Co nie znaczy, że jest rzeczywiście miła.

A potem, w piątek, Eve zostawiła na lustrze w łazience kartkę, którą Claire odkryła po wstaniu.

„CM, nie zapomnij, dziś wieczorem jest impreza. Cel: wyglądać lepiej niż Monica i sprawić, że wszyscy zapomną, kto tak w ogóle tę imprezę zorganizował. Twój strój wisi na drzwiach. Wisisz mi kasę. E”.

Ten strój nie przypominał czegoś, co Claire w jakichkolwiek okolicznościach kupiłaby sobie. Po pierwsze, czarna skórzana spódniczka była krótka. Znaczą... naprawdę krótka. Znalazły się też jakieś wzorzyste rajstopy i przezroczysta czerwona bluzka w wypukło tkane wielkie czerwone róże. I czarna koszulka na ramiączkach do włożenia pod spód.

Do spódnicy przypięta była kolejna samoprzylepna karteczka : „Buty są pod szafką”. Claire zajrzała tam i zobaczyła nieco toporne buty na wysokich platformach z czarnej lakierowanej skóry.

Zabrała to wszystko do swojego pokoju i położyła, a potem cofnęła się i patrzyła przez kilka kolejnych sekund. Nie mogę tego włożyć. Przecież to nie dla mnie.

Eve totalnie by ją wykpiła, gdyby włożyła na imprezę zwykłe granatowe dżinsy. A przecież zadała sobie sporo trudu, bo wszystkie te rzeczy były w rozmiarze Claire, nie Eve. Nawet buty.

No i... Monica naprawdę dostałaby szału, gdyby Claire wyglądała seksownie (oczywiście, seksowniej niż Monica wyglądać by nie zdołała, to byłyby urojenia. Ale mimo wszystko...) Wyobrażając sobie minę Moniki, Claire powoli pogładziła palcami

mięciutką skórę spódnicy. Nie, nie mogę.

A potem wyobraziła sobie minę Shane'a na swój widok.

Może jednak by mogła.

Wyobraźnia Claire trochę ją zawiodła, bo ta oszołomiona i półprzytomna mina Shane'a, kiedy zaczęła schodzić po schodach, była jeszcze lepsza niż jej fantazje. Autentycznie opadła mu szczęką. Stojący obok niego Michael odwrócił się i chociaż wcale na to nie liczyła, ogarnęło ją ciepło, bo na jej widok złotowłosey, seksowny wampir zamrugął i niechcący, odruchowo, zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

Claire przystanęła na stopniach nad nimi i nieco nieśmiało poruszyła biodrami.

- Może być? - spytała.

Shane zamknął usta, a Michael odchrząknął.

- Nieźle - gwizdnął Michael.

- Nieźle?! - To była Eve; schodziła po schodach za Claire. Szturchnęła Michaela w ramię. - Wygląda fantastycznie. Nie mam nawet zadatków na lesbijkę, a i tak uważam, że jest świetna.

Shane nie mówił nic. Claire zalała fala ciepła i nieco jej się zakręciło w głowie od sposobu, w jaki na nią patrzył. Oparła nie chęci, żeby się obejrzeć i sprawdzić, czy spódnica jej się nie przekręciła - zdążyła to już przecież zrobić z dziesięć razy - i zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy z uśmiechem.

- Jesteś pewna, że dobrze robisz? - zapytał. Nie takich słów się spodziewała. - Wyglądasz fantastycznie.

- Dzięki...

Przerwał j ej.

- „Fantastycznie” w tym mieście znaczy, że wjeżdżasz na numer jeden na liście przekąsek na wynos.

Uniosła rękę, na której miała bransoletkę. Rzuciła się j W oczy.

- Nic mi nie będzie. Wampiry nie będą mnie zaczepiać.

- Ja wcale nie mówię o wampirach. Przyciągniesz wszystkich facetów w tym mieście, którzy szukają okazji.

Eve przewróciła oczami.

- O Boże, Shane, a może byś się wyluzował? Wygląda świetnie, a ty nie musisz od razu robić się zazdrosny i nadopiekuńczy! Będzie z nami, wszyscy jej dopilnujemy. A ty musisz przyznać, że twoja dziewczyna wygląda super, jak jest odpowiednio zrobiona. I sama ją uczesałam. Laska, nie? - Te włosy, zdaniem Claire, to już była

prawie przesada. Miała w nich mnóstwo żelu i pianki, i innych cudów, ale rzeczywiście nabrały tego wystudiowanego nieładu, którym zwykle popisują się modelki.

Eve dzisiaj wieczorem też raczej nie wyglądała na kandydatkę do podpierania ścian: miała na sobie efektowną, sięgającą ziemi czarną sukienkę, która obnażała jej blade ramiona, dekolt sięgał chyba Chin, a rozcięcie z boku - aż do biodru i jeszcze kabaretki. Wyglądała nieprawdopodobnie seksownie i jeśli Michael nawet zauważył przeobrażenie Claire, to teraz nic odrywał oczu od Eve.

Eve mrugnęła do niego i okręciła się na pięcie, żeby pokazać mu tył sukienki. Tył, którego właściwie wcale nie było. Tylko jej gładka skóra i szkarłatna różyczka wytatuowana w okolicach krzyża.

- O rany - westchnął Shane. - No, to już... Hm...

Dopiero, kiedy już się nacieszyła ich reakcją - a sprawiła jej sporo frajdy - Claire zauważyła, że chłopakami Eve też musiała się zająć... Bo wyglądali niesamowicie dobrze. Michael włożył czarne spodnie i czarną skórzaną kurtkę do niebieskiej jedwabnej koszuli. W tym stroju aż... jaśniał, zupełnie jak białe złoto na tle aksamitu.

Shane wyglądał tak dobrze, że miała ochotę zaciągnąć go z powrotem do jego pokoju. Eve zmusiła go chyba do wyrównania niesfornej szopy, co podkreśliło jego podbródek i wydatne kości policzkowe. Też ubrał się na czarno, a koszulę miał z ciemnowiśniowej dzianiny. Claire jeszcze nigdy nie widziała go w marynarce. Stwierdziła, że powinien w niej chodzić zawsze.

Michael pokręcił głową i podał Eve ramię. Ujęła je, uśmiechając się do niego bardzo czerwonymi wargami, i mrugnęła do Claire. Claire odmrugnęła i wzięła Shane'a pod rękę.

- W głowie mi się nie mieści, że to robimy - stwierdził Shane.

Zapowiadała się niezła impreza.

Claire nie zapomniała adresu, chociaż oddała swoje zaproszenie, a Michael znał przecież Morganville jak własną kieszeń - albo jak plecy Eve, sądząc po tym, jak bez przerwy zerkał na nią, a zwłaszcza na tatuaż. Poza tym z odległości dwóch przecznic od imprezy nie dałoby się na nią nie trafić. Przy tych światłach i niskim dudnieniu basów muzyki nikomu z mieszkających w pobliżu tej nocy nie groziło, że się wyśpi.

Michael objechał okolicę, szukając miejsca do parkowania i wreszcie znalazł ze trzy metry wolnego miejsca przy krawężniku. Parkując samochód, powiedział:

- Teraz zasady. Nie rozdzielamy się. Eve i Claire, was to zwłaszcza dotyczy. I nie

tylko ze względu na wampiry; ze względu na Jasona. Jasne?

Pokiwały głowami.

- A poza tym... - odezwał się Shane, dla żartu pociągając Claire za na żelowany kosmyk włosów - chcę zobaczyć minę Moniki na widok was dwóch. Warte uwiecznienia na zdjęciu.

Eve pogrzebała w malutkiej torebce w kształcie trumny i wyjęła nowiutką komórkę z aparatem.

- Jestem gotowa.

- Ja też - powiedziała Claire i wyciągnęła własną wypasioną komórkę, którą dostała od Amelie. Zawstydziała się na widok spojrzenia, jakim Shane obrzucił telefon, ale starała się to opanować. Nie mogła przecież przez cały czas się wstydzić, i poza tym przecież to nie było takie złe. Znaczy to, co robiła. W niczym gorsze niż pójście do pracy. Tylko... inne.

- Uważajcie na jedzenie i picie - ciągnął Michael. - Impreza u Moniki to pewnie raj dla ćpunów. Ja umiem wywąchać, co dosypano do drinków, wy nie. A jeśli zacznie się dziać coś niedobrego, nie wtrącajcie się w to. Dajcie mnie sprawę załatwić. Skoro już trafił wam się dziwny przyjaciel wampir, to równie dobrze możecie mieć z tego jakąś korzyść.

Shane nic nie powiedział, ale Claire widziała, że miał na końcu języka jakąś mocno uszczypliwą uwagę. Cieszyła się, że jej nie wypowiedział. Miło było znów poczuć się jak czwórka przyjaciół, a nie czwórka ludzi, którzy lada moment rozejdą się każde w swoją stronę.

- Coś jeszcze, tato? - spytała Eve. Michael pocałował ją, bardzo lekko, żeby nie zmazać szminki.

- Tak. Wyglądasz tak, że ma się ochotę cię schrupać. Obiecuj mi, że będziesz o tym pamiętać.

Claire nie wiedziała, czy ma się uśmiechnąć, czy zadrzeć i zobaczyła, że Eve też nie może się zdecydować.

Dom Morrellów wyglądał jak Tara z Przemineło z wiatrem, ale po przemarszu wojsk Shermana. Claire patrzyła jak oniemiała na tłum pijanych chłopaków z jakiejś studenckiej korporacji, którzy potykając się, szli podjazdem, wrzeszcząc coś, czego nie mogła zrozumieć, i niosąc... kanapę.

Wrzucili ją do wielkiej fontanny przed domem. Najwyraźniej zamierzali przenieść tam większość mebli z salonu. Niektórzy imprezowicze już porozsiadali się na

fotelach, moknąc w pióropuszcach wody, a teraz dwoje czy troje rzuciło się, ze śmiechem, na mokrą kanapę.

- No to... - odezwał się z szacunkiem Shane - to już przechodzi ludzkie pojęcie. Podoba mi się.

Impreza była totalnie szalona. Cała czwórka stała razem obok samochodu Michaela z przyciemnionymi szybami i przyglądała się wszystkiemu z podziwem. Dom jarzył się światłami, hawajskie pochodnie chwiały się niepewnie na całym trawniku, a imprezowicze byli dosłownie wszędzie. Całowali się pod drzwiami, w pełnym świetle reflektorów oświetlających teren. Popijali na szerokich frontowych stopniach podpartego kolumnami ganku. Obok przebiegła jakaś dziewczyna, mająca na sobie tyłku połowę bikini. Górną połowę.

- Cholera - powiedział Michael. - Monica naprawdę wie jak zabawić gości.

No, faktycznie. Claire obserwowała dużą ciężarówkę, która powoli przejeżdżała przez tłum ludzi, kierując się na tyły domu. Miała logo „Alkohole, Bob Fine”. Widocznie Monica już musiała wezwać zaopatrzeniowe posiłki, a przecież wieczór dopiero się zaczynał.

- No i? - odezwała się Eve. - Będziemy tak tu stać cała noc? Bo jestem już gotowa powalić kogoś na kolana.

Całą czwórką podeszli podjazdem, zerkając na chłopaków z korporacji i wędrujące meble. Razem weszli na stopnie werandy, gdzie dziesięć osób grało w jakąś skomplikowaną grę, na którą składało się popijanie z kieliszków, zabawianie się fluorescencyjną farbą w spreju i histeryczne chichoty. Nawet ci najbardziej pijani odwrócili się, żeby na nich popatrzeć i zagwizdać.

Chłopaki z bractwa studenckiego, pijacy w fontannie i jeszcze więksi pijacy na ganku, wszyscy ubrani byli w zwyczajne, codzienne ciuchy, na ogół jakieś szorty i T - shirty.

- Hm - mruknęła Claire. - Może jednak nie powinniśmy byli się tak stroić.

- Zdecydowanie powinniśmy - powiedziała Eve. - Jak spadać, to z wysokiego konia.

- Przypomnij mi, że mam potem zagrać z tobą w pokera - poprosił Michael. - Lubię, kiedy dziewczyna zgadza się grać o wysoką stawkę.

Lekko trąciła go biodrem.

- To ty coś takiego chcesz ze mną robić później? Facet, przynajmniej uszanuj te ciuchy.

Michael pogłaskał ją po plecach wzdłuż kręgosłupa, aż do tej czerwonej różyczki. Eve zadrżała i na w pół przymknęła oczy. Michael szepnął coś do niej, a Claire pomyślała sobie, że na pewno było to coś zbyt osobistego, żeby nadawało się dla uszu wszystkich.

Zresztą i tak nic by nie usłyszała, bo właśnie wtedy frontowe j drzwi otworzyły się z trzaskiem i z wnętrza domu hałas wylał się gęstą jak syrop falą dudnienia techno i prowadzonych wrzaskiem i rozmów. Na zewnątrz wytoczyło się dwóch podtrzymujących i nic wzajemnie facetów. Claire zamrugła, bo rozpoznała dwóch i maniaków gier, którym dała zaproszenie na imprezę Moniki w tamten dzień w kampusie.

- Zajefajna impreza! - wrzasnął jeden z nich i padł jak długi na twarz.

- Widzimy. - Eve przeszła nad nim i wkroczyła do domu, za nią ruszył Michael. Claire chciała iść za nimi, ale Shane ścisnął ją mocniej za ramię i zatrzymał.

- Co? - spytała i odwróciła się w jego stronę. Boże, jak on fantastycznie wyglądał. Eve cały czas powinna go ubierać.

- Zanim wejdziemy - powiedział i pocałował ją. Claire usłyszała odległe gwizdy i wrzaski pijaków z werandy - odległe, bo ten pocałunek był słodki, gorący i namiętny, i było w nim coś szalonego, od czego cała zadrżała.

Odsunął się zbyt szybko.

- Nie oddalaj się ode mnie - poprosił z ustami tuż przy jej uchu, a ona pokiwała głową. Jakby miała zamiar spuścić go chociaż na chwilę z oczu.

A potem weszli śladem Michaela i Eve w sam środek imprezy stulecia.

Dla Claire to była druga wielka impreza w życiu, nie licząc urodzinowych i tych, na których było tyle samo opiekunów co dzieciaków. Ta pierwsza, Bal Umarłych Dziewczyn, zorganizowana przez korporację studencką EEK, raczej się nie udała, bo tata Shane'a wdarł się na nią, szukając wampirów do przebiccia kolkiem. Ta impreza, o ile to możliwe, wyglądała na jeszcze bardziej szaloną.

Claire cieszyła się, że jest tu z przyjaciółmi. Nawet nie umiała sobie wyobrazić, jak byłaby przerażona, gdyby przyszła sama. Główny hol domu był wielki i wysoki, ale teraz pełen ludzi, którzy gadali, tańczyli, całowali się, obściskiwali - zupełnie jak w jakimś najmodniejszym klubie w samym środku tanecznej imprezy. Claire minęła parę, która... Zaraz, co oni właściwie robili? Odwróciła wzrok, zanim zdążyła nabrać pewności, ale ręka tego faceta wędrowała w miejsca, których chyba nawet aktorka porno nie pokazałaby publicznie.

Michael i Eve przepychali się przez tłum w stronę najbliższego pokoju, a Claire i Shane poszli za nimi, starając się trzymać blisko. W wielkim salonie było kilka osób ubranych elegancko, ale większość miała na sobie swobodne studenckie ciuchy i Claire zaczęła powoli nabierać pewności, że ten swobodnie ubrany tłum to były osoby, które nie zostały na imprezę zaproszone.

Monica stała u szczytu schodów, z założonymi rękoma, i patrzyła prosto na nich.

- Oho, mamy moment zdjęciowy - powiedziała Eve i uniosła komórkę, żeby uwiecznić skrzywioną minę Moniki. - Proszę, udało się.

Przybiła piątkę Shane'owi, który wyraźnie tego oczekiwał. Monica z pewnym wysiłkiem opanowała irytację i zaczęła schodzić po schodach. Miała na sobie różową obcisłą sukienkę w wielkie kwiaty o płatkach obrzeżonych jasną żółcią, wspinające się po materiale. Buty dobrała idealnie, też były różowe. Szczyt elegancji.

- Claire, przyprowadziłaś jakieś bezpańskie zwierzątka - prychnęła Monica. - Jak to miło. - A potem zrobiła dziwnie zawstydzoną minę. - Michael, nie miałam na myśli ciebie. Jesteś tu zawsze mile widziany.

Uniósł jasne brwi.

- Czyżby?

- Oczywiście.

Claire szturchnęła go łokciem.

- Bo jesteś VIP - em. Bardzo Ważnym Wampirem.

Kolejnych dwóch maniaków gier, którym Claire przekazała zaproszenie, minęło jaj jeden złapał ją za ramię i głośno cmoknął w policzek.

- Porobiliśmy kopie - powiedział i zachichotał. - Mam nadzieję, że to nie problem. Świetna impreza!

Shane westchnął i odsunął go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Tak, nieważne. W pokoju obok jest goła Wolkanka. Lepiej się pospieszcie.

Faceci momentalnie wytrzeźwieli i ruszyli przed siebie. Monica szeroko otworzyła pociągnięte błyszczkiem, idealne usta i wytrzeszczyła oczy.

- To ty? - powiedziała. - To ty to zrobiłaś? Ci idioci wydrukowali ulotki! Porozlepiali je po całym kampusie! Przecież to miała być impreza dla wybranych osób!

- Nie przejmuj się - odezwała się słodko Eve. - Przecież przyszliśmy. - Uśmiechnęła się, a przy jej ciemnej szmince to był uśmiech Bardzo Złej Czarownicy.

- Buziaczek! - Cmoknęła głośno powietrze gdzieś koło ucha Moniki. - Urocza

impieza. Szkoda trochę mebli. No to pa! - Kołysząc biodrami, poszła dalej, wsparta na ramieniu Michaela, jakby była królową świata, a nie tylko samego Morganville. Claire wyjęła komórkę i pstryknęła zdjęć tej morderczej furii na twarzy Moniki, która patrzyła w ślad za Eve.

- Ty zdradziecka mała suko! - warknęła Monica.

Claire opuściła telefon i przez długą chwilę patrzyła jej prosto w oczy. Już się jej nie bała.

- Kazałaś swoim kumplom naćpać mnie i powiedziałaś im że lubię na ostro. Ja tylko przekazałam ludziom twoje zaproszenie. Powiedzmy, że wyrównaliśmy porachunki.

- Jeszcze czego!

Shane nachylił się, zniżył głos tak, że Monica musiała wyteńczyć słuch, żeby wyłapać jego słowa:

- Uspokój się. Jak się złościś, dostajesz czerwonych plam na twarzy. A jeśli jeszcze raz nazwiesz moją dziewczynę suką, to przestanę być taki miły.

Oczy Moniki pałały wściekłością, ale nie drgnęła, a po chwili zawróciła i wbiegła po schodach na piętro, gdzie jej elegancko ubrani przyjaciele zbili się w ciasną grupkę jak obsada Robinsonów po zakupach w Abercrombie & Fitch.

- Punkt dla gości - rzucił Shane. Patrzył na grupę facetów ubranych w koszulki futbolowe, którzy minęli ich z wrzaskiem, targając łóżko. Claire zamrugła. Tak, to było łóżko. - Dobra.

Chyba naprawdę nie chcę w to wnikać. To jak? Napijemy się czegoś?

W kuchni grupa ludzi robiła poncz w wielkim koszu na śmieci. Claire miała nadzieję, że to jeszcze nieużywany kosz, ale faceci, którzy wlewali do niego różne rzeczy, byli tak naprani, że naprawdę nie mogła mieć pewności.

- Tego bym raczej unikał - szepnął Shane z ustami tuż przy jej uchu. - Widzisz kogoś ze znajomych?

Nie była pewna. Aż trudno się tam było ruszyć, bo ludzie? tłoczyli się przy blatach, wchodzili do kuchni i wychodzili z niej z wielkimi czerwonymi plastikowymi kubkami w rękach...

Dreszcze przeszedł jej po plecach.

- Tak. Widzę kogoś.

Jakim cudem brat Eve zdołał wejść na tę imprezę? Stał w kącie, zgarbiony, ze złośliwym uśmiechem. Przetłuszczone włosy opadały mu na ramiona i miał na sobie

te same brudne ciuchy ostrego chłopaka, które nosił, kiedy groził Claire w Centrum Uniwersyteckim. Miał w ręku drinka, ale nie był pijany, w spojrzeniu, jakim obejmował ten tłum, było zbyt wiele pałającej pogardy. To były oczy szaleńca. O Boże, oni właśnie tak wyglądają, ci faceci, którzy potem zaczynają strzelać w pomieszczeniu pełnym ludzi.

Popatrzył prosto na Claire i uśmiechnął się do niej krzywo. Claire z niepokojem rozejrzała się za Eve, ale ta stała plecami do brata i rozmawiała z Michaeliem; wyraźnie wcale nie zauważyła potencjalnego kłopotu.

- Co jest? - spytał Shane.

Claire odwróciła się i wskazała palcem.

Ale Jason zniknął.

Shane pokręcił głową, kiedy mu opowiedziała, i odszedł na bok porozmawiać z Michaeliem. Michael pokiwał głową, a potem przekazał Eve w ręce Shane'a. Claire z ruchu warg Michaela odczytała, że mówi: „Uważaj na nią”.

A potem Michael zniknął w tłumie.

I tyle, jeśli chodzi o trzymanie się razem.

Shane objął obie dziewczyny i powiedział:

- No, to jest dopiero życie. Dziewczyny, może znajdziemy sobie jakiś pokój?

Eve przewróciła oczami z mocno utuszowanymi rzęsami.

- Jakbyś wiedział, co robić z jedną z nas, o dwóch naraz już nie wspominając. Dokąd on idzie?

- Do łazienki - zełgał Shane. - Nawet wampiry muszą czasem sikać.

Co prawdopodobnie odpowiadało prawdzie, ale Claire była pewna, że Michael wcale nie dlatego się od nich oddalił. Shane podprowadził dziewczyny do stołu z napojami i wziął zamkniętą butelkę wody dla Claire i dwie butelki piwa, które sam otworzył. Nie chce ryzykować, pomyślała Claire, odkręcając nakrętkę swojej wody, a potem wypila kilka chłodnych, smacznych łyków. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak tam jest gorąco, ale teraz poczuła, że od potu ta przejrzysta bluzka lepi jej się do nagiej skóry.

Ktoś złapał ją za pupę. Claire pisnęła i podskoczyła, a kiedy odwróciła się, zobaczyła kompletnie pijanego chłopaka ze znaczkiem bractwa, który nachylał się w jej stronę.

- Och, kochanie, śliczna! - wrzasnął jej do ucha. - Ty, ja, tam na zewnątrz, chcesz? - W pijanym widzie zaczął pokazywać, co chciałby z nią na zewnątrz robić, a ona

zaczerwieniła się.

- Spadaj - warknęła i odepchnęła go od siebie. Kumple znów go popchnęli w jej stronę i tym razem zbił ją z nóg i pchnął na bar. Wykorzystał to, z miejsca chwytając ją łapami i dociskając biodrami do stołu.

Shane złapał go za kołnierz golfowej koszulki TPU, odwrócił w swoją stronę i z rozmachem rąbnął w twarz.

No pięknie, pomyślała Claire z niesmakiem. Tutaj zawsze tak się wszystko kończy. Dawaniem komuś w twarz. No, ale z drugiej strony, raczej nie liczyła na to, że dziś wieczorem powodzeniem będą się cieszyć kulturalne dyskusje.

No i, oczywiście, włączyli się kumple tego faceta. Eve złapała Claire za rękę i odciągnęła ją na bok; wokół walczących ludzie zbili się ciasnym kręgiem, klaszcząc w ręce i pokrzykując.

- Musimy go powstrzymać! - pisnęła Claire. Eve poklepała ją po ramieniu.

- Shane tak sobie wyobraża dobrą zabawę - stwierdziła. Wierz mi, naprawdę nie chcesz mu teraz przerywać. Niech robi to, co lubi. Nic mu się nie stanie.

Claire strasznie się to nie podobało. Nie cierpiała patrzeć, jak Shane obrywa, i niespecjalnie podobał jej się błysk, który zapalał się w jego oczach, kiedy angażował się po uszy w jakąś awanturę. Stwierdziła, że pewnie głupio jest tak się przejmować, zwłaszcza że przecież częściowo właśnie dlatego Sham tak ją pociągał - że nie wahał się, zanim rzucał się do bójk, a już szczególnie wtedy, kiedy chodzi o obronę kogoś słabszego. Eve praktycznie czytała w jej myślach.

- Pozwól mu być tym, kim jest. Wiem, że to niełatwe, bo faceci nie mają rozumu i człowiek chciałby to jakoś naprawić, ale... Daj mu spokój. Przecież nie chcesz, żeby próbował zmieniać ciebie, prawda?

Prawda. Nie chciała, chociaż on ją i tak zmieniał, czy ona tego była świadoma, czy nie. Ale nie w jakiś zły sposób, pomyślała. Po prostu zmieniał ją. Rok temu strach by ją sparaliżował na samą myśl o przyjściu na imprezę taką jak ta, a jeszcze bardziej przeraziłaby się, wyobrażając sobie, że ktoś mógłby w taki sposób ją obmacywać.

Teraz tylko się właściwie zirytowała i poczuła, że chętnie wzięłaby prysznic.

Eve okręciła się na pięcie.

- Ludzie! Wiem, że mam ładny tyłek, ale tam jest napisane: nie dotykać! - Wybuch pijackiego śmiechu. Eve złapała Claire za rękę. - Przyda nam się za plecami jakaś ściana. Mniejsze zagrożenie ukradkowymi obmacywankami.

- Ale... - Ustąpiła, bo ktoś poklepał ją po pośladkach. - Tak. Dobrze.

W ten sposób znalazły się bliżej Shane'a, który był w środku grupy mniej więcej dziesięciu facetów, zgodnie okładających się pięściami (w większości bez trafień, bo wszyscy byli za bardzo pijani, żeby sobie nawzajem zrobić jakąś krzywdę). Claire z ulgą oparła się o ścianę i popijała wodę. Tak się jakoś złożyło, że została jej też w ręku butelka piwa Shane'a i zerkając szybko z ukosa na Eve, pociągnęła łyk. Uch. Obrzydlistwo.

- Gust nabyty - powiedziała Eve, zaśmiewając się z jej miny. Shane robi zakupy jak typowy student. Jeśli coś jest tanie i reklamowane przez dziewczynę w bikini, to na pewno będzie świetne.

- To jest paskudne - jęknęła Claire i wypila kolejny długi łyk wody, żeby spłukać posmak z języka. Ale teraz nawet i woda smakowała goryczką.

- No cóż, piwo głównie ma dawać rausz, a nie smak - powiedziała Eve. - Jak masz ochotę i na rausz, i na smak, to spróbuj rumu z colą albo białego rosjanina. - I nagle chyba sobie przypomniała, ile Claire ma lat. - Nie żebym pozwoliła ci się napić ani jednego, ani drugiego, tak przy okazji. Obiecaliśmy coś twoi rodzicom. - Udało jej się przy tych słowach zrobić minę niemal oburzoną i szybko wyjęła piwo z ręki Claire. - Ja to potrzynam. - A potem uniosła zwykle dość cichy głos i ryknęła na całe gardło: - Yo, Shane! Przestań się tam wydurniać albo ci wszystko wypiję!

W kuchni rozległy się wybuchy śmiechu. Walka zresztą i tak już się kończyła, a Shane odepchnął ostatniego potykającego się studenta, który usiłował się na niego zamierzyć, otarł krew z ust grzbietem dłoni i opuścił pole bitwy. Był potargany i zarumieniony i wyglądał trochę dziko, a Claire poczuła, że reaguje na to jakimś wewnętrznym pomrukiem.

Popatrzyła na niego, szeroko otwierając oczy. Ja nie jestem na coś takiego gotowa! Ale wyraźnie, przynajmniej częściowo, była.

- Napij się, Galahadzie. - Eve oddała mu butelkę. Stuknęli się szkłem. - Nasz bohaterze. Czeka. Poprawię ci włosy.

- Przeczesała je palcami z pomalowanymi na czarno paznokciami, układając kosmyki to w jedną, to w drugą stronę, aż znów nadała im ten luz fryzury chłopaka z okładki kolorowego pisma.

- Boże, ale jesteś seksowny. Już cię ktoś obmacywał?

- Kilka razy - przyznał i uśmiechnął się do Claire. - Nie rób im krzywdy. One się po prostu nie mogły powstrzymać.

Eve parsknęła i rozejrzała się wkoło.

- Gdzie Michael?

- Pewnie czeka w kolejce do łazienki. - Shane wzruszył ramionami. Mógł mieć rację, ale Claire jakoś nie wydawało się, że to prawdziwy powód. Shane znów patrzył na Eve tym długim spojrzeniem, bez mrugania. Claire chyba zaczynała już wyczuwać jego kłamstwa i to był jeden ze znaków ostrzegawczych.

- Moje panie, przejdźmy się.

Ale nie tyle się przechadzali, ile brnęli, zupełnie jak łososie płynące w górę strumienia. Dom, z tego co widziała Claire, był niesamowity - na ścianach dzieła sztuki, wspaniałe antyczne meble (w większości poplamione drinkami albo pospychane pod ścianę, żeby zrobić miejsce dla tańczących), wielkie drogie tureckie dywany (Claire miała nadzieję, że będą się nadawały do chemicznego prania) i wielkie plazmowe ekrany telewizyjne, w których leciała wszędzie ta sama muzyczna stacja, z maksymalnie podkręconym dźwiękiem. Teraz Ninę Inch Nails grali Closer i wbrew własnej woli Claire zaczęła podrygiwać w rytm muzyki. Eve też zaczęła tańczyć i po chwili tańczyli już wszyscy troje, co może i mogło się wydawać dziwne, ale w sumie chyba dziwne nawet nie było. Shane stanowił trzeci kąt tego trójkąta, ale Claire widziała, że tak naprawdę nie poddawał się imprezowej atmosferze, uważnie skanował wzrokiem tłum, szukając możliwych kłopotów. Albo Michaela.

Ktoś próbował coś jej wcisnąć do ręki - szklaneczkę z jakimś przezroczystym napojem. Pokręciła głową i oddała ją. Nie żeby jej nie kusilo, ale po tym, co jej się o mały włos nie zdarzyło na ostatniej imprezie, nie zamierzała robić głupstw.

No cóż, żadnych głupstw większych niż samo pojawienie się na imprezie u Moniki.

Wciąż im podsuwano picie i narkotyki. Ecstasy w płynie, amfetaminę, alkohol, a nawet coś, co wyglądało zupełnie jak fajka z crackiem. Morganville lubiło swoje narkotyki, ale w sumie było to nawet logiczne. W okolicy aż roilo się od rzeczy, od których człowiek miał prawo chcieć uciec.

Nadal tańczyła. Shane i Eve też nic nie brali, a przynajmniej Claire niczego takiego nie zauważyła. Shane z minuty na minutę coraz mniej uważnie rozglądał się wokół i coraz bardziej się martwił.

Bo Michael nie wracał. Jakies dwie piosenki później - dwie długie piosenki później - Eve wreszcie namówiła Shane'a, żeby iść go poszukać, i całą trójką ruszyli przez parter domu, zaglądając do wszystkich pokoi (pełnych ludzi), ale nigdzie Michaela nie znaleźli. W holu przy łazience czekała długa kolejka, ale nie było tam nawet śladu wysokiego, jasnowłosego wampira.

Kiedy wchodzili po szerokich schodach na piętro, Claire nie mogła nie pomyśleć o Przemienię z wiatrem i Rhettie Butlerze, kiedy niósł Scarlett. Jej mama uwielbiała ten film. Claire zawsze wydawał się nudny, ale ta jedna scena utkwiała jej w pamięci i niemal widziała przed oczyma tamto wnętrze. Zamiast Scarlett, u szczytu schodów nadal stała jednak Monica Morrell otoczona opiekuńczym kółkiem swoich podlizuchów. Giną i Jennifer znów się pojawiły ubrane w sukienki nieco brzydsze niż ta, jaką miała na sobie Monica, ale w dopełniających barwach. Jej osobista grupa wsparcia. Stało tam też kilka innych dziewczyn, ale w większości grupa składała się z facetów - przystojnych i eleganckich. Elita Morganville. Każdy nosił bransoletkę.

- Popatrzcie, kto się pcha do świata - wycedziła Monica, a tłumek się zaśmiał. Monica oczy miała wściekle. Jeśli zachowywała się jak człowiek, kiedy były sam na sam w kawiarni, to teraz jej przeszło. - Popychadła zostają na parterze. Chociaż i tak po tej imprezie będziemy musieli to miejsce zburzyć i postawić od nowa.

- Założę się, że tatuś dostanie kota, kiedy wróci do domu - stwierdziła Eve. - Miałam już wcześniej zapytać, ta sukienka to vintage? Bo mogłabym przysiąc, że widziałam kiedyś w takiej moją mamę. - Wchodziła po schodach, kierując się prosto na jednego z wielkich, silnych chłopaków wyglądającego na zawodnika obrony. Zmieszał się i zszedł jej z drogi. Shane i Claire poszli za Eve. Monica zachowywała niebezpieczne milczenie, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że cokolwiek spróbuje odpowiedzieć, zabrzmi to pospolicie.

- Nie będzie nam łatwo wydostać się stąd - zauważył Shane. Na górze było ciszej, chociaż przez posadzki i ściany przenosił się łomot z parteru. Na korytarzu nie było nikogo, a wszystkie drzwi były zamknięte. Na ścianach wisały drogie portrety i oprawione zdjęcia członków rodziny Morrellów. Monica, co raczej nie dziwiło, ślicznie wychodziła na zdjęciach.

Claire nigdy jeszcze nie widziała pani burmistrzowej, ale znalazła ją teraz na rodzinnych fotografiach - chudą, na wpół eteryczną kobietę, zawsze spoglądającą w inną stronę niż reszta rodziny. Robiła wrażenie nieszczęśliwej. Richard Morrell mocno stał na nogach i chyba przystosował się do tego miasta, tak samo jak, oczywiście, jego ojciec. Monica może była niezrównoważona, ale też stanowiła niezły materiał na mieszkankę Morganville.

Jej mama? Chyba jednak nie.

- Ciekawe, gdzie są jej rodzice? - zapytała na głos Claire.

- Wyjechali z miasta - powiedziała Eve. - A przynajmniej tak słyszałam. Pewnie

strasznie się ucieszą, kiedy wrócą i zobaczą, że ktoś im zrobił Dom nie do poznania, edycja dla szaleńców. - Ujęła gałkę pierwszych drzwi po lewej. Zamknięte.

Shane spróbował z prawej, otworzył drzwi i zajrzał do środka. A potem wyprostował się, z uniesionymi brwiami.

- No, to jest coś nowego - parsknął. Claire próbowała zajrzeć do środka, ale zasłonił jej oczy dłonią. - Wierz mi, do tego jeszcze nie dorosłaś. Sam do tego jeszcze nie dorosłem. - Cicho przytknął drzwi. - Idziemy dalej.

Claire otworzyła następne drzwi i przez sekundę nie rozumiała, co właściwie widzi. A kiedy zrozumiała, głos jej odebrało. Cofnęła się, bez słowa dotknęła ramienia Shane'a i wskazała palcem.

W pokoju było trzech facetów, a na łóżku leżała nieprzytomna dziewczyna. Właśnie ściągali jej majtki.

- Cholera - przeklął Shane i odsunął Claire od drzwi. - Eve, dzwoń po gliny. Już. Czas skończyć z tym badziewiem, zanim komuś naprawdę stanie się krzywda.

Eve wyciągnęła komórkę i wybrała numer, a Shane wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wyszedł mniej więcej po minucie, niosąc tę nieprzytomną dziewczynę na rękach.

- Któraś z was ją zna?

Claire pokręciła głową.

- A co z tymi facetami?

- Jest im bardzo przykro - powiedział Shane. - Eve? Poznajesz ją?

- Hm... Być może. Zdaje się że widywałam ją w Centrum Uniwersyteckim... Ale nie wiem, jak ma na imię ani nic. Na pewno jest spoza miasta. Nie ma bransoletki.

- Zauważyłem. - Shane ułożył dziewczynę, by było mu wygodniej ją nieść. Ładna, drobniutka brunetka z sennym westchnieniem przytuliła się do niego. - Do diabła. Przecież jej tak nie zostawię.

- A co z Michael'em? Musimy go znaleźć.

- Wiem. Sprawdźcie pozostałe pokoje.

Claire z trudem panowała nad oddechem. Nie tak dawno temu sama o mały włos nie znalazłaby się na miejscu tej dziewczyny. Tylko że zachowała odrobinę więcej przytomności umysłu, odrobinę lepiej umiała o sobie zadbać...

Weź się w garść, powiedziała sobie i otworzyła następne drzwi. Aż sapnęła i zakryła usta obiema dłońmi, bo w pokoju był wampir, który pochylał się nad dziewczyną bezwładnie leżącą na podłodze.

Podniósł głowę i zauważyła jego kły, a dopiero potem spojrzała na twarz, która nagle wydała się strasznie znajoma.

Michael.

Dziewczyna miała na szyi dwie świeże ranki, a otwarte oczy były martwe. Skóra przybrała odcień starego, wilgotnego papieru, bardziej była niebieskawa niż biała.

- Och - szepnęła Claire i potykając się, cofnęła z pokoju. - Och, nie, nie, nie...

Michael błyskawicznie się wyprostował.

- Claire, czekaj! Ja nie...

Teraz w drzwiach stanęli Eve i Shane. Eve rzuciła okiem na martwą dziewczynę, na Michaela, a potem odwróciła się i puściła biegiem przed siebie. Shane nie ruszył się z miejsca, popatrzył na Michaela i powiedział cicho:

- Claire. Idź za nią. Już. I trzymajcie się razem. Zaraz do was zejść.

Michael podszedł do nich o krok.

- Shane, ja wiem, że szukasz powodów, żeby mnie zniechęcić, ale wiesz przecież, że ja bym nie...

Shane cofnął się szybko, utrzymując dystans między nimi. Oczy mu pociemniały, a twarz zarumieniła się z gniewu i stężała.

- Claire - powtórzył. - Zabieraj się od niego. Już!

- Cholera! - Michael był rozgniewany, ale jednocześnie przestraszony i urażony. - Shane, przecież ty mnie znasz. Wiesz, że ja bym tego nie zrobił. Rusz głową!

- Podejź do mnie albo do dziewczyn, a cię zabiję - wycedził Shane, a potem odwrócił się i wrzasnął na Claire: - No już!

Wycofała się z pokoju i pobiegła w ślad za Eve. Niepewnie czuła się w butach na wysokich platformach, a świetne ciuchy wydawały się teraz tylko jakimś żalosnym przebraniem. Wcale nie była świetna. Wcale nie była seksowna. Była małą idiotką, skoro tu przyszła, a teraz Michael... Boże, przecież on nie mógł tego zrobić, prawda? Ale jego skóra była zaróżowiona, zupełnie, jakby właśnie się pożywił...

Eve zbiegała po schodach na tyły domu. Claire zauważyła skrawek jej długiej czarnej sukienki przez barierkę schodów. Pobiegła za nią jak najszybciej mogła w tych zdradliwych butach. Kiedy znalazła się na parterze, hałas imprezy wzmógł się i rozbrzmiał na cały regulator.

Ale kiedy zeszła na sam dół, nigdzie nie widziała Eve. Tylko morze ciał kołyszących się w jakiejś pijackiej orgii tańca. Ale nigdzie nie widziała dziewczyny w eleganckiej sukni.

- Eve! - wrzasnęła, ale nawet sama siebie nie słyszała. Spojrzała na schody, ale Shane'a na nich też nie było. Została sama.

Wyciągając szyję, zauważyła cień czarnego aksamitu znikającego w jakichś drzwiach i zaczęła się przedzierać przez tłum w tamtą stronę. Jeśli jacyś pijacy próbowali ją po drodze obmacywać, nawet tego nie zauważyła; chciała tylko za wszelką cenę wydostać się stamtąd i nie pozwolić, żeby Eve coś się stało. Godnością osobistą przejmowała się teraz najmniej.

Ktoś wsunął jej dłoń pod spódnicę. Odwróciła się instynktownie, wściekła, i mocno uderzyła tego faceta w twarz. Nawet nie zarejestrowała jego twarzy ani wyglądu. Facet uniósł ręce w geście kapitulacji, a Claire poszła dalej.

Z jakiegoś powodu sąsiedni pokój był prawie pusty. Claire zrozumiała dlaczego (i wyczuła nosem), kiedy zobaczyła, że w kącie wymiotuje jakiś facet. Ruszyła szybciej. Czy to za Eve biegła? Nie mogła być pewna. Dziewczyna wyglądała jak ona, ale Claire dostrzegała ją tylko momentami, pod niedogodnym kątem. Musiała iść szybciej.

Nie była pewna, jak to się stało, ale dotarła do wielkiej, błyszczącej kuchni. Paru krzepkich facetów wносиło pudła z alkoholem. Claire minęła dwóch studentów, którzy właśnie przybijali sobie piątkę.

- Mamy tu usuwacz majtek w płynie! - wrzasnął jeden z nich, a z pokoju obok odpowiedział mu radosny wrzask.

Claire wypadła na zewnątrz i zaczęła łykać chłodne, czyste nocne powietrze. Trzęsa się, była cała spocona i czuła się brudna, na zewnątrz i od środka. I to miała być zabawa? Tak, pewnie tak, gdyby piła i wszystko olewała, bawiłaby się świetnie. No ale z drugiej strony, przecież to było Morganville. Baw się w taki sposób, a skończysz nieprzytomna na łóżku z jakimiś obcymi facetami... albo w szufladzie w kostnicy.

Eve opierała się o drzewo, oblana światem reflektora, z trudem chwytając powietrze. Wyglądała prześlicznie, jak jakaś gwiazdka Hollywoodu, która przybłąkała się tu z czasów czarno - białego filmu, pomijając czerwoną szminkę.

- O Boże! - jęknęła i Claire, podbiegając do niej, zauważyła, że płacze. - O Boże, on to zrobił, on to naprawdę zrobił...

- Tego nie wiemy. - Claire usłyszała własne słowa. - Może tylko ją znalazł. Może próbował jej pomóc.

Eve spiorunowała ją wzrokiem.

- On jest wampirem! A tam jest martwa dziewczyna z pogryzioną szyją! Nie jestem idiotką!

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobił - upierała się Claire. - A ty, Eve, ty w to wierzysz? Tak naprawdę? Przecież go znasz. Czy on jest mordercą? A już zwłaszcza kiedy zabijać nie musi?

Eve pokręciła głową, ale to była żadna odpowiedź. Tylko odsuwała od siebie to pytanie.

Shane wyszedł kuchennymi drzwiami z brunetką w ramionach.

- Chodźmy stąd.

- Przyjechaliśmy samochodem Michaela - przypomniała Eve bezbarwnym tonem.

- On ma kluczyki. Mogłabym...

- Nie. Nikt tam nie wraca, a wy dwie trzymajcie się od Michaela z daleka, dopóki nie dowiemy się, co się dzieje. - Shane zastanowił się przez chwilę, a potem wziął głęboki oddech. - Pójdziemy piechotą.

- Piechotą! - zdziwiły się Claire i Eve. Eve jeszcze dodała:

- Na głowę upadłeś?

- Claire ma Ochronę, a ja mam nastrój, żeby przywalić pierwszemu wampirowi, który spojrzy na mnie krzywo. Tak będzie bezpieczniej niż pakować się akurat teraz całą trójką...

- zerknął na nieznaną dziewczynę, którą niósł na rękach - czwórką do samochodu Michaela. Wolałbym mieć trochę przestrzeni, gdyby trzeba było uciekać. Albo walczyć.

- Shane...

- Idziemy piechotą - przerwał. - Najpierw na uniwersytet, możemy ją tam zostawić kampusowej policji.

Claire odchrząknęła.

- A nie możemy tutaj poczekać na policję?

- Zaufaj mi, lepiej nie - powiedziała Eve. - Przyskrzynią wszystkich niemających bransoletek, czyli mnie i Shane'a. A kiedy już znajdą tę martwą, pogryzioną dziewczynę, zaczną się cyrk.

Nie możemy ryzykować. Musimy się stąd wynosić. Szybko.

Claire liczyła trochę na to, że Michael się pokaże, ale nie wyszedł za nimi. Zastanawiała się dlaczego. Zastanawiała się, gdzie był, kiedy przetrzasali dom, szukając go.

Shane ruszył w stronę ulicy, a dziewczyna, którą trzymał na rękach, coś mamrotała i chichotała do siebie. Jedną ofiarę uratował, ale innej nie zdołał. I bardzo sobie tę

porażkę brał do serca.

Claire spojrzała na Eve, objęła ją ramieniem i obie poszły szybko za Shane'em.

Do uniwersyteckiego kampusu doszli bez kłopotów. Nikogo nie spotkali. Kilka samochodów minęło ich bez zatrzymywania się i chociaż słyszeli syreny policyjne w okolicy imprezy, żaden z wozów policyjnych nie minął ich po drodze.

Noc była chłodna na tyle, żeby to było przyjemne, powietrze wydawało się suche i rześkie. Żadnych chmur. Gdyby nie ogólnie nieudany wieczór, byłoby naprawdę ładnie i romantycznie. Eve przestała już płakać, ale to było jeszcze gorsze; przedtem wydawała się taka szczęśliwa, a teraz popadła w przygnębienie tak głębokie, że naprawdę wyglądała jak zdeklarowana Gotka.

Claire bolały stopy. Ucieszyła się, kiedy skręcili za róg, i za ogrodzeniem z kutego żelaza dostrzegła wielki, dobrze oświetlony teren kampusu. Żeby dostać się do środka, musieli najpierw dojść do jednej z czterech bram wejściowych. Nigdy przedtem nie zwróciła na to uwagi, ale to miejsce wyglądało nienaturalnie, zupełnie jak jakiś rezerwat dzikich zwierząt. Albo zoo.

Shane zaczął się męczyć i położył dziewczynę na pierwszej ławce, na którą się natknęli za ogrodzeniem, a Eve machaniem ręki zatrzymała przejeżdżający samochód kampusowej policji. Seria pytań i odpowiedzi poszła piorunem, no ale z drugiej strony policjanci z kampusu nie byli jakoś specjalnie dociekliwi. Po półgodzinie dziewczyna została zabrana do przychodni na detoks i badania, a oni we trojkę popatrzyli po sobie w świetle przednich reflektorów policyjnego wozu, który cofał się i odjeżdżał.

- No dobra - stwierdził Shane. - Chyba czas się zbierać.

Eve wyjęła telefon.

- Co robisz? - spytał.

- Dzwonię po taksówkę.

Parsknął.

- W Morganville? W środku nocy? Jasne. Eddie nie lubi przyjeżdżać na wezwanie nawet w dzień. Na pewno nie będzie narażał się, żeby przyjechać po nas w nocy. Pewnie i tak wyłączył telefon. Nie cierpi imprez w bractwach studenckich.

- A może posterunkowy Hess? - podsunęła Claire. - Jestem pewna, że nas podwiezie.

- A popróbuj.

Claire zadzwoniła. Dodzwoniła się nawet, ale nikt nie odbierał. Travis Lowe też się nie zgłosił. Spojrzała na Shane'a, tracąc nadzieję, i bezradnie wzruszyła ramionami.

Eve wstała, zadygotała i objęła się ramionami. Shane zdjął czarną marynarkę i okrył ją.

- No to chyba idziemy na piechotę - powiedział, a potem wziął za rękę Claire i Eve.
- Nie zwalnijcie i nie zatrzymujcie się. Jeśli wam powiem, że macie biec, to biegniecie. Jasne?

Nie dał im czasu na sprzeciw. Ruszyli alejką w stronę wyjścia z terenu uniwersytetu. Na zewnątrz światła było niewiele i dzieliły je spore odległości. Claire wręcz czuła jakieś oczy obserwujące ich z mroku. Czy rzeczywiście ktoś ich obserwował, czy nie, tego nie wiedziała, ale i tak drżała ze strachu. Daj spokój, Claire, weź się w garść. Jest nas troje, a Shane sam potrafi nas obie obronić.

Przeszli przez ulicę, minęli kilka przecznic, potem skręcili. To była najprostsza droga do domu i najlepiej oświetlona, ale miała ich też prowadzić obok Common Grounds. Claire poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie na samą myśl, że Oliver zobaczy ich, jak przechodzą w całej tej nieco zmarniałej świetności. Już i bez tego mieli za sobą wystarczająco stresujący wieczór.

Chociaż pewne pocieszenie stanowiła myśl, że Monica ma wieczór jeszcze bardziej stresujący, usiłując teraz wyjaśnić glinom, dlaczego w jej domu jest więcej narkotyków niż w aptece, nie wspominając już o pijackich orgiach z udziałem nieletnich i martwej dziewczynie w sypialni.

W porównaniu z czymś takim spacer nocą po Wampirów ii - wydawał się czymś wręcz przyjemnym.

A przynajmniej do chwili, kiedy Eve szepnęła: f Ktoś idzie za nami.

Claire o mało się nie potknęła, ale szła dalej, bo Shane mocniej ścisnął jej rękę.

- Kto? - spytał Eve, nie oglądając się za siebie.

- Nie wiem, coś mi tylko mignęło. Ktoś w ciemnych ciuchach.

Ponieważ chyba tylko Amelie lubiła ubrania w bladych zimowych odcieniach, Claire uznała, że ta informacja raczej nic wiele im daje. Ruszyła szybciej, potknęła się o nierówność chodnika i upadłaby, gdyby Shane jej nie podtrzymał. Ale to ich znów spowolniło, a nie mogli sobie pozwalać na wolniejszy marsz.

- Cholera - sapnął Shane. Nadal mieli co najmniej jedną przecznicę do następnej jasno świecącej latarni, a teraz Claire usłyszała za nimi miarowe kroki. Gdzieś przed nimi, z jednego jedynego otwartego lokalu, ciepłe żółte światło zalewało ulicę. Common Grounds. Terytorium przynajmniej teoretycznie neutralne. - Dobra. Do samego domu tak nie dojdziemy. Wchodzimy do Common Grounds i...

- Nie ma mowy. Ja tam nie wejść! - zaprotestowała Eve. - Nie mogę!

- Owszem, możesz. I musisz. Teren neutralny. Nikt ci tam nie zrobi nic złego. Możemy jakoś dogadać się z Oliverem, jeśli będzie trzeba, załatwić sobie tymczasową ochronę czy coś.

Obiecuj mi...

Shane nie dokończył, bo coś zaczęło się dziać. Kroki za nimi nagle przyspieszyły, ten ktoś rzucił się do biegu. Shane odwrócił się i zasłonił sobą dziewczyny, a potem zaczęło się zamieszanie, którego Claire nie nadążała rejestrować wzrokiem. Coś uderzyło Shane'a w głowę. Mocno. Zachwiał się i opadł na jedno kolano.

Claire wrzasnęła i rzuciła się w jego stronę, ale Eve złapała ją i siłą pociągnęła w stronę światła Common Grounds.

- Wstawaj!

Claire wyrwała się Eve i okręciwszy się na pięcie, zdążyła zobaczyć, że wrzasnął to jeden z tych kretynów z imprezy, ten, który ją wcześniej obmacywał i oberwał za to od Shane'a. Facet szedł za nimi z kijem bejsbolowym. On uderzył Shane'a w głowę i miał zamiar zrobić to jeszcze raz!

- Nie! - krzyknęła Claire i rzuciła się w ich stronę, ale Eve mocno ją przytrzymała i znów pociągnęła w stronę kawiarni.

- Wejść tam! - wrzasnęła.

- Puszczaj...

Przestały się ze sobą szarpać, kiedy z bocznej alejki wysunął się jakiś cień i zatrzymał tuż przy nich, blokując im drogę. W świetle gwiazd błysnęła długa, srebrzysta linia. Nóż. To był brat Eve, Jason. Tak samo oślizły, wymizerowany i rozgorączkowany jak na imprezie.

- Cześć, siostra - rzucił, obracając nóż w ręce. - Wiedziałem, że będziesz tędy szła. Jak tylko usłyszałem, że wyszłaś z imprezy bez tego twojego ochroniarza krwiopijcy, wiedziałem, że to będzie odpowiednia chwila.

- Jason... - Eve puściła rękę Claire i stanęła między nimi.

- Ta sprawa jej nie dotyczy. Pozwól jej odejść.

Claire czuła się rozdarta - obserwować Jasona, który ją przerażał, czy zwracać uwagę na to, co się dzieje za jej plecami, gdzie w tej chwili Shane walczył, walczył o życie, a przecież już był ranny. Zaryzykowała spojrzenie przez ramię i zobaczyła, że Shane wyrywa kij napastnikowi, wali go nim w ramię, a tamten z półobrotu uderza o ceglany mur. Student z wrzaskiem upadł na ziemię, ale widać było, że Shane też

mocno oberwał - zatoczył się, stracił równowagę i opadł na ręce i kolana. Kij potoczył się na bok.

- O Boże - szepnęła Claire. Po jego twarzy płynęła krew, ściekała mokrą strużką na chodnik. - Shane!

Shane pokręcił głową, a krew kapłała na ziemię. Podniósł wzrok, zobaczył ją i zamrugał.

A potem zobaczył Eve, a za nią Jasona z nożem.

Wymacał kij i z trudem wstał. Potykając się, ruszył prosto przed siebie, złapał Claire i odepchnął za siebie, a potem szarpnął Eve za rękę, ją też odciągając od Jasona. Szeroko rozstawił nogi i uniósł kij.

Był blady, osłabiony i ledwie żywy, ale Claire wiedziała, że i tak nie miał zamiaru się wycofać.

- Zostaw je w spokoju - zażądał. To nie był krzyk ani groźba, tylko zwyczajny, cichy, całkowicie opanowany głos.

- Odejdź stąd, Jason.

Jason przestał się uśmiechać. Schował nóż do kieszeni i pokazał rękę.

- Jasne. Sorry, stary. Nie musisz się ciskać jak Sammy Sosa.

- Opuścił rękę i wcisnął je do kieszeni kurtki, pozornie rozluźniony, ale w jego oczach był jakiś gorączkowy błysk, a cienkie wargi rozciągnął w krzywym uśmiešku.

- Słyszałem, że znalazłeś w swojej piwnicy prezencik. Taki w kształcie dziewczyny.

Eve jęknęła, a Claire wyciągnęła rękę, żeby ją podtrzymać, bo przyjaciółka zachwiała się na nogach.

- Jason - szepnęła Eve. Minę miała okropną, zupełnie jakby zbierało jej się na wymioty. - O Boże, dlaczego?!

Shane postąpił krok naprzód z uniesionym kijem, a Jason znów się cofnął.

- Zrobiłem to dla frajdy - wyjaśnił. - Ale nie chodziło o te dziewczyny. Musiałem im pokazać, że jestem gotowy.

- Gotowy? - powtórzyła Eve. - O Boże, Jason, to o to ci chodzi? Udajesz jakiegoś kandydata na wampira i pokazujesz, co potrafisz? - Była wstrząśnięta. - Ty im usiłujesz zaimponować? Zabijaniem?

- No jasne. - Jason wrzucił ramionami. Wydawał się chudy i słaby, niemal ginął w tej czarnej skórzanej kurtce. - A niby jak się tutaj zwraca na siebie uwagę? A ja mam zamiar zwrócić uwagę porządnie. Zaczynając od ciebie, Claire.

Shane wrzasnął - to nawet nie były słowa, tylko wrzask pełen czystej furii - i rzucił

się na Jasona. Jason odskoczył, szybciej, niż Claire by się spodziewała, kij go nie trafił, A potem Jason rzucił się naprzód. Shane był wytrącony z równowagi i nie stał w tym momencie pewnie na nogach, ale to i tak nie miało znaczenia; jeśli Jason był tak szalony, że chciał się z nim bić na pięści, to właściwie było już po sprawie.

Prawda?

Jason uderzył Shane'a nisko, pod żołądek, a Shane'owi wyrwał się jęk. Cofnął się o krok.

Shane się cofał...

A potem Claire dostrzegła w dłoni Jasona nóż, jego połyskliwe srebro i czerwień, i jeszcze przez sekundę nie rozumiała, niczego nie rozumiała.

Ale Shane rozwarł palce i kij uderzył o ziemię, a Shane osunął się na kolana i dopiero wtedy do Claire dotarło, że został ugodzony nożem.

Do Shane'a też to chyba nie docierało. Ciężko dyszał, próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć słowa. Oczy miał szeroko otwarte i półprzytomne. Próbował wstać, ale nie mógł.

Jason skierował nóż w jego stronę, potrząsnął nim szerokim łukiem, wszystkich ich obryzgując kroplami krwi, a potem zawrócił i odszedł. Nóż schował do kieszeni. Z Common Grounds zaczęli wyglądać ludzie, zdziwieni i zaniepokojeni, a na przód wysunął się Oliver. Szybko popatrzył w ślad za oddalającym się i Jasonem, a potem skupił wzrok na nich.

Claire przyklękła obok Shane'a. Poszukał spojrzeniem jej oczu, a potem powoli przewrócił się na bok.

Dłońmi ścisnął się za brzuch, wszędzie było tyle krwi... Eve ani drgnęła. Stała jak wryta - w tej ślicznej czarnej sukience - i niewidzącymi oczyma patrzyła w ślad za odchodzącym bratem.

Oliver złapał ją za ramiona i potrząsnął. Czarne włosy opadły jej na twarz, a kiedy ją puścił, Eve bezwładnie osunęła się na ścianę budynku. Oliver niecierpliwie pokręcił głową, a potem zwrócił się w stronę Shane'a i Claire.

Claire popatrzyła na niego w milczeniu, oniemiała z rozpaczy, a Oliver przyjrzał się im obojgu.

Miała wrażenie, że na krótką chwilę coś w nim drgnęło,]Może jakaś odrobina empatii.

- Ktoś już dzwoni po karetkę - powiedział. - Trzeba założyć mu opatrunek uciskowy. Straci mnóstwo krwi, szkoda jej. - Znaczy krwi. Shane'a nie żałował.

- Pomóż mi - poprosiła Claire. Oliver pokręcił głową. - Pomóż mi!

- Powinnaś zrozumieć, że wampiry nie nadają się do pomocy przy rannych. Robię ci przysługę, stojąc z boku. I nie próbuj mi rozkazywać, mała. Ta twoja złota bransoletka znaczy dla mnie tyle, że powinienem zadbać, żeby nie było żadnych świadków.

Shane zaniósł się mokrym, gwałtownym kaszlem, z ust popłynęła strużka krwi. Był blady jak Michael. Blady jak wampir.

Claire objęła go. Oliver spojrział na Eve, zmarszczył brwi i odszedł. Ludzie zaczęli podchodzić bliżej, coś mrucząc, zadając pytania, ale Claire nic z ich słów nie rozumiała. Docisnęła mokrą, zakrwawioną koszulę Shane'a do rany, poczuła, że Shane spina się i usiłuje odsunąć, ale mu nie pozwoliła. Opatrunek uciskowy. Trwało to chyba wieki, zanim usłyszała odległy jęk syreny nadjeżdżającej karetki.

Shane nadal oddychał, kiedy wkładali go na noszach do środka, ale nie poruszał się i nic nie mówił.

Claire podeszła do Eve, pomogła jej wstać i objęła ją.

- Chodź. Powinnyśmy jechać z nim.

Oliver wpatrywał się w ciemne plamy krwi, a kiedy Claire i Eve wsiadały do karetki, spojrział na jednego ze swoich pracowników i wskazał to miejsce.

- Posprzątaj - polecił. - Użyj wybielacza. Nie chcę przez całą noc wachać tego zapachu.

ROZDZIAŁ 11

Shane dojechał żywy do szpitala, a tam od razu zawieźli go na blok operacyjny. Eve siedziała w milczeniu w czarnej aksamitnej sukni, bardziej gotycka z wyglądu niż zwykle i kom - pletnie niepasująca do przytulnej poczekalni. Claire co chwila myła ręce, bo ciągle znajdowała nowe plamy krwi Shane'a na ubraniach i skórze.

Eve płakała cicho, niemal rozpaczliwie. Z jakiegoś powodu Claire nie uroniła ani jednej łzy. Ani jednej. Nie była pewna, czy zdołałaby płakać. Czy to znaczy, że jest jakaś dziwna? Pokręcona? Nie wiedziała, kogo o to zapytać. W tej chwili zupełnie nie czuła. Miała tylko przeczucie, że stanie się coś strasznego.

Richard Morrell przyszedł spisać ich zeznania. Sprawa była dość prosta i Claire bez wahania wskazała Jasona - to on ranił Shane'a.

- I przyznał się - dodała - do zabójstwa tych dwóch dziewczyn.

- W jaki sposób się przyznał? - spytał Richard. Siedział na krześle naprzeciw niej w poczekalni i Claire pomyślała, że jest zmęczony. Wyglądał starzej. Stwierdziła, że to niełatwe być jedynym prawie normalnym członkiem rodziny Morrellów. - Co ci dokładnie powiedział?

- Że jedną zostawił dla nas. - Zerknęła na Eve, która nie odzywała się ani słowem. Nawet, o ile Claire widziała, nie mrugnęła. - Nazwał je prezentami.

- Wspomniał którąś z nich z imienia?

- Nie - odszepnęła. Poczula się bardzo, ale to bardzo zmęczona, mogłaby przespać cały tydzień. I było jej zimno. Zadygotała. Richard zauważył to, wstał i wrócił z dużym, szarym kocem, którym otulił jej ramiona. Przyniósł też drugi dla Eve, która miała na ramionach marynarkę Shane'a.

- Czy to możliwe, że Jason powiedział to tylko dlatego, że wiedział o ciałach znalezionych w pobliżu waszego domu? - zapytał Richard. - Czy powiedział o czymś, czego nie było w gazetach?

Claire o mało nie przytaknęła. Policja nic nie wiedziała o dziewczynie porzuconej w piwnicy ich domu. Myśleli, że do kościoła zawiózł ją zabójca. Nie miała wyboru. Mogła tylko przecząco pokręcić głową.

- Więc możliwe,, że Jason tylko tak sobie gada - stwierdził Richard. - Obserwujemy go. Nie widzieliśmy na razie nic, co by dowodziło, że ma jakiś związek ze śmiercią tych dziewczyn.

- Zawahał się, a potem dodał bardzo łagodnie: - Posłuchaj, nie chciałbym, żeby to

brzmiało, jakbym obwiniał Shane'a, ale on miał kij bejsbolowy, tak?

Eve uniosła głowę.

- Co?

- Shane miał kij bejsbolowy.

- Odebrał go innemu facetowi - wyjaśniła Claire, niemal jękając się z pośpiechu. - Facetowi z imprezy Moniki. Shane został napadnięty, on tylko się bronił! I próbował zmusić Jasona, żeby się od nas odczepił...

- Mamy świadka, który twierdzi, że Shane zamachnął się kijem na Jasona po tym, jak Jason schował nóż.

Claire zatkało. Siedziała z otwartymi ustami i wpatrywała się w zmęczone oczy Richarda.

- A więc to tak - parsknęła Eve. Jej głos z początku był cichy, ale z każdą chwilą nabierał mocy. - Wszystko zwalicie na Shane'a, bo to przecież Shane. Nieważne, że jakiś facet z bractwa studenckiego usiłował mu rozkwasić głowę ani że Jason dźgnął go nożem. To nadal wszystko wina Shane'a! - Wstała, zrzuciła z ramion koc i cisnęła nim w Richarda. Richard złapał go, zanim koc uderzył go w twarz, ale dosłownie w ostatniej chwili. - Masz, może pod to uda ci się zakopać fakty! - Odeszła Zamaszystym krokiem, szczupła i blada w tej czerni jak lilia.

- Eve... - westchnął Richard. - Cholera. Claire, posłuchaj, ja muszę opierać się na faktach, jasne? A fakty są takie, że w czasie konfrontacji Jason schował nóż, Shane miał w ręku kij, a potem Shane się na niego tym kijem zamierzył. I później Jason uderzył go nożem w samoobronie. Czy to się zgadza?

Nie odpowiedziała. Siedziała przez kilka chwil, patrząc na i niego w milczeniu, a potem wstała, zdjęła z siebie koc i oddała mu go.

- Trudno będzie te wszystkie fakty poukrywać - powiedziała. - Sprawdźcie, czy w mieście nie ma cyrku. Może pożyczycie od nich namiot.

I poszła sprawdzić, czy Shane'a wywieziono już z sali operacyjnej.

Jeszcze tam był.

Eve chodziła w tę i w tę, kipiała z irytacji, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i ledwie widocznymi spod zbyt długich rękawów marynarki.

- Co za bydlaki. Co za dranie! Oni chcą Shane'a zrobić, czują to.

- Wrobić go? - powtórzyła Claire. - Ale jak to, wrobić go? i Że niby jest odpowiedzialny?

Eve spojrzała na nią ostro. Oczy miała zaczerwienione i mokre od łez.

- Chodzi mi o to, że nawet jeśli on tę operację przeżyje, to oni mu tego płazem nie puszcza. Richard praktycznie nam to powiedział, nie rozumiesz? Idealnie go wrobili. Shane się zamachnął, Jason zareagował w samoobronie i nikt nawet nie pomyśli, że Jason może odpowiadać za tamte morderstwa. Po prostu zakopią tę sprawę, tak jak zakopali ciała.

Urwała i skupiła wzrok w jakimś punkcie ponad ramieniem Claire. Claire się odwróciła.

W ich stronę szedł Michael, szczupły, silny i wysoki. Podszedł prosto do Eve. Bez wahania, jakby nic się wcześniej nie stało. Jakby nie widziały go na imprezie pochylonego nad ciałem martwej dziewczyny.

Przystanął tuż przy Eve i wyciągnął do niej rękę.

- Pojechałem was szukać i wreszcie dowiedziałem się czegoś w Common Grounds. Jak on się czuje? - spytał. Głos miał schrypnięty.

- Nie za dobrze - szepnęła Eve i znalazła się w ramionach Michaela tak szybko, jak woda przerywa uszkodzoną tamę. - O Boże. O Boże, Michael, wszystko poszło nie tak. Wszystko poszło nie tak...

Westchnął, objął ją i pogłaskał.

- Powinienem być wyjść z wami. Trzeba było zmusić was, żebyście wsiedli do tego cholernego samochodu. Miałem taki zamiar, ale... Różne rzeczy się działy, musiałem się czymś zająć na imprezie. Nawet mi nie przyszło do głowy, że będziecie próbowali wracać piechotą. - Przerwał, a kiedy wreszcie znów się odezwał, w głosie miał ból. - To moja wina.

- To niczyja wina - zaprotestowała Claire. - Wiesz, że nie można Shane'a zmusić, żeby zrobił coś, czego nie chce zrobić. Ani Eve. Ani mnie. - Z wahaniem położyła dłoń na ramieniu Michaela. - Nie zabiłeś tamtej dziewczyny, prawda?

- Oczywiście, że nie. Znalazłem ją, kiedy szukałem Jasona. Próbowałem go znaleźć i wyprowadzić z imprezy. Ale musiał już wyjść wcześniej.

- No to kto...

Michael uniósł wzrok, a jego błękitne oczy jarzyły się niesamowicie.

- Właśnie tym musiałem się zająć. Tam były wampiry, polowały. Musiałem to przerwać.

Jedna z przechodzących pielęgniarek zwolniła kroku, obserwując Michaela i Eve. Zmrużyła oczy, a potem przystanęła i zaczęła się na nich gapić. Mruknęła coś pod nosem i poszła dalej.

Michael zawołał do niej, chociaż była już w połowie korytarza.

- Przepraszam. Co pani powiedziała?

Pielęgniarka stanęła jak wryta i odwróciła się do niego.

- Nic nie mówiłam, proszę pana. - Grzecznościowy zwrot zabrzmiał tak ostro, że mogłaby nim kogoś zakłuć.

- A mnie się wydaje, że tak. Nazwała pani moją dziewczynę dziwką wampirów.

Pielęgniarka uśmiechnęła się chłodno.

- Jeśli mówię do siebie pod nosem, proszę pana, to nie pański interes. Pan i pana... dziewczyna... powinniście swoje sprawy załatwiać w poczekalni. Albo może w banku krwi.

Michael zacisnął dłonie w pięści, a twarz mu pociemniała z wściekłości.

- To nie tak.

Pielęgniarka - na plakietce widniało nazwisko „Christine Fenton, pielęgniarka dyplomowana” - spojrzała na niego z jawną kpiną.

- Oczywiście. To zawsze jest coś innego, prawda? I tylko nikt was nie rozumie. Chce mnie pan skrzywdzić? Proszę bardzo, ja się nie boję. Żadnego z was się nie boję.

- To świetnie - wycedził Michael. - Nie powinnaś się mnie bać dlatego, że jestem wampirem. Powinnaś się bać, bo źle się wyraziłaś o mojej dziewczynie i to przy niej.

Siostra Fenton zlekceważyła go i poszła dalej.

- Wow - westchnęła Eve. Głos już miała prawie normalny. Chyba poczuła się lepiej. - I pomyśleć, że ludzie źle mnie traktowali, kiedy chodziłam z Bobbym Fee. A on przecież oddychał.

Przez usta, fakt, ale oddychał...

Michael objął ją, nadal patrząc w ślad za pielęgniarką. Minę miał nachmurzoną, ale postarał się uśmiechnąć do Eve i pocałował ją w czoło.

- Powinnaś odpocząć. Wracajmy do poczekalni. Obiecuję, że już nie najesz się przeze mnie wstydu. - Ruszył w stronę poczekalni i się obejrzał. - Claire? Idziesz?

Zdała sobie sprawę, że stoi sama na korytarzu, i zadrżała. Chociaż to był nowoczesny budynek, nie taki jak tamten stary, walący się, opustoszały szpital, w którym uciekali z Shane'em, usiłując ratować życie, i tak dostała gęsiej skórki. Rzuciła ostatnie spojrzenie na drzwi z matowego szkła z napisem: „Blok operacyjny - nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Za nimi widziała tylko jakieś cienie.

Poszła za Michaeliem w stronę poczekalni. Richard Morrell zniknął, co ją ucieszyło, i Claire przysiadła na krześle w milczeniu, pocierając dłonie. Ciągle jej się wydawało,

że ma na skórze krew Shane'a.

- Odpocznij. Prawie słyszę, jak ci się obracają trybiki w głowie - odezwał się Michael. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, czuła tylko, że zeszywniała, że jest obolała i spięta. Spojrzała w jego przejrzyście błękitne oczy i zobaczyła w nich siłę i dobroć, ale także nieznaczny błysk, który wydawał się... nienaturalny. Eve spała oparta o jego kolana, zwinęła się w kłębek jak kotka. Głaskał ją po ciemnych włosach. - Chodź - powiedział. - Oprzyj się. - Objął Claire, a ona przytuliła się do niego i mimo tego, co wydarzyło się wcześniej, poczuła się bezpieczna.

I wtedy dopadły ją strach i ból, i świadomość, że Shane został ugodzony nożem na jej oczach, a ona nie wiedziała, jak się z tym uporać, nie wiedziała, co ma czuć ani co powiedzieć czy zrobić, i to wszystko było takie...

Wtuliła twarz w jedwabną koszulę Michaela i rozplakała się cicho. Szlochała gwałtownie, aż bolało. Michael przytulił jej głowę i pozwolił jej płakać.

Kiedy wreszcie trochę się uspokoiła, poczuła, że musnął ustami jej skroń, a potem po prostu ogarnęła ją ciemność.

Claire przerażona próbowała odepchnąć senny koszmar i z miejsca przyśnił się jej następny. Szpital. Shane. Operacja.

Eve potrząsała ją za ramiona, coś do niej mówiąc, a ona nie mogła zrozumieć słów, ale w pierwszej chwili słowa okazały się zupełnie nieważne.

Eve się uśmiechała.

- Wyjdzie z tego - szepnęła Claire, a potem powtórzyła głośniej: - Wyjdzie z tego!

- Tak - potwierdziła Eve, a potem słowa znów popłynęły wartkim strumieniem, aż trudne do zrozumienia. - Zabrali go już z sali operacyjnej. Miał szczęście. Miał krwotoki wewnętrzne. Przez kilka dni będzie na oddziale intensywnej opieki medycznej, zanim go wypiszą. I wiesz, przez jakiś czas będzie miał tymczasową bransoletkę, plastikową.

Claire usiłowała otrząsnąć się ze snu.

- Plastikową...? Zaraz, ale w szpitalach zawsze chyba takie dają? Coś w rodzaju dowodu tożsamości?

- Tak? Naprawdę? Jakie to dziwne. Och. No cóż, w Morganville nie zdejmuje się ich po wyjściu ze szpitala i przez jakiś miesiąc po operacji ma się Ochronę. Coś jak tymczasowy zakaz zbliżania się dla wampirów. - Eve podskakiwała z radości. - Nic mu nie będzie, o Boże, nic mu nie będzie!

Claire zwlokła się z krzesła, złapała Eve za ręce i obie zaczęły podskakiwać, a

potem objęły się ramionami, głośno piszcząc.

- Może zostawię was same - powiedział Michael. Siedział na krześle i obserwował je, ale z uśmiechem. Był chyba zmęczony.

- Która godzina? - spytała Claire.

- Późna. Znacząca wczesna. - Eve zerknęła na zegarek z czaszką. - Dochodzi szósta. Michael, powinieneś wracać do domu, zaraz będzie świtać. Ja tu zostanę z Claire.

- Wszyscy powinniśmy wracać - stwierdził Michael. - On się nie obudzi jeszcze przez kilka godzin. Powinniście się przebrać.

Claire spojrzała po sobie.

- Rzeczywiście - przyznała. Krew Shane'a wsiąkała w jej wzorzyste rajstopy i pomyślała sobie, że Michael pewnie ją wyczuwa. Sama też czuła zatęchły zapach, od którego aż się krztusiła. - Eve, też chcesz iść?

Eve pokiwała głową. We trójkę wyszli z poczekalni i ruszyli długim korytarzem w stronę wind. Minęli dyżurkę pielęgniarek, skąd siostra Fenton popatrzyła na nich z ostentacyjną niechęcią. Kiedy Claire obejrzała się za siebie, czekając na windę, siostra Fenton do kogoś dzwoniła.

- Skąd znam to nazwisko? - zapytała, a potem dotarło do niej, że przecież jest w towarzystwie dwóch osób pochodzących z Morganville. - Fenton? Wiedzie coś o niej?

Winda nadjechała. Eve weszła do środka i nacisnęła guzik parteru, a potem przez chwilę ona i Michael spoglądali na siebie.

- Rodzina mieszka tu od pokoleń - powiedział Michael.

A urocza siostra mieszka tu od niedawna. Przyjechała studiować na TPU i wżeniła się w miejscową rodzinę.

- Znasz jej męża - dodała Eve. - Posterunkowy Fenton, Brad Fenton. Ten, który...

- Ten, który przyjechał, kiedy zaatakowano Sama - dokończyła Claire. - Jasne! Wypadło mi z głowy jego nazwisko.

- Dlaczego nadal czuła jakiś dziwny niepokój? Nie przypominała sobie niczego w słowach Fentona, co by kazało uważać go za wroga wampirów, zareagował dość szybko, kiedy Sam znalazł się w tarapatach. W przeciwieństwie do żony, która wyraźnie miała ciaśniejsze poglądy.

Zastanawiała się nad tym jeszcze przez chwilę, ale nie mogła dopatrzeć się żadnego powiązania, a trzeba było pomyśleć też o innych sprawach. A poza tym Shane'owi nie będzie i tylko to się teraz liczyło.

Prysznic nieco pomógł, ale nie zlikwidował tępego bólu nad oczami ani dziwnego

szarego welonu, przez jaki Claire widziała świat. Domyślała się, że to skutek wyczerpania i stresu. Nic nie było jak być powinno. Zmieniła ubranie, złapała plecak i wróciła do szpitala - tym razem taksówką, mimo że był środek dni - żeby poczekać tam, aż zaczną się godziny odwiedzin na oddziale intensywnej terapii. Nie natknęła się na Jasona, ale też nie spodziewała się, że będzie się chciał aż tak rzucać w oczy. Albo że okaże się tak głupi. Już dość długo różne sprawy uchodziły mu na sucho.

No ale z drugiej strony nie był szczególnie przewidujący. Raczej taki typ, który z miejsca bierze, na co ma ochotę. Więc co to znaczyło? Czy Eve miała rację? Czy to wszystko działo się za czyimś przyzwoleniem, a Jasonowi zostawiono wolną rękę i mógł gwałcić, zabijać i atakować nożem zgodnie z własnym chwilowym nastrojem? Zadrżała na myśl o tym.

Na szczęście, kiedy Claire przyjechała do szpitala, siostra Fenton nie miała dyżuru. Zgłosiła się na dyżurce do innej, młodszej i sympatyczniejszej kobiety o nazwisku Helen Porter, a potem poszła poszukać sobie miejsca w poczekalni. Szpital był sensownie zaprojektowany. W poczekalni stały biurka i była instalacja internetowa. Claire usiadła przy biurku. Internet przewodowy mieli do bani, ale połączenie bezprzewodowe działało niezle.

Oczywiście, filtry ograniczały możliwość swobodnego poruszania się po sieci i Claire szybko się zirytowała, usiłując dowiedzieć się, co się dzieje na świecie poza Morganville...

Pewnie ciągle to samo, pomyślała. Wojny, zbrodnie, śmierć, okropności. Czasami trudno było nawet uważać wampiry za wcielenie zła, kiedy myślało się o rzeczach, jakie potrafili nawzajem robić sobie ludzie, i to nawet nie posiadając wymówki w postaci konieczności wypicia pół litra zero Rh plus, żeby przetrwać do końca dnia.

Zastanawiała się, czy wampiry przeprowadziły jakieś po-rządne śledztwo w sprawie ataku na Sama. Oczywiście, coś musiały znaleźć, ale z drugiej strony za wiele szczęścia w przypadku taty Shane'a nie miały...

Połączenie internetowe zostało przerwane, kiedy była w połowie mejla do rodziców. Nie chciała dzwonić, bo kusiłoby ją okropnie, żeby zacząć przy okazji wylewać z siebie lęk i żal i szukać u nich pociechy - w końcu, czy nie od tego ma się rodziców? - ale gdyby to zrobiła, to oni w te pędy przyjechaliby do miasta, co byłoby fatalnym posunięciem, albo znów próbowaliby ją wypisać z uczelni, co by było jeszcze gorsze. Zdecydowanie pod każdym względem gorsze.

Wiedziała jednak, że mama już za długo czeka na wiadomość od niej i że im dłużej

będzie to odkładała, tym bardziej stresująca będzie później rozmowa.

Claire wyłączyła laptop, spakowała go i otworzyła klapkę swojego nowego wypasionego telefonu. Połyskiwał blado niebieskim światłem, kiedy wybierała numer. Usłyszała ciche kliknięcie. To pewnie znaczyło, że jej rozmowa jest nagrywana, a przynajmniej monitorowana. Tym bardziej trzeba uważać, co się mówi.

Mama odezwała się po trzecim dzwonku.

- Halo?

- Cześć! - Claire aż się skrzywiła od udawanej radości we własnym głosie. Dlaczego nie może rozmawiać naturalnie? - Tu Claire, mamó.

- Claire! Kochanie, martwiłam się. Dlaczego tak długo nie dzwoniłaś?

- Wiem, mamó, przepraszam. Byłam zajęta. Zmieniłam kilka przedmiotów, nowe zajęcia są naprawdę super, ale miałam mnóstwo nauki i lektur do przeczytania. Po prostu zapomniałam.

- Cieszę się, że wykładowcy zaczynają dostrzegać, jak jesteś zdolna - powiedziała matka. - Trochę się martwiłam, kiedy mi mówiłaś, że wszystkie zajęcia są mało interesujące, że znasz materiał, o którym mówią wykładowcy. Ja wiem, że potrzebujesz wyzwań.

Och, teraz mam same wyzwania, pomyślała Claire. Zajęcia, spotkania z Myrningem, włączającego się za nią Jasona i lek o Shane'a...

- Tak, rzeczywiście - przytaknęła. - Więc to chyba dobrze się składa.

- I co jeszcze? Jak twoi przyjaciele? Ten sympatyczny Michael dalej gra na gitarze?

- Mama zadała to pytanie takim tonem, jakby to było jakieś niemądre hobby, które kiedyś mu przejdzie.

- Tak, mamó, jest przecież muzykiem. Nadal grywa. Któregoś dnia grał w Centrum Uniwersyteckim. Zebrał się spory tłumek słuchaczy.

- No to dobrze. Ale mam nadzieję, że nie grywa w klubach. To bywa czasem niebezpieczne.

I znów się rozgadała o różnych niebezpieczeństwach, a Claire pomyślała sobie, że jeśli nawet jej matka nie zapamiętała dokładnie swojej wizyty w Morganville, to zapamiętała jednak coś. No bo niby dlaczego tak się ciągle rozwodziła o rozmaitych możliwych zagrożeniach.

- Mamó, przesadzasz - zdołała wreszcie wtrącić Claire.

- Naprawdę, nic złego tu się nie dzieje.

- No cóż, semestr zaczęłaś od wizyty na ostrym dyżurze, Claire, nie możesz mieć do

mnie pretensji za ten niepokój. Jesteś jeszcze bardzo młodziutka, zbyt młoda na mieszkanie poza domem, i to nawet nie w akademiku...

- Opowiadałam ci o problemach w akademiku - powiedziała Claire.

- Tak, wiem, te koleżanki były niemile...

- Niemile? Mamo! One mnie zrzuciły ze schodów!

- Jestem pewna, że to był wypadek.

To nie był wypadek, ale jej matka po prostu nie chciała przyjąć tego faktu do wiadomości, nie do końca. Niepokoili się i martwiła, ale wcale nie chciała uwierzyć, że mogło się dzieć coś naprawdę złego.

- Pewnie tak - westchnęła Claire. - W każdym razie w Domu Glassów mieszka mi się świetnie. Naprawdę mieszkam z przyjaciółmi.

- A Michael ma nasz numer telefonu? W razie jakichś problemów?

- Tak, mamo, wszyscy wiedzą, jak się z wami skontaktować. Ach, przy okazji, podam ci numer mojej nowej komórki... - Szybko, dwa razy powtórzyła numer i kazała go sobie odczytać. - Ma lepszy zasięg niż ta poprzednia, łatwiej będzie ci się ze mną skontaktować, dobrze?

- Claire? - odezwała się mama. - Na pewno wszystko w porządku?

- Tak, nic mi nie jest.

- Nie chcę być wścibska, ale ten drugi chłopak, który z wami mieszka, nie Michael, tylko...

- Shane.

- Tak, Shane. Uważam, kochanie, że powinnaś trzymać się od niego na dystans. Jest od ciebie starszy i wydaje się taki pewny siebie.

Naprawdę nie chciała wdawać się w rozmowę na temat Shane'a. I tak prawie się zająknęła przy jego imieniu, aż tak bardzo ją coś zabolęła. Chciałaby porozmawiać z mamą tak jak kiedyś. Wtedy rozmawiały ze sobą o wszystkim, ale nie mogła teraz rozmawiać z rodzicami o Morganville.

Czyli nie mogła z nimi rozmawiać o niczym.

- Będę ostrożna - wykrztusiła, a potem jej uwagę zwróciła młoda pielęgniarka, która stanęła w drzwiach poczekalni i machała do niej ręką. - Och, mamo... Muszę kończyć. Przepraszam. Ktoś na mnie czeka.

- Dobrze, kochanie. Kochamy cię.

- Ja was też. - Rozłączyła się, wsunęła telefon do kieszeni i złapała plecak.

Pielęgniarka zaprowadziła ją za kolejne drzwi z matowego szkła z napisem

„Oddział intensywnej opieki medycznej”.

- Obudził się - powiedziała. - Nie możesz zostać długo, chcemy, żeby jak najwięcej wypoczywał, a już widzę, że będzie trudnym pacjentem. - Uśmiechnęła się i mrugnęła do Claire.

- Może uda ci się go trochę rozchmurzyć. Ułatwisz mi życie.

Claire pokiwała głową. Była trochę zdenerwowana i wytrącona z równowagi intensywnością potrzeby zobaczenia Shane'a, dotknięcia go. A jednocześnie się bała. Niepokoila ją myśl, że go zobaczy w takim stanie, i nie wiedziała, co ma mówić. Co mówili ludzie, kiedy tak przeraża ich perspektywa utraty kogoś bliskiego?

Wyglądał gorzej, niż sobie wyobrażała, i musiało się to chyba odbić na jej twarzy. Shane stęknął i na kilka chwil przymknął oczy.

- Jeszcze żyję, to zawsze coś. Jeden nieumarły w domu wystarczy. - Wyglądał strasznie, był blady jak, no cóż, Michael.

Od uderzeń kijem bejsbolowym miał całą tęczę sińców i był tak słaby, że Claire wydawało się to niemożliwe. Tyle tu było różnych przewodów i innych cudów. Usiadła na krześle obok jego wysokiego łóżka i sięgnęła ponad otaczającą je niską barierką, żeby delikatnie dotknąć posiniaczonej, podrapanej dłoni.

Odwrócił ją, żeby mogli spleść palce.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Jason potem uciekł. - Właściwie nawet się nie śpieszył, ale nie zamierzała tego mówić. - Eve też nic nie jest. Była tu, byłeś operowany, pojechała tylko do domu zmienić ciuchy. Wróci.

- Suknia godna diwy operowej chyba nie bardzo tutaj pasowała. - Otworzył oczy i spojrzał na nią uważnie. - Claire, tak serio. Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. Tylko martwię się o ciebie.

- Mam się nieźle.

- Pomijając ranę kłutą i wewnętrzny krwotok? Jasne, twardzielu. - Głos jej drżał i wiedziała, że za chwilę się rozpłacze.

Nie powinna płakać. On chciał to zbyć śmiechem, chciał pokazać, że jest twardy, powinna mu pozwolić, prawda?

Próbował wzruszyć ramionami, ale to go musiało zabołec, sądząc po skurczu, jaki przebiegł mu po twarzy. Jedna z maszyn obok Claire zapikala, a Shane cicho westchnął.

- Już lepiej. Kurczę, ale fajne rzeczy dają człowiekowi na oimie. Przypomnij mi,

żebym od teraz zostawał ranny wyłącznie poważnie. Przy mniejszych ranach tak cię nie faszerują.

Męczyło go mówienie. Claire wstała i pochyliła się, żeby palcami lekko pogładzić go po wargach.

- Cii - powiedziała. - Odpoczywaj, dobrze? Zachowaj to dla kogoś innego. Przy mnie możesz się bać. Przy mnie może cię boleć, Shane.

Przez chwilę w jego oczach błyszczały łzy, a potem popłynęły z kącików oczu, rysując mokre ścieżki, które zniknęły we włosach.

- Cholera - szepnął. - Przepraszam. Ja po prostu... Czulem, że to wszystko znika, że ty mi znikasz. Próbowiałem... Myślałem, że on ci zrobi krzywdę, a ja nic nie będę mógł na to poradzić...

- Wiem. - Pochyliła się i pocałowała go bardzo lekko, uważając na siniaki. - Wiem.

Chwilę jeszcze popłakał, a ona nie ruszała się z miejsca, trwała tam jak tarcza chroniąca go przed światem i czekała, aż przestanie. Wreszcie zapadł w lekki sen. Ktoś dotknął jej ramienia. To pielęgniarka poprosiła, żeby wyszła. Claire ostrożnie uwolniła dłoń z uścisku Shane'a i poszła za siostrą.

- Przepraszam - powiedziała Helen. - Chciałabym, żeby pospał, zanim znów zaczniemy go męczyć. Możesz wrócić dziś po południu?

- Jasne. O której?

Czwarta. Miała cały dzień do zagospodarowania i zielonego pojęcia, co z tym czasem zrobić. Nie musiała iść do Myrnina; Amelie nie dała jej nowych instrukcji. Była sobota, więc nie było zajęć, a Claire nie chciała po prostu wracać do Domu Glassów, żeby tam siedzieć i się martwić.

Claire nadal nie wiedziała, co ze sobą zrobić, kiedy zauważyła znajomą, wystrojoną dziewczynę stojącą pod drzwiami szpitala.

Co tu robiła Jennifer, członkini fanklubu Moniki?

Najwyraźniej czekała na Claire, bo szybko do niej podbiegła, kiedy Claire ją mijala, kierując się w stronę postojów taksówek.

- No i? - zagadnęła i założyła kosmyk błyszczących włosów za ucho. - Jak Shane się ma?

- Jakby ciebie to obchodziło - prychnęła Claire.

- Nie obchodzi. Ale Monica chciała wiedzieć.

- Przeżył. - Tyle to Monica mogła się dowiedzieć i bez jej pomocy, więc nie zdradzała żadnych sekretów, a poza tym nic chciała, żeby Jennifer stała tak blisko

niej. Monica była odrażająca, ale przynajmniej to była Odrażająca Samica Alfa. Jej dwie przyboczne były żalodne i naprawdę dziwaczne.

Jennifer szła za nią. Claire przystanęła i odwróciła się do niej. Stały tak na chodniku, w pełnym świetle jesiennego słońca, co przynajmniej oznaczało, że żaden z wampirów raczej się do niej nie podkradnie, kiedy Jennifer będzie odwracała jej uwagę.

- Posłuchaj - powiedziała Claire. - Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą ani z Monica, jasne? Nie chcę się zaprzyjaźniać. Nie chcę, żebyście mi się podlizywały tylko dlatego, że stałam się kimś czy co tam.

Jennifer też raczej nie wyglądała, jakby miała ochotę się podlizywać. Miała tak nadętą i niechętną minę, jak to tylko możliwe u takiej eleganckiej, zadbanej i zamożnej dziewczyny - niezłe osiągnięcie.

- Śnij dalej, beznadziejo. Nie obchodzi mnie, kto jest twoim Opiekunem, zawsze będziesz tylko nieudacznicą z jakiegoś parkingu dla przyczep samochodowych. Tyle że z manią wielkości. Przyjaźń? Nie przyjaźniłabym się z tobą, gdybyś była ostatnią oddychającą istotą w tym mieście.

- Chyba że Monica ci każe - dorzuciła Claire z pogardą.

- Dobra, znaczy, że nie chcesz się wymieniać pierścionkami przyjaźni. To po co zawracasz mi głowę?

Jennifer patrzyła na nią gniewnie przez kilka chwil, uparta i zirytowana, a potem odwróciła wzrok.

- Jesteś bystra, tak? Znaczy masz niezłą mózgowicę?

- Ale co to ma wspólnego z całą resztą?

- Nie chodzisz na zajęcia z dwóch przedmiotów, na które chodziliśmy razem. Musieli ci już je zaliczyć.

Claire o mało nie parsknęła śmiechem.

- Potrzebujesz korepetycji?

- Nie, idiotko. Chcę rozwiązań testów. Słuchaj, nie mogę dostać mniej niż czwórki. To taka zasada, albo mój Opiekun przestanie mi opłacać studia. A ja chcę skończyć studia, nawet jeśli nic z tym potem nie zrobię w tym beznadziejnym mieście.

- Na twarzy Jennifer drgnął mięsień. - Ja nie rozumiem tej całej ekonomii. To sama matma, Adam Smith, bla, bla, bla. I w ogóle, do czego mi się to ma kiedyś przydać?

Jennifer prosiła ją o pomoc. Może nie otwartym tekstem, ale to była prośba o

pomoc i Claire na parę uderzeń serca straciła równowagę. Najpierw Monica, a teraz Jennifer. Co potem, bukiet kwiatów i czekoladki od Olivera?

- Nie mogę dać ci rozwiązań testów - powiedziała. - Nie dałabym ci ich nawet, gdybym mogła. - Claire odetchnęła głęboko. - Posłuchaj, pewnie tego pożałuję, ale jeśli naprawdę potrzebujesz pomocy, to przejrzę z tobą notatki. Raz. Aha, i zapłacisz mi za to. Pięćdziesiąt dolarów. - Wzięła tę kwotę z sufitu, ale było jej naprawdę wszystko jedno, czy Jennifer się zgodzi.

A Jennifer ewidentnie się nad tym zastanawiała, przez długą chwilę, ale wreszcie skinęła głową.

- Common Grounds - zaproponowała. - Jutro, o drugiej.

- W zasadzie to była najbezpieczniejsza pora na wychodzenie z domu, pod warunkiem że za długo im to nie zajmie. Claire nie skakała z radości na myśl o ponownych odwiedzinach w kawiarni Olivera, ale jak przypuszczała, w mieście niewiele było miejsc, w których Jennifer chciałaby się spotkać. Poza tym Claire miała stamtąd blisko do domu.

- Druga - powtórzyła Claire i zastanowiła się, czy powinny teraz uścisnąć sobie ręce, czy coś. Ale widać nie, bo Jennifer odrzuciła włosy do tyłu i odeszła najwyraźniej zadowolona, że ma już sprawę za sobą. Wskoczyła do czarnego kabrioletu i odjechała z piskiem opon.

A Claire stała i rozważała powrót do domu piechotą. Spacer przez Morganville, gdzie Jason nadal grasował.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do jedyne go taksówkarza w mieście, ale powiedział jej, że dzisiaj ma wolne i się rozłączył.

Zadzwoniła więc do Trávisa Lowe'a.

Posterunkowy Lowe nie był zbyt szczęśliwy w roli prywatnego taksówkarza Claire. Widziała to, bo zachowywał się inaczej - zawsze był wobec niej miły i nieco zabawny, a teraz zatrzymał niebieskiego forda przy krawężniku i rzucił ostro:

- Wsiadaj. - Ruszył, zanim zdążyła zapiąć pas. - Wiesz, że mam stałą pracę, prawda?

- Przepraszam pana. - To „pan” wrywało jej się odruchowo, niezależnie jak bardzo próbowała, nie umiała pozbyć się tego przyzwyczajenia. - Po prostu pomyślałam, że nie powinnam wracać do domu piechotą, skoro Jason...

- Myśl właściwa, pora niedobra - powiedział nieco łagodniejszym tonem. Był zmęczony i cerę miał ziemistą, a pod oczami ciemne kręgi, zupełnie jakby od kilku dni

nie spał. Przydałby mu się prysznic i golenie. Prysznic zresztą chyba bardziej niż golenie. - Jak Shane?

- Lepiej. Pielęgniarka mówiła, że wszystko będzie dobrze, tyle że to trochę potrwa.

- Dobra wiadomość. Mogło się potoczyć inaczej. Dlaczego wracaliście do domu piechotą?

Zaczęła się wiercić na siedzeniu. W przeciwieństwie do samochodów wampirów, z tymi ich przyciemnianymi szybami, w samochodzie Lowe'a blask słońca zbyt mocno raził.

- No cóż, chcieliśmy, żeby nas ktoś podwiózł - tłumaczyła. Z perspektywy czasu żadne wyjaśnienie nie wydawało się właściwe. Nie wspomniała o tym, że próbowała się dodzwonić i do Lowe'a, i do Joego Hessa. Nie ma sensu wzbudzać w nich poczucia winy. Jeszcze większego. - Pomyśleliśmy, że jak jesteśmy we trójkę...

- Niezły plan, gdyby chodziło o jakieś inne dzieciaki. Ale wy ściągacie na siebie kłopoty podniesione do trzeciej potęgi. Nie jestem matematycznym geniuszem, ale to zdaje się jakaś duża liczba. - Spojrzenie miał chłodne i odległe, a jej się wydało, że on zupełnie teraz nie myśli o niej. - Posłuchaj, musimy na moment przystanąć. Już i tak jestem spóźniony. Zostaniesz w samochodzie, dobrze? Po prostu nie wysiadaj. Siedź w środku.

Pokiwała głową. Kilka razy skręcił, wjeżdżając w dzielnicę mieszkalną Morganville, której nie znała. Była zapuszczona i stara, z rozwalającymi się parkanami, na których jakieś gangi powypisywały swoje, teraz wyblakłe od słońca, hasła. Domy nie prezentowały się lepiej. W większości okien zamiast zasłon wisiały zwykłe prześcieradła.

Zaparkował przed jednym z domów, wysiadł i powiedział:

- Zamknij okno i zamek w drzwiach.

Posłuchała polecenia i patrzyła, jak szedł wąskim, nierównym chodnikiem w stronę frontowych drzwi. Otworzyły się, kiedy drugi raz zapukał, ale nie widziała tej osoby w środku, a potem Lowe zamknął drzwi za sobą.

Claire zmarszczyła brwi. Czekala na niego i zastanawiała! się, co tam robi - pewnie jakieś policyjne sprawy, ale w Morganville mogło to oznaczać wszystko, od biegania na posyłki dla wampirów po łapanie zbiegłych psów.

Nie wracał. Zerknęła na zegarek i przekonała się, że minęło ponad dziesięć minut. Kazał jej siedzieć w samochodzie, ale jak długo? Gdyby udało jej się wziąć taksówkę albo chociażby pójść pieszo, już by była w domu.

A w samochodzie zaczynało się robić gorąco.

Kolejnych dziesięć minut i zaczęła się niepokoić. Okolica wydawała się odludna, ludzi na ulicy nie było, mimo że był dzień. Nawet jak na Morganville to się wydawało nienormalne. Nie знаła tej dzielnicy, nigdy tu wcześniej nie była i zastanawiała się, co się tutaj dzieje.

Zanim Claire zdążyła zrobić coś naprawdę głupiego, na przykład wybrać się na poszukiwania, posterunkowy Lowe wyszedł z domu i stukaniem w okno dał jej znać, żeby zwolniła zamki, a potem wszedł do samochodu. O ile to możliwe, minę miał jeszcze bardziej ponurą. Wręcz przybitą.

- Coś się stało? - spytała. W oknie domu zasłona z prześcieradła drgnęła, jakby ktoś ich podglądał. - Proszę pana?

- Przestań mówić do mnie: „proszę pana” - uciął Lowe i odpalił silnik. - A poza tym to nie twoja sprawa. Nie wtrącaj się.

Na dłoni miał krew. Kostki otarte. Lowe zerknął na Clair - z ukosa, kiedy samochód przyspieszał na opustoszałej ulicy.

- Bił się pan? - spytała.

- A co ja ci przed chwilą powiedziałem? - Posterunkowy Lowe jeszcze nigdy się nie wściekał, nie na nią, ale widziała teraz, że za moment straci panowanie nad sobą. Pokiwała głową i spojrzała przed siebie, próbując nie zadawać pytań. Nie było to łatwe. Cisnęły jej się na usta dziesiątki pytań. Chciała go zapytać, gdzie zniknął posterunkowy Hess. Chciała się dowiedzieć, kto mieszka w tamtym domu i po co Lowe tam poszedł. I kogo uderzył tak, że aż sobie pościierał kostki. I dlaczego był tak okropnie zły, że aż na nią warczał.

Lowe niczego jej nie wyjaśnił. Zatrzymał samochód nagłym wdepnięciem hamulca i Claire zamrugała, widząc, że jest już pod Domem Glassów.

- Jeśli znów będziesz potrzebowała gdzieś jechać, dzwoń po taksówkę - mruknął Lowe. - Przez resztę dnia będę bardzo zajęty.

Wysiadła i chciała mu podziękować, ale on nie słuchał. Już otwierał klapkę telefonu komórkowego i jedną ręką wybierał numer, drugą trzymał kierownicę samochodu. Ledwie zdążyła zatrzaskać drzwi od swojej strony, kiedy już ruszał.

- Do widzenia - powiedziała cicho w przestrzeń i wzruszywszy ramionami, poszła do domu.

Michael siedział w salonie i grał na gitarze. Podniósł oczy i skinął do niej głową, kiedy weszła do środka.

- Eve pojechała do szpitala. Musiałyście się minąć.

Claire westchnęła i rzuciła się na kanapę.

- Nie wpuszczą jej do Shane'a. Skończyły się godziny odwiedzin. - Ziewnęła i skuliła się, podciągając nogi pod siebie.

Wszystko ją bolało, wszystko wydawało się za jasne i nie takie jak trzeba. - Michael?

- Tak? - Pracował nad jakąś sekwencją akordów i koncentrował się na muzyce; jego odpowiedź wcale nie znaczyła, że będzie jej słuchał.

- Nie powinienes iść spać? Znaczy, wampiry nie...? A więc jednak słuchał.

- Że niby śpią w ciągu dnia? Większość tak. Ale ja nie mogłem. Ciągłe myśle... - Akord zabrzmiał minorowo, następny fałszywie i Michael się skrzywił. - Ciągłe myślę, że do tej pory powinienem był już wyjaśnić to durne nieporozumienie z Shane'em. Nie wiem, czy jemu to przejdzie, serio. Chyba się z tym nie pogodzi. A ja się z tym fatalnie czuję. Nie mogę przestać myśleć... Ja nie chcę, żeby on to robił. Zwłaszcza kiedy nie mogę go ochronić.

Claire oparła głowę o wypłowiałą czarną poduszkę na kanapie. Pachniała trochę rozlaną colą, ale przede wszystkim pachniała Shane'em i z przyjemnością wtuliła w nią twarz, i głęboko wciągnęła powietrze. Chociaż przez sekundę czuła się prawie tak, jakby on tu był.

- Nienawidziłby cię mniej, gdyby cię tak bardzo nie kochał. Albo chociaż trochę mniej - powiedziała. - Jakoś sobie damy radę. Przecież będziemy się trzymali razem, prawda? Całą czwórka?

Michael uniósł wzrok i przez chwilę nie miała pojęcia, co od niego usłyszy, ale wreszcie powiedział:

- Będziemy się trzymać razem. Niezależnie od wszystkiego.

Zabrzmiało to jak kłamstwo i pożałowała, że to od niego usłyszała.

Zasnęła, słuchając, jak komponował nową piosenkę, i przyśniły jej się wibrujące struny i portale, które prowadziły donikąd, a zarazem wszędzie. Ktoś jej się przyglądał, czuła to wyraźnie, ale to nie był Michael. To nie było miłe ani przyjemne, nie było bezpieczne. Coś jej groziło, coś było strasznie, strasznie nie w porządku...

Drgnęła tak mocno, że o mało nie spadła z kanapy. Michaela nie było, a jego gitara leżała w pokrowcu na stoliku. Claire zmrużyła oczy, patrząc na zegar. Dochodziła druga, przespała więc całą porę lunchu, ale to nie głód ją obudził. Coś usłyszała.

Znów rozległ się ten odgłos, mocnego stukania do drzwi. Ziewnęła i wysunęła się

spod koca, którym Michael ją okrył, i nadal pocierając zaspane oczy, podreptała do drzwi.

Musiała wspiąć się na palce, żeby wyrzeć przez wizjer. Jakiś facet, którego nie umiała rozpoznać - przynajmniej na pewno nie Jason. Z tego się ucieszyła. Claire obejrzała się przez ramię, ale Michael najwyraźniej nie usłyszał pukania. Nie miała pojęcia, gdzie zniknął.

Otworzyła drzwi. Facet stojący na werandzie podniósł wzrok i podał jej wypchaną kopertę oklejoną nalepkami. Wzięła ją od niego i zobaczyła na niej własne nazwisko.

- Och - powiedziała zaniepokojona. - Dziękuję.

- Nie ma sprawy, Claire - odparł. - Do zobaczenia.

Powiedział to o wiele za bardzo poufałym tonem. Uniosła szybko głowę i wpatrzyła się w niego, ale nie poznawała go. Był po prostu... zwyczajny. Przeciętnego wzrostu, przeciętnej wagi, wszystko w nim było przeciętne. Na rękę miał srebrną bransoletkę, więc był człowiekiem, nie wampirem.

- My się znamy? - spytała. Nieco przekrzywił głowę, ale nic nie powiedział. Odwrócił się tylko i ruszył chodnikiem w stronę ulicy. - Hej, zaraz! Jak się nazywasz?

Pomachał ręką, ale nie przystanął. Wyszła parę kroków dalej na gorące popołudniowe powietrze, zamyślona, ale nie miała butów, a beton aż parzył. Na bosaka biec za nim nie mogła, podsmażyłaby sobie stopy jak bekon.

Zawróciła do chłodnego, ciemnego wnętrza domu i ode - tchnęła z ulgą, czując zimne drewno posadzki pod stopami. Popatrzyła na trzymaną w ręku kopertę i nagle ogarnęła ją chęć, żeby ją wypuścić z rąk i się od niej odsunąć. Nie wiedziała, kim jest ten facet, i to było naprawdę dziwne, że nie chciał jej odpowiedzieć. A jeśli coś w Morganville okazywało się dziwne, to raczej zwykle źle to wróżyło.

Zatrzasnęła drzwi, zamknęła zamki, wzięła głęboki oddech i oddarła róg koperty. Nie poczuła odoru krwi ani niczego gnijącego, co już było jakimś plusem. Ostrożnie ścisnęła boki koperty, żeby zajrzeć do środka, ale zobaczyła tam tylko kartkę. Wytrząsnęła ją do ręki i poznała ten papier od razu - gruby, drogi papier, kremowej barwy, ozdobiony tym samym symbolem, który nosiła na bransoletce.

Kartka była od Amelie. A to znaczyło, że facet, który ją dostarczył, był kimś zaufanym, przynajmniej na razie.

- Wszystko w porządku? - Michael odezwał się z drugiego końca holu. Claire pisnęła, schowała list do koperty i odwróciła się w jego stronę.

- Jasne. To tylko poczta.

- Coś dobrego?

- Jeszcze nie wiem, nie zdążyłam przeczytać. Pewnie reklamy.

- Ciesz się, że nie masz do płacenia rachunków za elektryczność, wodę, kablówkę, Internet i wywóz śmieci - powiedział. - Słuchaj, idę na górę. Krzycz, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Jeśli jesteś głodna, w lodówce jest żarcie. - Na chwilę zamilkł.

- Nie otwieraj pojemnika, który stoi z tyłu na górnej półce.

- Michael powiedz mi, że nie przechowujesz krwi w naszej lodówce!

- Mówiłem ci, że masz go nie otwierać, więc nigdy się nie dowiesz.

- Ty draniu! - No jasne, że był draniem, był w końcu wampirem. - I nie mówię, że to komplement!

- Zjedz coś! Ja idę spać! - Usłyszała, że jego drzwi zamykają się, więc na dobrą sprawę została sama.

Claire wyjęła list i rozłożyła go. Papier pachniał nieznacznie zduszonym zapachem róż, jakby przechowywano go w kufierku razem z zasuszonymi kwiatami. Zastanowiła się, ile ta kartka ma lat.

List był krótki i prosty, ale po przeczytaniu zrobiło jej się zimno na całym ciele.

Brzmiał tak:

„Nie jestem zadowolona z twoich postępów w nauce. Sugeruję, żebyś wygospodarowała dodatkowy czas i nauczyła się, ile tylko zdołasz. Czas ucieka. Nie obchodzi mnie, jak to zorganizujesz, ale oczekuję, że za dwa dni zademonstrujesz mi przynajmniej pobieżną znajomość tego, czego cię uczą. Nie zawracaj głowy Michaelowi. Nie wolno narażać go na ryzyko”.

I nic więcej. Claire wpatrywała się w to piękne pismo przez kilka sekund, a potem złożyła list i wsunęła z powrotem do koperty. Ciągłe czuła zmęczenie i głód, ale przede wszystkim ogarniało ją przerażenie.

Amelie była niezadowolona.

Niedobrze.

Dwa dni. A Michael mógł z nią jeździć tylko wieczorami...

Nie mogła zwlekać.

Claire zajrzała do plecaka. Pojemnik z czerwonymi kryształkami nadal tam był, bezpiecznie zapięty w kieszeni.

Gdyby wzięła samochód Michaela... Nie, nie mogła. Nie zdołałaby zobaczyć nic przez te ciemne szyby, nawet gdyby ufała swoim umiejętnościom kierowcy. A

posterunkowy Lowe jej nie podwiezie. Mogła próbować dzwonić do Hessa, ale zachowanie Lowe'a jakoś ją zniechęciło.

No ale przecież nie mogła wyjść tak zupełnie sama.

Z westchnieniem zadzwoniła do Eddiego, taksówkarza.

- Co? - rzucił. - Mnie się nie należy dzień wolnego? Czego chcesz?

- Eddie, przepraszam. Bardzo przepraszam. Mam pilną sprawę. - Claire pospiesznie zajrzała do portfela. - Hm, to krótki kurs zapłacę ci podwójnie, dobrze? Proszę.

- Podwójnie? Nie przyjmuję czeków.

- Wiem o tym. Gotówką.

- I nie czekam. Zabieram, odwożę, odjeżdżam.

- Eddie! Podwójna opłata! Bierzesz kurs czy nie?

- Nie wyskakuj z majtek. Adres?

- Dom Michaela Glassa.

Eddie westchnął tak ciężko, że zabrzmiało to jak powiew huraganu.

- To znowu ty. Dobra, podjadę. Ale przysięgam, to już ostatni raz. Żadnych więcej kursów w soboty, jasne?

- Tak! Tak, jasne. Ten ostatni raz.

Eddie się rozłączył. Claire przygryzła wargę i wsunęła list od Amelie do plecaka. Miała nadzieję, że Michael faktycznie poszedł spać. Bo jeśli podsłuchał ją choćby przypadkiem, to będzie się potem miała z czego tłumaczyć.

Eddie pojawił się po pięciu minutach. Czekwała na niego im chodniku, wskoczyła teraz na tylne siedzenie starej taksówki - prawie już nie żółtej po tym ciągłym wystawianiu na promieniowanie słoneczne - i wręczyła Eddiemu całą gotówkę, ile miała przy sobie. Przeliczył ją. Dwa razy.

A potem coś mruknął i uruchomił licznik.

- Adres?

- Dom Katherine Day. - Jednego Claire się nauczyła co do kursów z Eddiem. Człowiek nie potrzebował adresów, wystarczyły nazwiska. Znał wszystkich i wiedział, gdzie kto mieszka.

A przynajmniej znał wszystkich miejscowych. Studentów podrzucał na kampus i z miejsca o nich zapominał.

Eddie zarzucił ramię na oparcie siedzenia i spojrzał nią chmurnie. Był postawnym facetem z szopą ciemnych włosów i gęstą brodą. Ledwie widziała jego oczy, kiedy

zmarszczył brwi, Eddie brwi marszczył bardzo często.

- Dom Dayów. Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

- Mówiłem, że nie będę czekał.

- Eddie, jedźmy!

- Twoja buda, twoje pieski - powiedział i wdepnął gazu na tyle mocno, że aż poleciała do tyłu.

ROZDZIAŁ 12

Do szopy Myrnina w zasadzie łatwo było się dostać. Cały kłopot, tak w sumie, polegał przecież na tym, jak się z niej wydostać. A nie jak wejść. Światło przecinało wąskimi paskami mrok w tych miejscach, gdzie przeświecało przez szpary w deskach, ale to nie wystarczyło, żeby coś widzieć, a nie miała większej ochoty buszować po kryjówce Myrnina na oślep. Czy nawet w półmroku. Na półce koło drzwi znalazła jakąś latarkę i włączyła ją. Wyraźny krąg jasnego światła omiótł zakurzoną podłogę i oświetliła sobie drogę prowadzącą po wąskich stopniach w dół.

Schodziła bardzo powoli.

- Myrnin? - odezwała się cicho, bo na pewno ją słyszał, wspominał jej, że słuch ma bardzo wrażliwy ze względu na panującą tu ciszę i brak towarzystwa.

Nie odpowiadał.

- Myrnin? - U dołu schodów Claire dostrzegła krawędź, za którą posadzka zalana była światłem. Wyglądało na to, że pozapalał wszystkie światła; miały dziwną barwę, stanowiły mieszankę jarzeniówek i lamp olejowych, świec i żarówek. - Myrnin, to ja, Claire. Gdzie jesteś?

O mało go nie przeoczyła, trwał w kompletnym bezruchu. Zwykle Myrnin był ciągle w ruchu, jak koliber, od jednego przyciągającego go przedmiotu do drugiego. Ale ta postać, która stała pośrodku pomieszczenia, chociaż z wyglądu przypominała Myrnina - stała bez ruchu. Wampiry oddychają płytko; ludzku krew, którą piją, potrzebuje tlenu, uznała Claire, chociaż najwyraźniej mniej tlenu niż normalny człowiek. Jednak jego pierś nie poruszała się, oczy miał otwarte i ani drgnął. Nawet żeby na nią spojrzeć. Całą uwagę skupiał na czymś innym, patrząc w bok.

- Myrnin? - Powoli położyła plecak. - Tu Claire. Czy mnie słyszysz?

Jego klatka piersiowa uniosła się ledwie dostrzegalnie i szepnęła:

- Wyjdź stąd. Natychmiast.

Z szeroko otwartych oczu popłynęły mu po białych policzkach łzy.

- Co się stało? Co się dzieje? - Zapomniała o ostrożności i podeszła do niego. - Myrnin, proszę powiedz mi, co jest nie tak?

- Ty - warknął. - To przez ciebie.

A potem po prostu osunął się na ziemię. Padł, bo kolana się pod nim ugięły. Ten upadek pozbawiony był gracji i normalny człowiek przy czymś takim zrobiłby sobie krzywdę. Głowa Myrnina uderzyła o posadzkę z głośnym trzaskiem, a Claire

przykucnęła koło niego i położyła mu dłoń na piersi - niepewna, co właściwie robi ani czego szuka. Przecież nie pulsu - wampiry go nie miały, a przynajmniej nie taki, jaki mógłby wyczuć człowiek. Wiedziała to, bo przecież przytulała się do Michaela.

- Nie mogę już - jęknął Myrnin. Chłodną ręką złapał ją błyskawicznie za ramię, dość mocno, żeby zostawić siniaki. - Po co tu przyszedłaś? Miałaś nie przychodzić!

- O czym ty mówisz? - Claire próbowała wyrwać rękę, ale równie dobrze mogła się szarpać z liną do zawieszania mostów. Gdyby chciał, Myrnin mógłby zgruchotać jej kości. Albo nawet niechcący, przez nieuwagę. - Myrnin, to mnie boli. Proszę...

- Po co?! - Potrząsnął nią, a ona dostrzegła panikę w jego oczach. A wtedy odetchnęła głęboko i zupełnie zapomniała o bólu, jaki jej sprawiał. - Miałaś tu nie wracać!

- Amelie wysłała mi list. Napisała, że zostały mi tylko dwa dni na naukę...

Myrnin jęknął i puścił ją. Zakrył dłońmi oczy, otarł twarz i powiedział:

- Pomóż mi wstać. - Claire ujęła go pod ramiona i jakoś jej się udało postawić go na nogi, oparł się o szafkę, która była chyba przytwierdzona nitami do podłogi. - Pokaż mi ten list.

Wróciła do schodów, złapała plecak i wyjęła z niego kartkę od Amelie. Myrnin rozłożył ją drżącymi rękoma i przyjrzał jej się uważnie.

- Co? To jakaś fałszywka?

- Nie - odparł powoli. - Przysłała cię do mnie. - Upuścił kartkę na kolana, jakby stała się nagle nieznośnie ciężka, i oparł głowę o szafkę. - A więc straciła nadzieję. Reaguje pod wpływem lęku i paniki. To do niej niepodobne.

- Nic nie rozumiem!

- Właśnie w tym problem - stwierdził Myrnin. - Nie rozumiesz. I nie zrozumiesz, dziecko. Tłumaczyłem jej to już wcześniej, nawet najbystrzejszy człowiek nie zdoła uczyć się tak szybko. A poza tym jesteś jeszcze taka młoda. - Głos miał zmęczony i bardzo smutny. - A teraz nadchodzi już koniec, Claire. Pomyśl sobie: Amelie wysłała cię do mnie, chociaż wie, że nie wierzę, żebyś mogła rozwiązać moje problemy. Dlaczego to zrobiła? Wiesz, kim jestem, co robię, czego pragnę. Dlaczego pchałaby mi ciebie przed oczy, gdyby nie chciała, żebym... żebym... - Zdawało się, że błagają, by go zrozumiała, chociaż nadal mówił bez sensu. - Ty nie wiesz, do czego ona jest zdolna, dziecko. Nie masz pojęcia!

W jego głosie i na twarzy było tyle lęku, że ogarnęły ją teraz naprawdę złe przeczucia.

- Jeśli nie chciała, żebyś mnie uczył, to po co by mnie przysyłała?

- Pytanie brzmi, dlaczego, po tym, jak dbała o to, żebyś zawsze miała jakąś eskortę, przysłała cię do mnie samą?

- Ja... - urwała, przypomniawszy sobie coś. - Sam powiedział mi, że bym cię zapytała o tych innych. O twoich uczniów. Powiedział, że nie byłam pierwsza...

- Samuel jest inteligentny. - Myrnin mocno zacisnął powieki. - Jaśniejiesz. Jaśniejiesz jak najwspanialsza lampa. Jest w tobie tyle możliwości. Tak, byli już inni, których Amelie przysyłała do mnie na naukę. Wampiry i ludzie. Pierwszego zabiłem niemal przypadkiem, rozumiesz, ale ten efekt... Widzisz, im bardziej inteligentny człowiek, tym dłużej trwa u mnie okres przytomności umysłu, a przynajmniej tak nam się początkowo wydawało. Dzięki temu pierwszemu przeżyłem niemal cały rok bez ataków. Drugi... wystarczył zaledwie na parę miesięcy, i tak dalej, w coraz krótszych cyklach, w miarę jak moja choroba postępowała.

- Wysłała mnie tu na śmierć - domyśliła się Claire. - Chce, żebyś mnie zabił.

- Tak - przyznał się Myrnin. - Sprytna jest, prawda? Tak dobrze rozumie moją desperację. A ty jaśniejiesz tak mocno, Claire. Pokusa jest niemal... - Pokręcił głową gwałtownie, jakby chciał wyrzucić z niej jakąś myśl. - Posłuchaj mnie. Ona stara się odsunąć w czasie to, co nieuniknione, ale ja nie mogę się zgodzić na taką wymianę. Twoje życie jest zbyt cenne, dopiero się zaczyna; nie mogę cię z niego okraść, żeby zyskać pół dnia albo godzinę. To nie ma sensu.

- Ale... Wydawało mi się, że mówiłeś, że mogę się nauczyć...

Westchnął.

- Chciałem w to wierzyć, ale to niemożliwe. Owszem, mógłbym cię uczyć, ale byłabyś niczym więcej jak uzdolnionym naśladowcą, maszyną, a nie samodzielnym inżynierem. Są rzeczy, których osiągnąć nie możesz, Claire, przynajmniej jeszcze nie przez całe lata. Przykro mi.

Myrnin w zasadzie mówił jej, że jest głupia, i Claire poczuła gniew.

- Puść moją rękę! - rzuciła ostro i zaskoczyła go na tyle, że obojętność w jego oczach została zastąpiona przez troskę. Powoli rozluźnił uścisk palców. - Wyjaśnij mi to. Nie jesteś w końcu wszechwiedzący, może o czymś zapomniałeś. Myrnin uśmiechnął się, ale był to tylko cień jego zwykłego, szalonego uśmiechu.

- Istotnie, mogłem o czymś zapomnieć - zgodził się. - Ale, Claire, posłuchaj uważnie: mięśnie już teraz przestają mnie słuchać. Jeszcze trochę, a nie będę mógł chodzić, a potem stracę głos. Później przyjdzie ślepotą i szaleństwo i skończę w

ciemnym lochu, krzycząc, bo będę umierał z głodu. Gdyby istniał choć cień szansy na uniknięcie takiego losu, nie sądził, że bym się jej chwycił?

Powiedział to tak spokojnie. Jakby było już po wszystkim.

- Nie - powiedziała Claire. Nie mogła się powstrzymać.

- Nie, nie pozwolę, żeby to się stało. - Myślała przedtem, że on jakoś tak po prostu... zmarnieje. Bez cierpień. Ale takie tortury. .. Nie zasługiwał na nie. Nawet Oliver nie zasługiwał na taki los. - Jak... Czy wiesz, co powoduje chorobę? Myrnnin uśmiechnął się, ale to był gorzki uśmiech.

- Kiedyś myślałem, że tak. Amelie wie wiele z tego, co ja już zapomniałem, ale może znajdziesz jakieś wskazówki w moich notatkach. Oczywiście, byłem ostrożny w zapiskach, ale czytając uważnie dojdiesz do moich teorii. W każdym razie, to już bez znaczenia. Czuję, że zapadam się w mrok. Nie ma z niego powrotu.

- Skąd wiesz?!

- Widziałem, jak to wygląda. Zawsze jest tak samo. Amelie osadzi mnie w zamknięciu, bo nie będzie miała wyboru; musi utrzymać ten sekret, a to potrwa bardzo długo, zanim umrę, bo jestem bardzo stary. - Pokręcił głową. - Nieważne. Już nie. Liczy się tylko to, żebyś wróciła, dziecko, do domu i już nigdy tu nie wracała. Nie umiem sobie wyobrazić, że znajdę w sobie siłę, żeby zrezygnować z tak cudownego podarunku po raz drugi.

Było jej głupio. Nie lubiła Myrnnina, przecież nie mogła go lubić. Przerzął ją, był dziwny i nie raz, a przynajmniej dwa razy próbował ją zabić.

Więc dlaczego teraz zbierało jej się na płacz?

- A jeśli weźmiemy kryształki? - zapytała. Myrnnin zmrużył oczy. - Uczyłam się, kiedy kazałeś mi je wziąć. Może weźmiemy je teraz? Oboje? Czy to pomoże?

Już kręcił głową przecząco.

- Claire, to głupia prośba. Nawet jeśli będziemy kontynuować badanie nad lekiem, jest za mało czasu...

- To lekarstwo na twoją chorobę! - Poczowała przyływ nadziei, szperając w plecaku i wyciągając pojemnik z kryształkami. - Czy nie nad tym pracowałeś do tej pory?

- Fakt. Mądrze się domyśliłaś. Ale rzecz w tym, że opracowanie kryształków potrwało lata, a to tylko środek. Nawet największa dawka za parę godzin przestanie działać na nas oboje, a konsekwencje dla ciebie...

- A jeśli uda nam się znaleźć lekarstwo, prawdziwe lekarstwo?

- Myśleć, że zdołamy dopracować do perfekcji taki projekt w marnych kilka

godzin, to naiwność. Nie, lepiej będzie, jak pójdziesz. Zachowałem się dziś szlachetnie. Naprawdę powinnaś dać mi się nacieszyć tym stanem, póki mogę. - Popatrzył na pojemnik w jej dłoni i wydało jej się, że dostrzega w Myrnie błysk tego żywego zainteresowania, jakie napędzało go w czasie ich poprzednich spotkań. - Ale może... Gdybym pokazał ci wyniki badań, żebyś mogła je choć częściowo od tego miejsca kontynuować... Dla innych.

- Sam mówił, że wszyscy jesteście chorzy. Nawet Amelie. Myrnie pokiwał głową.

- Tak jak ja choruję, zachorują wszyscy. Każdy wampir zachoruje w ciągu najbliższych dziesięciu lat, jeśli postęp choroby nie zostanie zatrzymany.

Dziesięć lat! Nie, tylko nie Michael. Nie mogła stać z boku i nie próbować tego powstrzymać, choćby tylko dla niego.

- Amelie sprowadziła nas do Morganville, żeby kupić nam trochę czasu, żeby znaleźć jakiś sposób, który zapewni nam przetrwanie. Wierzyła... Wierzyła, że klucz do tej plagi mogą posiadać ludzie, i wierzyła też, że nie stać już nas na to, żeby żyć jak do tej pory, polując nocami i trzymając się w ukryciu. Myślała, że ludzie i wampiry będą mogły jakoś współistnieć, że razem z ludźmi znajdą lek na naszą chorobę. Szybko okazało się, że to niemożliwe, oczywiście. Kiedy powiedziała o tym pierwszym paru wampirom, zdała sobie sprawę, że mogą oszaleć, wiedząc, co je czeka, i że zaczną zabijać bez opamiętania. Więc trzymała to w sekrecie. To straszny sekret. Mówiła wampirom część prawdy, że poszukuje leku na to, co sprawia, że jesteśmy sterylne. Ale nigdy nie powiedziała całej prawdy.

- A więc... Morganville to coś w rodzaju laboratorium. A ona usiłuje znaleźć lek i jednocześnie wszystkich was ochraniać.

- Właśnie tak. - Myrnie potarł twarz dłońmi. - Claire, zaczynam się męczyć. Daj mi trochę kryształków.

Wysypała kilka na jego dłoń. Spojrzał jej w oczy.

- Więcej - poprosił. - Choroba mnie niszczy, będę potrzebował więcej, żeby choć krótko zachować przy tobie przytomność.

Wysypała mniej więcej łyżeczkę. Myrnie wziął kryształki do ust, skrzywił się, czując ich gorycz, i przełknął. Przeszedł go dreszcz, a Claire autentycznie widziała, jak opuszcza go znużenie i oszołomienie.

- Znakomicie. To było naprawdę świetne odkrycie. Trochę żal tego lekarza, był naprawdę szalenie bystry. - O Boże. Myrnie zaczynał teraz wpadać w fazę maniacką pod wpływem leku. To było niebezpieczne. - Ty też jesteś bardzo bystra. Może

mogłabyś odczytać notatki.

- Ja... Ja dopiero zacznę biochemię...

- Nonsens, twoje wrodzone zdolności są ewidentne. Wskazał na pojemnik z kryształkami, który trzymała w dłoni.

- Weź trochę.

- Nie. To twoje lekarstwo, nie moje.

- Ale pomoże ci dotrzymać mi kroku, a mamy bardzo niewiele czasu, moja mała Claire, bardzo niewiele. - Oczy miał jasne i błyszczące jak u ptaka i było w nich mniej więcej tyle samo uczucia. - Możesz mi pomóc na dwa sposoby. Albo weźmiesz kryształki, albo pomożesz mi przedłużyć okres jasności umysłu w inny sposób.

Usiadła na piętach.

- Powiedziałeś, że tego nie zrobisz.

- Istotnie. Ale widzisz, ta choroba robi ze mnie sentymentalnego głupca. Jeśli mam znaleźć kogoś, komu przekażę to, co sam wiem, i jednocześnie znaleźć lekarstwo dla moich braci, to nie mogę pozwalać, żeby ograniczały mnie takie drobne zastrzeżenia. - Zerknął na nią wzrokiem obojętnym i głodnym. - Płoniesz bardzo jasnym światłem, wiesz.

- Już mówiłeś - mruknęła. Nienawidziła tego. Nienawidziła tych zmian w Myrnie, tych przeskoków od przyjaciela do wroga w ciągu zaledwie kilku minut. Który był prawdziwy?

A może żaden?

Claire wysypała pół łyżeczki kryształków na dłoń.

- Więcej - polecił Myrnie. Dodała jeszcze trochę, a on sięgnął, wyjął jej z ręki pojemnik i wysypał na jej dłoń całkiem sporo. - Masz mnóstwo nauki, a działasz z takimi ograniczeniami.

Lepiej dmuchać na zimne.

Nic chciała ich brać - znaczy trochę może i chciała, bo ten truskawkowy zapach kryształków przywołał wspomnienia o świecie, który wyglądał jak czysty diament. Nieskomplikowany. Zrozumiały.

Trudno czegoś takiego nie chcieć.

- Weź je albo ja będę musiał wziąć ciebie, Claire. Na tej szachownicy nie ma już innych ruchów.

Wysypała sobie kryształki na język i omal się nie zakrztusiła od ich goryczy. Przebijała przez truskawkowy aromat, zostawiała na języku niemiły posmak i przez

chwile Claire wydawało się, że dostanie mdłości...

A potem wszystko znów ujrzała w ostrym idealnym świetle.

Myrnin już nie wyglądał dziwacznie ani śmiesznie, stano - wił płonąca kolumnę energii ledwie ograniczoną ciałem. W jakiś sposób dostrzegła, że jest chory; widziała w nim ciemne plamy, jak zgniliznę u podstawy pnia drzewa. Pomieszczenie ogarnęła niesamowita jasność. To neurotransmitery, pomyślała. Jej myśli gnały w tempie milionów kilometrów na godzinę, aż jej się w głowie kręciło i traciła dech. Czas jej reakcji skrócił się z dziesięć razy.

Myrnin zerwał się na nogi, złapał ją za rękę i pociągnął do półek z książkami, w których zaczął gorączkowo szukać. Zeszyty, notatniki, skrawki zapisanego papieru. Dwa czarno oprawione notesy, takie same, w jakich Claire prowadziła notatki z zajęć w pracowni chemicznej. Nawet ze dwa tanie, niebieskie zeszyty, w jakich pisała na brudno eseje. Wszystko to zapisane było jego drobnym, idealnym pismem.

- Czytaj - powiedział. - Szybko.

Wystarczyło przewracać strony. Jej oczy rejestrowały obrazy jak aparat fotograficzny, a mózg działał tak szybko i sprawnie, że tekst rozumiała i zapamiętywała niemal natychmiast. Prawie dwieście stron przerzuciła tak szybko, jak tylko pozwalała na to sprawność palców.

- I co? - spytał Myrnin.

- Tu jest błąd - powiedziała i wróciła do pierwszej części zapisanego zeszytu. - O tu. Widzisz? Wzór jest zły. Zmienna różni się od poprzedniej wersji, a potem ten błąd powtarza się stale...

Myrninowi wyrwał się gwałtowny okrzyk, zupełnie jak u polującego sokoła. Wyrwał jej zeszyt z ręki.

- Tak! Tak, widzę to! Idiota. Nic dziwnego, że mi wystarczył tylko na parę dni. Ale ty, Claire, och, ty jesteś inna.

Wiedziała, że powinna się bać tego leniwego, groźnego uśmiechu, ale jakoś się nie bała. Też się uśmiechnęła.

- Dawaj następny. I zacznij robić więcej kryształków.

Kiedy ich działanie osłabło, pierwszy opadł z sił Myrnin. Wziął więcej, ale widziała, że tym razem nie działają już tak silnie. Reakcja się skracała. To dlatego ostatnim razem zażył tylko kilka, żeby przedłużyć ich skuteczność nawet za cenę słabszego działania.

Załamanie wyglądało jak wypadek, w którym samochód wali w mur z prędkością

stu kilometrów na godzinę.

Zaczął się od tego, że stracił równowagę, podparł się rękoma i strącił jakąś tackę ze stołu; próbował złapać ją w locie, co jeszcze godzinę temu udało mu się z łatwością, ale teraz kompletnie nie dał rady. Sfrustrowany popatrzył na ręce i gniewnie kopnął tackę. Poleciała przez pokój i walnęła w przeciwny ścianę z głośnym brzękiem.

Claire uniosła wzrok znad kryształków rozsypywanych właśnie na tacę do wysuszenia. Sama też czuła efekty - jej mózg, zwalniał, ciało zaczynało boleć. Myrnin musiał to odbierać znacznie silniej ze względu na chorobę. Źle zrobiliśmy, pomyślała. Źle, bo ta jego faza maniakalna nieuchronnie prowadziła do fazy demencji, a on tak bardzo pragnął znów czuć się sobą.

Ale schnące na tacy kryształki mogły to zmienić, a przynajmniej ona żywiła taką nadzieję. Przecież to nie Myrnin sit; pomylił, ale jego asystent - czy specjalnie, czy nie, Claire nic umiała stwierdzić. Ale kryształki z tej tacy będą skuteczniejsze, a ich działanie będzie dłuższe.

Myrnin znów odzyska równowagę.

- To żadne lekarstwo - odezwał się Myrnin, jakby czytał w jej myślach.

- Nie, ale kupi ci trochę czasu - odparła Claire. - Słuchaj, mogę przyjść jutro. Obiecuj mi, że tych stąd jeszcze nie ruszysz. Nie próbuj ich jeszcze brać, nie są gotowe. I są też mocniejsze, więc będziesz musiał zacząć od małej dawki i stopniowo się przyzwyczajać.

- Już ty mnie nie pouczaj! - warknął Myrnin. - Kto tu jest mistrzem? Kto tu jest uczniem?

Brzmiało to znajomo i niebezpiecznie. Opuściła głowę.

- Ty jesteś mistrzem. A ja muszę już iść. Przepraszam.

Przyjdę jutro, dobrze?

Nie odpowiedział. Nie odrywał od niej spojrzenia ciemnych oczu i nie umiała zgadnąć, co myśli. Ani nawet, czy w ogóle myśli. Wydawał się zawieszony na krawędzi.

Claire zabrała pojemnik starych kryształków i schowała do plecaka - nie zostało ich zbyt wiele, ale była jeszcze jedna czy dwie dawki dla nich obojga, a gdyby w czasie swojej fazy maniakalnej te mocniejsze zniszczył, mogą potrzebować tych. Powinna poprosić Amelie o sejf, gdzie mogłaby bezpiecznie przechowywać różne rzeczy...

- Dlaczego? - spytał Myrnin. Popatrzyła na niego i zmarszczyła brwi. - Dlaczego

nam pomagasz? Czy nie byłoby lepiej dla ludzi, gdybyśmy wszyscy umarli? Pomagając mi, pomagasz wampirom.

Claire wiedziała, co na jej miejscu zrobiłby Shane. Wyszedłby, uznając, że z którejkolwiek strony by spojrzeć, sytuacja jest wygrana. Eve pewnie zrobiłaby to samo, gdyby nie Michael.

A ona... Ona im pomagała. Pomagała. Nie umiała nawet wyjaśnić dlaczego, poza tym że chyba postąpiłaby źle, gdyby się od nich odwróciła. Nie byli całkiem źli, a ona nie była w stanie poświęcić takich przyjaciół jak Michael czy Sam dla jakiegoś większego dobra.

- Nie wiem - powiedziała Claire. - Wierz mi, sama nie jestem z tego powodu zbyt szczęśliwa.

- Robisz to, bo się boisz.

- Nie. Robię to, bo tego potrzebujecie.

Popatrzył tylko na nią, jakby nie mógł zrozumieć, co do niego mówi. Czas iść. Zadrżała, zarzuciła plecak na ramię i szybko ruszyła w stronę schodów. Ciągle się za siebie oglądała, ale Myrnin ani ruszył się z miejsca... Mimo to, za każdym razem, kiedy spoglądała, znajdował się bliżej. Wyglądało to jak jakaś dziecinna zabawa, tyle że śmiertelnie niebezpieczna. Kiedy na niego patrzyła, zastygał bez ruchu.

Claire odwróciła się i zaczęła iść do schodów tyłem, cały czas na niego patrząc. Myrnin zachichotał i ten odgłos odbił się echem po wnętrzu niczym szelest skrzydeł nietoperza.

Kiedy dotknęła piętami pierwszego stopnia, odwróciła się i puściła biegiem.

Mógł ją złapać, ale nie zrobił tego. Wypadła z drzwi szopy prosto w alejkę, oddychając z trudem, spocona i rozdygotana.

Nie poszedł za nią. Zresztą chyba nie mógł wyjść poza schody. Nie była pewna dlaczego - może ta sama siła, która w Morganville nie pozwalała ludziom wyjechać z miasta albo pozbawiała ich wtedy wspomnień, trzymała Myrnina na uwięzi w tej pułapce.

Poczuła, że włoski na jej karku się unoszą, a potem usłyszała głos. Niewyraźny szept. Shane? Ale co tutaj robił Shane?

Był w szopie. Był w środku i miał kłopoty, musiała tam do niego iść...

Zanim się zorientowała, już otwierała drzwi szopy.

- Myrnin, przestań! - sapnęła i odskoczyła. Odwróciła się i pobiegła aleją w stronę względnie bezpiecznej ulicy.

Dopiero tam zorientowała się, że już zmierzcha.

Po ciemku Eddie po nią nie przyjedzie, a do domu miała daleko. Za daleko, żeby iść.

Claire chciała już dzwonić do Michaela do domu, ale zauważyła samochód policyjny jadący powoli ulicą. Nie był to samochód wampirzego patrolu - przednie szyby były przyciemniane tylko leciutko, chociaż tylne mocniej. Claire zmrużyła oczy w ostrym blasku zachodzącego słońca i pomachała ręką. Efekt działania kryształków szybko zniknął i czuła się dziwnie, była zmęczona i ogłupiała. Chciała tylko położyć się wreszcie spać. Pojechałaby autostopem z samym szatanem, gdyby dzięki temu mogła chociaż na parę minut usiąść.

Samochód przystanął koło niej i otworzyło się okno od strony pasażera. Claire pochyliła się, żeby zajrzeć do środka.

Posterunkowy Fenton.

- Nie powinnaś wychodzić sama - stwierdził. - To niemądre. Wszyscy cię szukają. Twoi przyjaciele zgłosili twoje zaginięcie.

- Och - jęknęła. Nie przyszło jej to do głowy. Nie zdawała sobie sprawy, że tak długo jej nie ma. - Ja tylko... Podwiezie mnie pan do domu? Bardzo proszę.

Wzruszył ramionami.

- Wskakuj. - Wsiadła z wdzięcznością i zapięła pas bezpieczeństwa. Wszystko ją teraz bolało: głowa, oczy, każdy mięsień. I miała wrażenie, że zanim będzie lepiej, poczuje się najpierw jeszcze gorzej. - A przy okazji, co u twoich przyjaciół? Słyszałem o tej sprawie z Shane'em. Bardzo przykre.

- Jakoś się wyliże.

- A ten drugi? Michael?

- U niego w porządku. A co?

- Tak tylko pytam. Pewnie dobrze byłoby mieć go na oku, skoro to on był celem tamtego ataku - skwitował Fenton. Powoli zawrócił policyjnym wozem i wyjechał z ulicy. - Skoro tamten gość czyhał wtedy właśnie na niego.

Claire za bardzo bolała głowa, żeby miała ochotę na rozmowy.

- Pewnie tak - zgodziła się bez przekonania. A potem, w jakimś nagłym, ostatnim przebłysku jasności umysłu wywołanej działaniem narkotyków, wszystko ułożyło się w całość. Serce jej podskoczyło i mocniej zabiło. - Skąd pan wiedział?

- Co wiedziałem?

- Że to nie Sam był celem? Był nieprzytomny, kiedy pan go znalazł. Nie mógł nic

powiedzieć.

- Nieprzytomny, dobre sobie. Był martwy.

- No ale tak czy inaczej, nie mógł powiedzieć... - Wszystko sobie poskładała w całość i ta układanka zaczęła jej wyglądać nieładnie. Bardzo nieładnie. - Był pan tam, zanim usłyszeliśmy syreny.

- O co ci chodzi?

- Kiedy wyrzeliśmy przez okno, widzieliśmy że pana samochód stał za samochodem Sama i pomyśleliśmy, że właśnie pan go znalazł. Ale pan nie tyle znalazł go leżącego na ulicy...

Posterunkowy Fenton docisnął pedał gazu i policyjny wóz znacznie zwiększył - prędkość. Włączył światła. Usłyszała ten głośny trzask, a potem zmierzch rozjaśniły niebieskie i czerwone błyski.

- Dokąd pan mnie zabiera?

- Zamknij się.

Claire położyła dłoń na klamce drzwi, ale jechali tak szybko, że wiedziała, iż nie zdoła wyskoczyć. Mogłaby się mocno poranić lub zabić. - Jeśli pan mi coś zrobi, Założycielka...

- Właśnie na to liczymy - Fenton uśmiechnął się zjadliwie.

- Zamknij się.

Shane totalnie zapaliłby się do pomysłu podziemnego stowarzyszenia do walki z wampirami. Claire chciała tylko wrócić do domu. Bardzo.

Poza posterunkowym Fentonem grupa, która zebrała się w szopie za zakładem fotograficznym składała się z żony Fentona, tej niemiłej pielęgniarki, która traktowała Claire, jakby była zarażona jakąś totalnie obrzydliwą chorobą. Włożyła nawet lateksowe rękawiczki, zanim zaczęła przywiązywać Claire do krzesła.

Innych Claire prawie nie знаła. Jeden był woźnym na uniwersytecie, widziała go kilka razy. Inny - bankowym urzędnikiem. Kolejny - nierzucającym się w oczy facecikiem o gładkiej twarzy, który dostarczył jej list od Amelie tego samego popołudnia. Jak się dowiedziała Claire, wcześniej zabił prawdziwego kuriera. Sporo czasu poświęcił na sprawdzenie, kto pracuje dla Amelie, i próbował się dowiedzieć, gdzie ona mieszka.

To właśnie on pochylił się nad nią nisko, opierając dłonie na poręczach krzesła i powiedział:

- My tu nie bardzo lubimy kolaborantów. Nawet młodocianych.

Claire zaschło w ustach, miała w nich nieprzyjemny posmak i trzęsła się od działania ubocznego kryształków. Myrnin miał rację: konsekwencje miały być nieprzyjemne.

- Kapitan Oczywisty, jak przypuszczam.

Roześmiał się. Miał ładne, białe zęby i ani śladu wampirzych kłów.

- Bardzo jesteś sprytniutka. Widzę, że twoja reputacja jest zasłużona. - Postukał palcem w jej złotą bransoletkę. - Niewielu ludzi widziało Założycielkę, co dopiero mówić o zostawaniu jej ulubieńcami. Sam Glass był ostatni przed tobą. Wiedziałaś o tym? Nosisz jego bransoletkę. Chociaż pewnie trochę ją zmniejszyli.

Próbowała się szarpać, ale więzy były zbyt ciasne.

- Czego ode mnie chcecie?

- Wpływów - powiedział posterunkowy Fenton. - Wampiry chyba cię lubią.

- Nie wszystkie - odparła Claire. Gdyby poprosili Olivera, żeby przyszedł jej z pomocą, nawet nie chciałoby mu się ziewnąć. - A jeśli wam się wydaje, że Amelie się dla mnie poświęci, to poszaleliście wszyscy. - Amelie już ją sprzedała za grosze, wysyłając ją do Myrnina i wyraźnie oczekując, że on ją... pożre. Nie zrobił tego tylko dlatego, że Claire miała dużo szczęścia.

- Wątpię, żeby któryś z nich chociaż ruszył palcem...

- Michael Glass ruszy - stwierdził Kapitan Oczywisty. I to na nim nam zależy. Ona o tym wie, oczywiście. Zrobiła, co mogła, żeby go przed nami ochronić. - Otworzył telefon i nacisnął klawisz szybkiego wybierania. - Powiedz mu, gdzie jesteś.

Claire spiorunowała go wzrokiem.

- Nie. - Zamknęła usta, słysząc z drugiej strony linii nie - wyraźne: „Halo?” Michaela. Nic nie powiem, nie wydam ani jednego dźwięku...

Drzwi z tyłu szopy otworzyły się i ktoś wszedł do środka. Chudy facet o przetłuszczonych włosach, ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Szalone oczy. Ślady ukąszeń na szyi.

Jason.

Wyjął telefon z ręki Kapitana Oczywistego.

- Hej, Mikey, tu Jason. Zamknij się i słuchaj. Mam Claire i myślę o wszystkim, co mogę z nią zrobić, zanim zdążysz tu przyjechać. Lepiej się pospiesz.

- Nie! - krzyknęła Claire i zdała sobie sprawę, że to był błąd. Tylko potwierdziła, że tu jest, i teraz Michael nie będzie miał już żadnego wyboru, prawda? - Michael, nie rób tego!

Słyszała głos Michaela, ale nie rozumiała słów. Jason przytknął telefon do ucha i słuchał.

- Zgadza się. Masz pół godziny na przyjazd albo dostarczę ją do domu w kawałkach. Aha, i to nie jest żadna pułapka, chodzi o biznesową propozycję. Przyjedź sam, a oboje odejdziecie stąd wolno. - Pauza. - Gdzie? Och, daj spokój, stary. Wiesz gdzie. Kapitan czeka.

Wyłączył telefon, podrzucił go w powietrze i znów złapał, z uśmiechem. Ani na chwilę nie spuszczał Claire z oczu.

Michael by tego nie zrobił. Przecież nie mógł być aż tak głupi? Ale Shane leżał w szpitalu. Nie miał do kogo zwrócić się o pomoc, chyba że do innych wampirów, ale one nic by nie zrobiły, żeby ratować Claire. Nie była już wcale pewna, czy Amelie by zareagowała, chyba tylko po to, żeby ją zachować na wieczorną przekąskę dla Myrnina.

Drzwi szopy znów się otworzyły. Kapitan Oczywisty i Jason obejrzeli się za siebie.

Do środka wszedł posterunkowy Travis Lowe i zamknął drzwi, a Claire na moment poczuła ulgę i satysfakcję. Równie szybko jednak znikły. Lowe popatrzył na Jasona i Kapitana Oczywistego, jakby oczekiwał, że ich tu zobaczy, a kiedy przeniósł wzrok na Claire, zrobił tylko minę zirytowaną i umęczoną.

O Boże. On był jednym z nich. Kimkolwiek oni byli.

- Bardziej nie mogliście już schrzanić sprawy? - odezwał się głosem cichym i wściekłym. - Mówiłem wam, Glass jest nieważny. Nie musimy tego robić.

- On jest najmłodszy. Człowieku, to symbol - powiedział Kapitan Oczywisty. - A był przecież jednym z nas. To zdrajca.

Jednym z nas? Czy to znaczy... Nie, nie mógł mieć tego na myśli. Nie mogło mu chodzić o to, że Michael znał tych ludzi, że był członkiem tego dziwnego małego ruchu oporu... No ale Jason mówił tak, jakby Michael miał wiedzieć, gdzie są.

Siostra Fenton pozbawiła ją nadziei, mówiąc:

- Już o tym dyskutowaliśmy. Michael wie za wiele. Jeśli zdecyduje się sypać, wszyscy wpadniemy. Nie możemy podejmować takiego ryzyka. Już nie. - Rzuciła mężowi złe spojrzenie. - Gdybyś sam nie schrzanił...

- Mnie nie obwiniaj! Samochód wyjeżdżał z domu wampira, skąd miałem wiedzieć, że to nie on?

Oczywiście! Nic dziwnego, że cały czas nie dawało jej to spokoju - dom ich wtedy obudził nie ze względu na niebezpieczeństwo, jakie groziło Samowi, ale Michaelowi,

jego właścicielowi. Choć Michaela tam nie było, reagował na samą intencję.

Posterunkowy Fenton wcale nie był pierwszą osobą, która pojawiła się na miejscu zbrodni; to on przebił kołkiem Sama i zostawił go tam na śmierć, a potem udawał, że przybył w samą porę. Gdyby nie pojawił się tam Richard Morrell, żeby sprawdzić, co się dzieje, jego zamiar powiodłby się.

Claire z trudem przełknęła ślinę i skupiła wzrok na Lowe'em.

- A ja myślałam, że jest pan po dobrej stronie.

Na jego twarzy pojawił się ból.

- Claire... - Pokręcił głową. - To nie jest takie proste. Nie w Morganville. Tutaj nie można być tylko po jednej stronie.

- To nie jego wina - wyjaśnił Jason i wyszczerzył się. - Jeśli chce, by jego partner przeżył, nie będzie robił głupstw.

Posterunkowy Hess. A więc go mieli. Nic dziwnego, że od kilku dni go nie widziała - i nic dziwnego, że Lowe tak dziwnie się zachowywał. Przyjrzała się teraz uważniej Fentonowi i dostrzegła, że miał siniak na lewym policzku, pasujący do otarć na kłykciach Lowe'a. Więc był w tamtym domu, może z Hessem, a Lowe go zaatakował.

Oczy Lowe'a były pełne bólu. Odwrócił je teraz od Claire.

- Ta mała nie ma z tym nic wspólnego - powiedział.

- Ta mała zadaje się z wampirami z górnej półki - warknęła siostra Fenton. - Ilu znanych ci ludzi ma dostęp do Założycielki? Ona nie dopuszcza do siebie nawet swoich! Oczywiście, że mała ma z tym coś wspólnego. Pewnie o wiele więcej niż nam się wydaje.

Siostra Fenton nie miała pojęcia, jak wiele ma racji. Claire pomyślała o tym, czego się dowiedziała od Myrnina o chorobie wampirów, sieci portali w mieście, o domach Założycielki i zdała sobie sprawę, że wie wystarczająco wiele, żeby zniszczyć Morganville.

Ze wszystkich sił starała się robić minę przerażoną i głupawą. Przynajmniej ta pierwsza nie sprawiała jej najmniejszych trudności.

Kiedy Jason podszedł i szerokim gestem objął Claire, zadrżała. Śmierdział jak wysypisko śmieci latem, a na jego kurtce zauważyła ślady krwi. On nożem pchnął Shane'a. I jeszcze się potem uśmiechał.

- Zabierz łapy ode mnie - wycodziła wolno i popatrzyła wprost na niego. - Ja się ciebie nie boję.

Lowe złapał Jasona za ramię, obrócił go wokół własnej osi i pchnął na ścianę

szopy.

- Ja też - warknął. - I nie jestem przywiązany do krzesła. Zostaw ja w spokoju.

- Wielki mi bohater - prychnęła siostra Fenton. - Ty i Hess jesteście żałośni.

- Doprawdy? - Lowe wykręcił ramię Jasona. - To nie ja dla zabawy gwałcę i morduję dziewczyny.

- Jason też tego nie robi - powiedział Fenton. - On tylko lubi sobie pogadać.

- To skąd wiedział o tej w naszej piwnicy? - spytała Claire.

Wszyscy na nią spojrzeli.

- Nie widziałem żadnego raportu o ciele w piwnicy waszego domu - powiedział Lowe. - Tylko o tym na ulicy.

Jason roześmiał się suchym śmiechem.

- Przenieśli ciało. Hej, Claire, a nigdy ci nie przyszło do głowy, że to mogłem nie być ja? Może to jeden z tych twoich koleś z domu, Shane, bo wiesz, on nie jest zbyt zrównoważony.

I kto wie, co w tych dniach może odbić Michaelowi?

Chciała na niego krzyknąć, ale postanowiła oszczędzać siły. Miała szczupłe nadgarstki, a Kapitan Oczywisty związał ją kiepsko; wyczuwała nieco luzu w więzach, a nie potrzebowała wcale wiele miejsca, żeby chociaż jedną rękę uwolnić. Szorstka powierzchnia linki ocierała jej skórę, ale nadal szarpała ręką, starając się nie rzucać z tym za bardzo w oczy. Poczula ostry ból nadgarstka, kiedy ranka znów zaczęła krwawić.

Zakaszła, jednocześnie wyszarpując rękę, i udało jej się uwolnić prawą dłoń, mocno ją przy tym urażając. Schowała dłoń za plecami i zaczęła gorączkowo szarpać supeł na lewej ręce.

- No to kim jesteście? - zapytała, żeby czymś wypełnić ciszę i zająć ich uwagę, żeby nie zauważyli, że usiłuje się uwolnić.

- Polujecie na wampiry?

- Można tak powiedzieć - odparł posterunkowy Fenton.

- Nie rzucacie się w oczy. - Claire pociągnęła nosem pogardliwie. - Wiem tylko, że te wampiry, które zginęły, zabił tata Shane'a, kiedy wtargnął do miasta. A co wy zrobiliście?

- Zamknij się - warknęła siostra Fenton. - Jesteś tu zaledwie kilka miesięcy. Nie masz pojęcia, jak się żyje w tym mieście. Kiedy będziemy gotowi, zaczniemy działać. Frank Collins działał z właściwych pobudek, ale nie potrafił planować.

- A więc planujecie rewolucję - domyśliła się Claire.

A nie przypadkowe ataki.

- Przystaniesz może opowiadać więźniowi o naszych planach? - uciął Kapitan Oczywisty. - Jezus, w kinie nie bywasz?

Po prostu się zaniknij.

- Ona nic nikomu nie powie - odezwał się posterunkowy Fenton tonem tak spokojnym, że Claire serce zamarło. Nie zamierzali dotrzymywać żadnej obietnicy danej Michaelowi. Ani Michaelowi, ani jej nie pozwolą za nic ujsć stąd z życiem. Nie rób tego, Michael, nie przyjeżdżaj tu po mnie.

Ale kwadrans później drzwi otworzyły się gwałtownie, a do środka wpadł wampir owinięty kocem. Odór spalonej skóry wypełnił powietrze w szopie, a potem wampir kopniakiem zamknął drzwi i oparł się o nie, zdyszany. Dym unosił się ponad nim gęstą, duszącą chmurą. W kilku miejscach skórę miał spaloną.

- W samą porę - wycedził Fenton. A potem wziął jakiś czarny przedmiot ze skrzynki stojącej obok niego i przystawił go do klatki piersiowej wampira. Przez moment Claire myślała, że to kołek, ale potem zobaczyła iskry, a wampir osunął się na ziemię osłonięty kocem i dymem.

On go potraktował paralizatorem.

Kapitan Oczywisty wyjął drewniany kołek i przewrócił wampira na wznak. Claire wrzasnęła. W jakiś sposób udawało jej się nie myśleć o Michaelu jako o wampirze, ale ten połysk złotych włosów i zarys bladej twarzy był nie do pomylenia.

Błękitne oczy miał otwarte, ale nie mógł się poruszyć. Na dłoniach i ramionach miał oparzenia, ale żył...

Kapitan Oczywisty przystawił kołek.

Claire zerwała się na nogi i rzuciła w prawo. Lewą rękę nadal miała przywiązaną do krzesła, ale ten ruch pozwolił jej z rozpędu trzasnąć krzesłem, z siłą zdolną połamać kości, w plecy Kapitana Oczywistego. Poleciał na ścianę. Claire złapała krzesło obiema rękami i zasłoniła się nim jak tarczą, podczas gdy Fenton usiłował jej dosięgnąć paralizatorem, odpychając krzesło na bok. Udało jej się uderzyć go w brzuch jedną z nóg krzesła. Cały czas wołała o pomoc. Fenton zatoczył się w tył.

Travis Lowe zaklął i skuł Jasona.

- Siadaj - rozkazał i wyciągnął broń. Miał ponurą minę.

- Cofnij się Fenton. Ty też, Christine. Stańcie twarzami do ściany.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział Fenton. - Trav, jeśli się nam postawisz...

- Wiem. Zemścicie się. Postaram się nie zsikać ze strachu.

- Lowe skinął na Claire, która uwalniała się z więzów. - Załóż im kajdanki. Będę cię osłaniał. - Rzucił jej dwie pary, a ona zdrętwiałymi palcami usiłowała je złapać. Kiedy je podnosiła, Kapitan Oczywisty, który leżał na ziemi, ale był przytomny, sięgnął ponad ciałem Michaela, złapał ją za nogę i szarpnął. Claire krzyknęła i upadła, a Kapitan Oczywisty pociągnął ją do siebie.

Lowe wymierzył z broni, ale było za późno. Kapitan Oczywisty trzymał wielki nóż i przytknął jego ostrze do gardła Claire, tuż pod brodą. Kiedy zwiększył nacisk na jej delikatną skórę, początkowo chłodny dotyk noża zrobił się gorący.

- Odlóż to, Jeff - warknął Lowe. Podszedł o krok. - Mówię serio, zastrzelę cię.

Oberwał paralizatorem w plecy. Claire patrzyła, jak dostaje drgawek i upada. Wpadła w panikę. Teraz nas pozabijają. Wszystkich troje. Czworo, jeśli liczyć Joego Hessa, którego uwięzili gdzieś indziej.

Usłyszała trzask i przez ścianę, obok głowy Kapitana Oczywistego, wystrzeliła blada ręka, która złapała Kapitana. Ściana pękła, a Kapitana Oczywistego ktoś wyciągnął na zewnątrz. Claire poczuła nóż prześlizgujący się po jej szyi, ale nic się jej nie stało. Kapitan wypuścił nóż, usiłując złapać równowagę, a kiedy znalazł się na zewnątrz, dosłyszała trzask.

Ubrany w czarny, skórzany płaszcz, czarny kapelusz z szerokim rondem i czarne rękawiczki Oliver wszedł do szopy. Przywitał wszystkich wampirzym uśmiechem.

- No cóż, to nawet odświeżające - powiedział. Sięgnął ręką i podciągnął Michaela do siedzącej pozycji tuż obok Claire, a potem stanął naprzeciw nich.

- Mogłeś przyjechać wcześniej - szepnął Michael. Cały się trząsł, ale nie był już sparaliżowany. Claire przytuliła go. Poszukał w kieszeni, wyjął z niej chusteczkę i przycisnął do jej szyi.

Nawet nie zdawała, sobie sprawy, że krwawi.

Oliver zignorował ich i podszedł do Fentonów, którzy próbowali dostać się do drzwi. Zaszedł im drogę jednym skokiem, z kocią gracją i szybkością, którą wampiry umiały zademonstrować, jeśli chciały. Claire zadrżała na widok wyrazu ich twarzy.

Wiedzieli, co ich czeka.

- Nie martwicie się - powiedział Oliver. - To będzie sprawiedliwy proces. Ponieważ Samuel nie zginął, a wam się dzisiaj nie powiodło, nie zostaniecie spaleni za to, co zrobiliście.

- Sięgnął do ręki Christine Fenton, podciągnął rękaw i obnażył srebrną

bransoletkę. Ściśle obejmowała nadgarstek, ale wsunął palec pod metal, a ten pękł w poprzek jakiegoś niewidzialnego szwu. Schował bransoletkę do kieszeni, a potem zrobił to samo z bransoletką posterunkowego Fentona.

Miejsca po bransoletkach jaśniały niezdrową bladością, a Christine zaczęła pocierać nadgarstek, jakby bolał ją dotyk powietrza na obnażonej skórze.

- Moje gratulacje - zwrócił się do nich Oliver. - Unieważniam wasze kontrakty.

Złapał Christine. Claire dostrzegła błysk kłów, a potem pchnął kobietę na ścianę i zatopił zęby w jej szyi.

Claire ukryła twarz w piersi Michaela. Położył dłoń na jej włosach i przytrzymał jej głowę, nie pozwalając patrzeć, jak umiera Christine Fenton.

Usłyszała, jak Christine osuwa się na podłogę, a potem Oliver powiedział:

- Teraz twoja kolej.

Trzask łamanego karku i kolejne ciało osunęło się na ziemię.

Kiedy Michael ją puścił, Claire nie spojrzała na leżące ciała. Nie mogła.

Popatrzyła na Olivera, który wpatrywał się w Trvisa Lowe'a. Posterunkowy właśnie zaczynał się ruszać.

- Co z nim? - zapytał Oliver. - Przyjaciel czy wróg?

- Przyjaciel! Przyjaciel! - zawołała gorączkowo Claire i zobaczyła, że Lowe z ulgą przymyka oczy. - Jego partner zaginął.

Chyba go gdzieś przetrzymywali.

Oliver wzruszył ramionami, wyraźnie mało zainteresowany. Puścił Lowe'a, który znów osunął się na ziemię, i powoli rozejrzał się wkoło.

- Był jeszcze jeden - stwierdził. - Gdzie jest? - Wziął głęboki wdech, a potem wypuścił powietrze i zakaszłał z niesmakiem. - Jason. No, no.

Kiedy Oliver zabijał Fentonów, Jason jakoś zdołał uciec, a Michael go nie zatrzymał. Może był za słaby, może po prostu obawiał się o Claire. W każdym razie Jason już dawno umknął.

- Znajdę go - oświadczył Oliver. - Byłem tolerancyjny, póki nie zagrażał naszym interesom, ale tego już za wiele. - Spojrzał na Michaela i Claire. - Wracajcie do domu. - Wyszedł wprost na słońce, nawet się za siebie nie oglądając. Trzy trupy, a on się nawet nie zawahał.

Travis Lowe zdołał jakoś usiąść, jęknął i złapał się za głowę.

- Nienawidzę paralizatorów. - Podniósł spojrzenie przekrwionych oczu na Claire. - Nic ci nie jest? Pokaż mi to gardło.

Odsunęła chusteczkę. Na materiale była tylko mała plamka krwi. Nadgarstek miała w gorszym stanie, obwiązała go teraz chusteczką jak prowizorycznym bandażem i pomyślała: Będę musiała kupić Michaelowi trochę nowych. Nie miała pojęcia, czemu przyszło jej to na myśl właśnie teraz. Może po prostu chciała wyobrazić sobie, że życie jest normalne.

Bo to wszystko zdecydowanie nie było normalne.

Michael wstał i pomógł Claire podnieść się na nogi, a potem pomógł też Lowe'owi. Z kieszeni wyjął kluczyki i rzucił je policjantowi.

- Niech pan zaparkuje samochód bagażnikiem w stronę drzwi - polecił. - Proszę go otworzyć i zatrzeć, kiedy będzie pan gotowy.

Lowe pokiwał głową i wyszedł na zewnątrz, na oślepiające słońce. Michael położył ręce na ramionach Claire i spojrzał jej w oczy.

- Nie rób tego nigdy więcej - poprosił.

- Ja nic nie zrobiłam. Poprosiłam gliniarza o podwiezienie, to wszystko...

- Nie o to chodzi. Mówię o Myrnie. Nie rób tego więcej. Nie możesz tam wrócić. Następnym razem on cię zabije.

Wiedział, gdzie była. No cóż, podejrzewała, że nie tak trudno było się tego domyślić.

- Nie powinieneś przyjeżdżać - powiedziała z wyrzutem.

- Wiedziałaś, że to zasadzka, co ty, oszalałaś?

- Zadzwoiłem do Olivera.

- Nie!

- Podziałało, prawda?

Popatrzyła po leżących w szopie trupach.

- Owszem.

Przez chwilę miał niewyraźną minę i zaczął coś mówić, ale wtedy na zewnątrz rozległo się trąbienie i Michael zmienił zdanie.

- Nasza podwózka.

Pokiwała głową i wyszła na słońce. Coś się o nią otarło, mijając ją pędem, a potem, zanim zrobiła chociaż ze dwa kroki, zatrzasnął się bagażnik sedana.

Claire wsiadła do samochodu od strony pasażera. Wyczerpana i obolała, ogarnięta idiotyczną ochotą do płaczu, nie odezwała się ani słowem przez całą drogę do domu.

ROZDZIAŁ 13

Joego Hessa znaleźli w rozsypującym się domu przy Spring Street, zamkniętego w szafie, brudnego, ze złamaną ręką i paroma złamanymi, żebrami. Lowe zadzwonił dwie godziny później, żeby powiedzieć im o jego uwolnieniu. Claire usiłowała się cieszyć, ale chandra, która ją dopadła jeszcze u Myrnina, nie odpuszczała. Czuła się chora, osłabiona i pusta w środku i nie mogła wykrzesać z siebie energii, żeby jechać do szpitala w odwiedziny do Shane'a. Michael powiedział Eve, że zachorowała, co tak bardzo nie mijало się z prawdą; Claire, rozdygotana, poszła do łóżka i owinęła się stosem koców, mimo że w pokoju było ciepło. Wszystko wirowało w jej głowie; szara mgła zamieniała się chwilami w błyszczącą lodowatą jasność i Claire nie miała pojęcia, ile to jeszcze potrwa. Wieczorem dostała silnego bólu głowy i zanim usnęła, zrobiło się już prawie rano.

W niedzielę koło drugiej po południu zadzwoniła jej komórka. Claire wstała, żeby pójść do łazienki i złapać jakąś butelki; wody, ale jeść nie chciała. Była słaba i obolała.

- Gdzie jesteś? - spytał ostro głos po drugiej strony linii. Claire spojrziała na zegarek przez zmrużone powieki i potarła dłonią potargane, przetłuszczone włosy.

- Kto mówi?

W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Jennifer, idiotko. Czekam w Common Grounds. Pojawisz się czy nie?

- Nie - powiedziała, a potem z trudem dodała: - Jestem chora.

- Słuchaj, mnie nie obchodzi, czy umierasz. Jutro mam test Pół semestralny wart połowę łącznej oceny! Zabieraj tu swój tyłek, ale już!

Jennifer się rozłączyła. Claire rzuciła telefon na nocny stolik i usiadła na łóżku - czy raczej na nie padła. Nie mogę. Chcę tylko jeszcze spać, to wszystko.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi, a potem je ze skrzypnięciem otworzył. Stała w nich Eve z porysowaną, mocno zniszczoną plastikową tacą w rękach. Na niej stała oszroniona szklanka coli, nadal musującej, a obok leżała kanapka i ciastko.

I czerwona różyczka.

- Jedz - powiedziała i postawiła tacę na kolanach Claire.

- Rany, ależ masz kaca.

- Kaca? - Claire popatrzyła na nią dziwnie, a potem napiła się coli. Była słodka i zimna, i to jakoś pomagało. - Nie mam kaca.

Eve tylko pokręciła głową.

- Wiem co czujesz, CM. Zaufaj mi w tym. Zjedz, weź prysznic, poczujesz się lepiej.

Claire pokiwała głową. Rzeczywiście poczuła się troszkę głodna, chociaż tylko odrobinę, i udało jej się zjeść dwa kęsy kanapki, zanim znów przeważało zmęczenie. Spróbowała na odmianę ciastka.

Prysznic był jak zbawienie i Eve tutaj też miała rację; kiedy wreszcie Claire się ubrała i zjadła pół kanapki, poczuła się prawie jak żywa istota.

Jej komórka znów zadzwoniła. Jennifer. Claire nawet nie czekała, aż zacznie wrzeszczeć i jej grozić.

- Dziesięć minut - rzuciła i się rozłączyła. Nie chciało jej się jechać, ale leżenie w łóżku też jej jakoś nie służyło. Zniosła tacę na dół, pozmywała i złapała plecak, kierując się do drzwi.

- A dokąd - ty się, do diabła, wybierasz?

Michael. Stał w holu, zasłaniając drzwi, i wyglądał, jakby strzegł samych bram raju. Skórę na rękach miał podrażnioną i różową - jeszcze się goiła po oparzeniach. Pomyślała o nich, o tym jak bardzo ważne są dla niego dłonie ze względu na muzykę i ogarnęło ją silne poczucie winy.

- Idę spotkać się z Jennifer w Common Grounds - wyjaśniła. - Uczę ją. Za pieniądze.

- No cóż, piechotą nie pójdziesz, a ja cię mogę zawieźć dopiero po zmroku.

- Ja pojadę - zaproponowała Eve. Stała obok Claire w holu. - I tak muszę jechać do pracy. Kim się nie pojawiła, dzwoniли parę minut temu. To w końcu nadgodziny. Efekt ci się spodoba. Może nawet starczy na taco.

Michael zrobił minę człowieka doprowadzonego do rozpacz, ale nie było innego wyjścia. Pokiwał głową i zszedł im z drogi. Eve wspięła się na palce, żeby go pocałować, troszkę to potrwało, zanim Claire wreszcie odchrząknęła, spojrzała na zegarek i zmusiła ją, żeby ruszyły do samochodu.

Do Common Grounds jazda była krótka, ale niespecjalnie przyjemna. Eve zagaiła:

- To prawda, że Oliver zabił Fentonów i Kapitana Oczywistego?

Claire nie chciała o tym mówić, ale pokiwała głową.

- I Michael? Michael tam był?

Claire znów skinęła głową, a potem wyjrzała za okno.

- Poranił się. Widziałam oparzenia. - Tym razem Claire nawet nie usiłowała odpowiadać. Eve pozwoliła, żeby milczenie potrwało parę chwil, a potem powiedziała:

- Claire, nie zamykaj się przede mną. Nasza czwórka to wszystko, co mamy.

Tyle że Claire nie mogła się dzielić tym, co wiedziała. Ani z Michaeliem, ani z Eve, a już na pewno nie z Shane'em.

Sama dźwiżyła to nieprzyjemne brzemie wiedzy, której nie chciała i nie mogła wykorzystać. I za każdym razem, kiedy myślała o lodowatym uśmiechu Olivera, o tym jak rozdzierał gardło Christine, robiło jej się niedobrze. A ona, pracując dla Myrnina i Amelie, pomaga mu. Ale pomagała też Michaelowi. Samowi. Myrninowi.

Eve chyba wyczuła, że to nie jest dobry moment na wypytywanie, zatrzymała samochód przed wejściem do kawiarni i powiedziała:

- Zostań w środku do zmierzchu, Michael po ciebie przyjedzie.

- Wybieram się do Shane'a - odparła Claire. - Ale załatwię sobie podwózkę do domu.

- Claire, jasna cholera... - Eve westchnęła. - Nie mogę cię powstrzymać. Ale jeśli zaczekasz, to będziesz mogła jechać tam z Michaeliem. Do zobaczenia wieczorem. Taco na obiad, dobra?

W tej chwili nic nie budziło w niej entuzjazmu, ale pokiwała głową. Wysiadła i poszła do Common Grounds, istnej powodzi hałasu i rozmów - jak zwykle pełno tam było studentów i kilku miejscowych. Przyzwyczyła się już do wychwytywania połysku identyfikacyjnych bransoletek.

Jennifer siedziała przy tym samym stoliku, który lubiła Monica, i popijała coś, co na pewno było ulubionym napojem Moniki, ubrana w ciuchy, które nawet jeśli nie były po Monice odziedziczone, to na pewno wybrała je w ulubionych sklepach Moniki. Minę miała poirytowaną i skrzywiła się, kiedy Claire postawiła plecak na podłodze i usiadła naprzeciwko niej.

- Wyglądasz beznadziejnie - odezwała się Jennifer. - Chora jesteś czy masz kaca?

- A to nie wszystko jedno?

- A więc kac - stwierdziła Jennifer i uśmiechnęła się szeroko. - A mnie się wydawało, że jesteś taką świętoszkowatą nieletnią niunią.

Od zapachu kawy robiło jej się niedobrze, ale Claire podeszła do kontuaru i tak czy inaczej zamówiła mochę. Olivera nie było, a dwóch stojących za barem pracowników nie znała.

Kiedy się odwróciła, ktoś jeszcze siedział na pustym poprzednio trzecim krześle przy stoliku Jennifer.

Monica.

Cholera, ja sobie z nią nie poradzę. Nie teraz. Czowała się okropnie i ostatnia rzecz,

na jaką miała ochotę, to była wymiana docinków z tą królową suk.

Monica przyjrzała jej się spojrzeniem uważnym jak rentgen, popatrzyła na Jennifer i dotknęła dłonią czoła.

- A mnie się wydawało, że stylizacja na bezdomną skończyła się wraz z latami dziewięćdziesiątymi.

- Zamknij się. - Claire wsunęła się na swoje miejsce z kawą w ręku. - Mam korepetycje z Jennifer, nie z tobą.

- Ja bym od ciebie korepetycji nie brała. Pewnie podawałabyś mi złe odpowiedzi.

Co było totalnie świetnym pomysłem i Claire zobaczyła, że na twarzy Jennifer pojawił się skurcz lęku. Westchnęła.

- Nie zrobiłabym tego.

- Dlaczego nie?

- Bo... Bo takie sprawy się liczą. Studia. - Obie popatrzyły na Claire jakby była nienormalna.

- No, nieważne. Po prostu tego bym nie zrobiła. Chcesz pomocy czy nie?

Jennifer pokiwała głową. Claire sięgnęła po zeszyt, przerzuciła go do stron z notatkami z ekonomii i zaczęła tłumaczyć. Jennifer przynajmniej się starała; Monica ciągle wzdychała i się wierciła, ale Jennifer coś załapała. Udało jej się nawet parę wzorów zapisać poprawnie, kiedy Claire zaczęła ją przepytować na szybko. Mniej więcej godzinę zajęło podciągnięcie jej, żeby mogła dostać mocną czwórkę, ale to wystarczyło. Piątki Jennifer nie interesowały, a Monica miała to wszystko serdecznie gdzieś.

Claire mdliło od kawy. Wyrzuciła na wpół pełen kubek i poszła do łazienki. Zabrała ze sobą plecak z zupełnie uzasadnionej obawy, że Monica albo Jennifer zrobią z nim coś paskudnego, jeśli go zostawi na ich pastwę.

Stała przed lustrem i wpatrywała się w swoją bladą twarz z ciemnymi sińcami pod oczami, kiedy na sekundę znów ogarnęła ją jasność umysłu, ten przeblysk bezlitosnego piękna w świetle, który zdawał się tonąć w szarości.

Może tylko troszkę. Tyle, żeby przetrwać dzień. Wcale zresztą za wiele nie zostało.

Nie zastanawiała się. Głowa pulsowała jej bólem, w ustach miała sucho, mięśnie ją bolały i chciała poczuć się lepiej. Bo teraz akurat nie wiedziała, czy uda jej się jakoś dotrzeć do końca dnia.

Wytrząsnęła na dłoń mniej więcej z dziesięć malutkich kryształków. Podrażnił ją zapach truskawek i zaczęła przesuwać kryształki na dłoni, obserwując, jak światło

błyska na ich ostrych krawędziach. Wyglądały jak słodyczne.

To narkotyk. Wreszcie przyznała się sama przed sobą. On nawet nie jest przeznaczony dla ciebie. To lek dla Myrnina. Co robisz? Od tego tylko chorujesz.

Ale najpierw poczułaby się lepiej.

Właśnie połykała kryształki, kiedy Monica weszła do łazienki.

Claire przełknęła i szybkim ruchem otarła dłoń o spodnie. Wiedziała, że na twarzy ma wypisane poczucie winy.

Monica, która szła właśnie do kabiny, przystanęła i spojrzała na nią.

- Co to było? - zapytała.

- Co, co było? - Głupia reakcja, Claire to zrozumiała, kiedy tylko to powiedziała. Dlaczego nie: aspiryna na kaca? Albo: pastylki odświeżające oddech? Była beznadziejną kłamczuchą.

Nie zdołała się powstrzymać i głośno wciągnęła powietrze, kiedy kryształki zaczęły działać. Czuła lód w żyłach i cały świat zrobił się nagle wyraźny, jasny i chwilowo bezbolesny.

A Monica była o wiele za sprytna. Popatrzyła na rękę, którą Claire odruchowo ocierała o nogawkę dżinsów, a potem znów jej się przyjrzała uważnie i powoli uśmiechnęła.

- Rany, ten towar musi być niezły. Żrenice strasznie ci się rozszerzyły. - Monica stanęła obok niej i sprawdziła swój makijaż.

- Skąd to masz?

Claire nic nie powiedziała. Sięgnęła po pojemnik, który zostawiła na umywalce, ale Monica była szybsza. Popatrzyła na pojemnik i wytrząsnęła sobie na dłoń jeden kryształek.

- Fajne. Co to jest?

- Nic. To nie dla ciebie.

Monica cofnęła rękę z pojemnikiem, kiedy Claire po niego sięgnęła.

- Och, a ja sądzę, że tak. Zwłaszcza że tak bardzo chcesz to odzyskać.

Claire nie myślała, zareagowała odruchowo. Jej mózg działał tak szybko, że poruszyła się błyskawicznie, pchając Monice na ścianę, a potem wyrywając jej pojemnik z ręki. Dziewczyna nawet nie miała czasu - wrzasnąć.

Monica poprawiła na sobie ubranie i odrzuciła włosy. W oczach miała dziki błysk, a na policzkach rumieniec. Świetnie się bawiła.

- Och, ty kretynko - westchnęła. - To był bardzo zły pomysł. A więc od tego robisz

się szybsza. I założę się, że dostałaś to coś od wampirów. A zatem to będzie moje.

- Nie - odparowała Claire. Wiedziała, że schrzaniła sprawę, ale rozmowa mogła tylko ją jeszcze pogorszyć. Schowała pojemnik do plecaka, zapięła go, zarzuciła sobie na ramię i zawróciła do wyjścia.

Miała już rękę na klamce, kiedy Monica powiedziała:

- Shane jeszcze leży na oimie. - W tonie jej głosu było coś takiego, że... Claire powoli odwróciła się w jej stronę. - A to znaczy, że jeszcze nie jest w dobrej formie. Zabawne, ludziom zdarzają się rozmaite komplikacje. Może dadzą mu jakieś złe leki czy coś. To by cię zabiło. Kiedyś była taka historia w gazecie. - Monica wrednie się uśmiechnęła. - Nie chciałabym, żeby to cię spotkało.

Claire ogarnęło dziwne uczucie. Chciała rzucić się na Monice, rąbnąć jej głową o ścianę, rozerwać na strzępy. Prawie widziała to. Było to okropne i opanowała się ostatnim wysiłkiem.

- Czego chcesz? - spytała. Głos miała nie do końca spokojny.

Monica tylko wyciągnęła rękę z ładnie pomalowanymi paznokciami, uniosła jedną brew i czekała.

Claire zdjęła plecak, wyjęła z niego pojemnik i podała jej go.

- Kiedy to się skończy, więcej nie będę miała - uprzedziła.

- Mam nadzieję, że się tym udławisz.

Monica wysypała sobie parę kryształków na dłoń.

- Ile? I nie bądź głupia. Jak przez ciebie przedawkuję, to będzie twój problem, nie mój.

- Nie więcej niż połowę.

Monica przesywała część kryształków z dłoni do pojemnika. Wydawało się, że zostało tyle, co trzeba. Claire pokiwała głową.

Monica wrzuciła je sobie do ust, zlizwała resztę z dłoni i Claire widziała, kiedy narkotyk zaczął działać - źrenice jej się rozszerzyły. I robiły coraz szersze. Dziwnie to wyglądało i Claire przeszedł dreszcz, kiedy Monica zaczęła dygotać. A więc tak to wygląda? Wyglądało okropnie.

- Jesteś ładna - odezwała się Monica ze zdziwieniem. - Wszystko jest teraz takie wyraźne...

A potem przewróciła oczami, osunęła się na posadzkę i dostała konwulsji.

Claire zaczęła wołać o pomoc, podsunęła własny plecak pod głowę Moniki, żeby ta nie uderzała nią o kafelkową posadzkę, i próbowała jakoś ją unieruchomić. Jennifer

wpadła do środka i też wrzasnęła, a potem z rozmachu rzuciła się na Claire. Claire odsunęła się przed ciosem - który wydawał jej się zbyt wolny - i zepchnęła sobie Jennifer z drogi.

- Ja tego nie zrobiłam! - wrzasnęła. - Ona coś wzięła!

Jennifer zadzwoniła po karetkę.

Claire wybierała się do szpitala, ale nie w takich okolicznościach. Co gorsza, zanim dojechały, Monica przestała oddychać i ratownicy musieli ją zaintubować. Teraz podłączali ją do różnych maszyn, burmistrz był w drodze, a połowa policji z miasta rzuciła się badać sprawę.

- Muszę wiedzieć, co wzięła - mówił lekarz. Claire próbowała obejrzeć się przez ramię, widziała Richarda Morrella, który szedł od strony parkingu. Lekarz strzelił palcami tuż przed jej twarzą, żeby zwrócić jej uwagę. - Masz rozszerzone źrenice. Też coś brałaś. Co to jest?

Claire w milczeniu podała mu pojemnik. Lekarz popatrzył na czerwone kryształki, zmarszczył brwi i zapytał:

- Skąd to masz? - Nosił srebrną bransoletkę z symbolem, którego nie znała. - Słuchaj, to nie są żarty. Ta dziewczyna umiera, a ja muszę się dowiedzieć...

- Nie umiem panu powiedzieć - odparła. - Proszę spytać Amelie. - Uniosła bransoletkę. Ogarnęło ją otępienie. Chociaż miała ochotę Monice zabić, to przecież wcale zabijać jej nie zamierzała. Dlaczego to się stało? To była taka sama dawka, jaką przyjmowała Claire, i przecież wiedziała, że kryształki są pozbawione zanieczyszczeń...

Lekarz popatrzył na nią z chłodną pogardą, a potem przekazał pojemnik pielęgniarzowi.

- Laboratorium - powiedział. - Muszę wiedzieć, co w tym jest, natychmiast. Powiedz im, że to priorytet.

Pielęgniarka rzucił się biegiem.

- Ciebie do laboratorium też poproszę - polecił lekarz i złapał za ramię przechodzącą pielęgniarkę. Zaczął wymieniać nazwy badań w tak szybkim tempie, że nawet Claire w stanie zwiększonej jasności umysłu nie mogła nadążyć, chociaż pielęgniarka tylko potakiwała głową. Badania krwi, pomyślała. Claire poszła bez protestów. Woląла to niż czekać, aż Richard Morrell zacznie ją oskarżać o otrucie siostry.

Kiedy tylko pielęgniarka skończyła pobierać jej krew, Claire poszła na oiom. Shane był przytomny, czytał książkę. Wyglądał lepiej, uśmiechnął się ciepło i z ulgą.

- Eve mówiła, że zachorowałaś - odezwał się. - Pomyślałem sobie, że może chorujesz na myśl o mnie tutaj.

Claire zbierało się na płacz. Chciała wśliznąć się do łóżka obok niego, dać się objąć i chociaż przez chwilę nie czuć przyginającego ją ciężaru winy i strachu.

- Co się stało? - spytał. - Twoje oczy...

- Zrobiłam coś głupiego - przyznała się. - Zrobiłam okropny błąd i nie wiem, jak go naprawić. Ona umiera, a ja nie wiem, jak...

- Umiera? - Shane próbował usiąść. - Kto? Boże, tylko nie Eve...

- Monica. Dałam jej coś, a ona to wzięła i teraz umiera...

- Łzy płynęły jej po policzkach i czuła każde ich zimne jak lód ukłucie. - Muszę coś zrobić. Ale nie wiem, co mogę.

Shane zmrużył oczy.

- Claire, ty mówisz o narkotykach? Dałaś jej drażni? Chryste co ty sobie myślałaś? - Złapał ją za rękę. - Sama też coś wzięłaś?

Z rozpaczą pokiwała głową.

- Mnie to nie robi krzywdy, ale ją zabija.

- Musisz im powiedzieć. Powiedz im, co wzięłyście. Zrób to natychmiast.

- Nie mogę... To... - Wiedziała, że to zabrzmi okropnie. Już z góry wiedziała, że to wiele między nimi zmieni. - Nie mogę im powiedzieć, bo to ma związek z Amelie. Nie mogę, Shane.

Zacisnął dłoń mocniej, potem rozluźnił uścisk. Puścił jej rękę i odwrócił wzrok.

- I pozwolisz umrzeć człowiekowi, bo Amelie ci powiedziała, że nie wolno ci nic mówić. Nawet Monica nie upadła jeszcze tak nisko. Jeśli czegoś nie zrobisz... - Przerwał i wziął głęboki, powolny oddech. Głos trochę mu drżał, kiedy dokończył: - Jeśli nie zrobisz czegoś, to będzie znaczyło, że stawiasz wampiry na pierwszym miejscu, a ja tego nie zniosę. Przykro mi, Claire, ale nie zniosę.

Wiedziała to. Łzy nadal paliły ją w oczach, ale nie próbowała go przekonywać. On miał rację, ona się myliła, i musiała znaleźć jakieś wyjście, po prostu musiała. Już dość ludzi umierało w Morganville, a niektórzy z nich umarli przez nią.

Notatki. Notatki, które zostały u Myrnina. Z nich lekarze mogliby się dowiedzieć dokładnie, co jest w kryształkach i jak je zneutralizować. Mogła zacząć pracować nad ich składem już teraz, bo jej mózg nadal działał z błyskawiczną prędkością, ale już zaczynała czuć, że jasność umysłu zanika.

- Shane - powiedziała. Nie spojrzał na nią. - Kocham cię. - Nie miała zamiaru

mówić mu tego, ale wiedziała, że może już nie wrócić. Nigdy. Zupełnie, jakby to zrozumiał, chwycił ją za rękę i uściśnął. Kiedy wreszcie na nią spojrzął, dodała: - Nie mogę im nic powiedzieć, ale chyba jakoś zdołam jej pomóc. I zrobię to.

Jego brązowe oczy były zmęczone i niespokojne i rozumiały o wiele za dużo.

- Znów zrobisz coś szalonego.

- No cóż - powiedziała. - Nie tak szalonego jak to, co sam zrobiłeś, ale... Owszem. - Pocałowała go i to było przerażająco przyjemne, ten idealny sposób, w jaki jej usta pasowały do jego ust, to, że czas jakby zatrzymywał się, kiedy ich wargi się spotykały. - Do zobaczenia - szepnęła i pogładziła go palcami po policzku.

A potem uciekła, zanim zdołałby ją przekonać, żeby tego nie robiła.

- Czekaj! - zawołał za nią.

Nie zaczekała.

Ze szpitala wypadła biegiem. Poruszała się zbyt szybko, żeby ktoś zdołał ją zatrzymać, i pobiegła dalej, w stronę tego miejsca na ziemi, w którym za żadne skarby nie chciała już nigdy być.

W laboratorium Myrnina panowała śmiertelna cisza. Claire bardzo powoli schodziła po schodach, bardzo ostrożnie, nasłuchując jakichkolwiek oznak jego obecności. Wszystkie światła paliły się, lampy olejowe migotały, kilka palników syczało pod kolbami, w których coś bulgotało. Całe to miejsce pachniało truskawkami i zgnilizną, i było jej tu dziwnie zimno.

Jeśli się pospieszę... Myrnin gdzieś tam miał swoją sypialnię. Może teraz śpi. Albo czyta. Albo robi coś normalnego.

Albo i nie.

Claire bardzo powoli szła przez pomieszczenie i starała się nie przewrócić wszędzie porozkładanych książek ani nie nadepnąć na jakieś stłuczone szkło. Zobaczyła, że taca, na której rozłożyła do wyschnięcia czerwone kryształki, jest pusta. Nie zostało tam ani śladu po kryształkach, ale w kącie leżały notatniki.

Kiedy brała je do ręki, głos Myrnina odezwał się tuż ponad jej prawym ramieniem. Poczowała jego chłodny oddech na karku.

- To nie należy do ciebie.

Okręciła się na pięcie, cofnęła i przewróciła stos książek, który spadł na następny, a potem książki posypały się jak przewracane kostki domina.

- No i popatrz, co narobiłaś - powiedział Myrnin. Wydawał się bardzo spokojny, ale w oczach miał coś złego.

Bardzo złego.

Claire cofała się, oglądając za siebie, żeby sprawdzić, czy o nic się nie potknie. W tym samym momencie Myrnin rzucił się na nią. Uniosła notesy między nim a sobą, a on rzucił się z pazurami i zaczął je szarpać.

- Nie! Myrnin, przestań!

Odepchnęła go od siebie, głównie dlatego, że pośliznęła się na przewróconych książkach, i zdyszana próbowała się od - sunąć. Udało jej się pamiętać, żeby nie wypuścić z rąk uszkodzonych notesów. Myrnin warknął i próbował ruszyć za nią, ale bałagan na podłodze utrudniał znalezienie oparcia dla stóp i kiedy skoczył, źle wymierzył. Uderzył o regał z książkami, a ten przewrócił się na niego, zasypując go deszczem grubych tomów.

Claire próbowała dotrzeć do schodów, ale wiedziała, że się jej nie uda. Już ją zachodził z boku, próbując odciąć drogę ucieczki i jakiegokolwiek nadziei.

Ona tu zginie, a Monica też umrze. Myrnin zresztą także, bo już za bardzo popadł w szaleństwo. Nie widziała w jego oczach ani śladu niczego znajomego, nawet przez moment.

Cofnęła się i za plecami poczuła ścianę. Przesuwała się wzdłuż niej, chcąc się znaleźć w jakimś kącie, ale na drodze znalazła się półka z książkami. Kiedy się o nią oparła, przesunęła się, ukazując drzwi, które Myrnin pokazał jej już kiedyś.

Zamek w kształcie serca.

Nie był zamknięty.

Claire sapnęła i złapała klamkę, szarpnięciem otwierając te drzwi.

Poczuła, że Myrnin chwyta ją za włosy, ale udało jej się wyrwać i skoczyła przed siebie... W mrok.

Nie, nie, ja za tymi drzwiami widziałam nasz dom, one miały prowadzić do salonu...

Ale teraz nie prowadziły. Myrnin zmienił punkt docelowy i tego miejsca zupełnie nie umiała rozpoznać. Było ciemne, wilgotne i śmierdziało jak połączenie ścieku i wysypiska śmieci. Zamrugnęła. Jej oczy przyzwyczajały się do ciemności o wiele szybciej niż powinny - kryształki nadal działały. Czowała teraz ból. Kiedy już całą ją ogarnie, zaczną się symptomy odstawienia.

Nie miała pojęcia, jak bardzo źle poczuje się tym razem, ale nie miała ani chwili do stracenia.

Obejrzała się za siebie, przejście nadal było otwarte, dokładnie w tym samym

miejscu co przedtem.

Stał w nim Myrnin i patrzył na nią.

Tędy wyjść nie mogła. Musiała znaleźć inną drogę.

Claire pobiegła w mrok. Od bardzo wysokich, bardzo wąskich okien wpadało tam tylko tyle światła, że kiedy oczy jej się przyzwyczyły, dostrzegła, że znalazła się w więzieniu - w jakimś brudnym, obrzydliwym mrocznym lochu.

Gdzie niektóre cele miały lokatorów.

Dopiero po chwili to dostrzegła, bo siedzieli tak cicho - blade, milczące postaci, po jednej w celi, rzucające się do krat jak duchy, kiedy przebiegała obok. Im głębiej się zapuszczała, tym bardziej to się zmieniało. Podniósł się jakiś dźwięk - najpierw szept, który powoli rósł do krzyku. Usłyszała szcęk metalu.

One się próbowały wydostać.

Claire zadyszała się i zaczynała tracić siły, a Myrnin był tuż za nią.

To tutaj ona je trzyma. Te, które są już bardzo chore.

A więc to tu skończą wszystkie wampiry, jeden po drugim. Zostawione na śmierć w tym mroku, w samotności, w zamknięciu i o głodzie.

A Amelie na to pozwalała.

Nagle wszystko ucichło i to było jeszcze gorsze niż wrzaski i hałasy. Claire obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Myrnin powoli zwalnia, a potem przystaje. Teraz rozlegał się tylko odgłos jej stóp uderzających o kamienną posadzkę, aż wreszcie i ona się zatrzymała.

- Claire - szepnął Myrnin. - Co ty tutaj robisz? - W jego głosie słyszała oszołomienie, ale przynajmniej pamiętał jej imię. Poszukał w kieszeniach, wyciągnął jakieś małe srebrne pudzeczko i je otworzył. Wysypał sobie na dłoń stosik czerwonych kryształków i połknął je, chociaż krztusił się i zbierało mu się na wymioty.

Aż się zatoczył, kiedy zadziały. Wyprostował się, opierając ręką o mur i jęknął. Zabrzmiało to, jakby go bolało. Bardzo bolało.

- Nie za wiele czasu - powiedział. Jego głos był ledwie słyszalny, ale w tej zimnej ciszy każde słowo rozumiała bardzo wyraźnie. - Notatniki. Są ci potrzebne?

- Ja... popełniłam błąd. Ktoś wziął kryształki. Muszę przekazać notatki lekarzom.

- Ktoś inny wziął kryształki?

- Tak.

- Zwykle umierają - stwierdził, jakby to nie miało żadnego znaczenia. - Może uda ci się znaleźć w zapiskach jakiś sposób na to. Sam nie wiem, bo nigdy nie

próbowałem.

Co znaczyło, że kiedy dawał jej te kryształy po raz pierwszy, nawet nie wiedział, czyjej nie zabiją.

Boże. A jej się wydawało, że nie jest mu obojętna. Jego głos był bardzo zmęczony.

- Rozumiesz już teraz, jak używać portali?

- Nie.

- Musisz tylko znaleźć przejście i skoncentrować się na miejscu, gdzie chcesz się znaleźć. Uważaj, tylko nieliczni ludzie mają umysł, który potrafi tego dokonać choćby raz, a co dopiero regularnie. Poza tym te drzwi mają subtelny mechanizm odpychający każdego, kto nie jest przy nich mile widziany. Możesz wejść do każdego z domów Założycielki albo do siedmiu innych portali w mieście, ale najpierw musisz mieć w głowie jasny obraz miejsca, w - którym chcesz się znaleźć. Jeśli nie uda ci się go sobie wyobrazić - z wysiłkiem uniósł rękę i nieznacznym gestem wskazał otoczenie - trafisz tutaj. Gdzie ona trzyma potwory. - Myrnin uśmiechnął się nieznacznie, ale w tym uśmiechu kryła się rozpacz. - Przecież sam tu w końcu trafiłem, prawda?

Claire usiłowała opanować walenie serca.

- Jak mam wrócić? Wrócić do twojego laboratorium?

- Tędy. - Myrnin spojrział na swoją rękę, jakby wydawała mu się czymś obcym. Obracał ją, przyglądał się jej, a potem wskazał palcem drogę. - Trzymaj się prawej strony, trafisz tam.

Nie podchodź za blisko krat. Jeśli któryś cię złapie, nie pozwól, żeby przyciągnął cię na tyle blisko, żeby ugryźć. I, Claire...Przycisnęła notesy mocno do piersi i spojrzała mu w oczy. Nadal wydawał się przytomny, ale nawet ta końska dawka kryształków nie mogła zabić w nim bestii.

- Chcę, żebyś wyświadczyła mi dwie przysługi - powiedział. - Po pierwsze, obiecaj mi, że będziesz nadal pracowała nad znalezieniem leku. Ja już nie zdołam ciągnąć tych badań.

Z trudem przełknęła i pokiwała głową. A przynajmniej próbowała.

- Nie dam rady sama. Będę potrzebowała pomocy. Lekarzy. Będę musiała pokazać im notatki i zobaczymy, może coś znajdziemy - Myrnin skinął głową..

- Tylko nie wyjaśniaj, na co to lekarstwo. - Rozejrzał się wkoło. Na końcu korytarza była pusta cela z otwartymi drzwiami. W środku stała jakaś pycza i nic więcej.

Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i wszedł do celi. A potem odwrócił się i stanowczym gestem zamknął za sobą drzwi. Claire usłyszała, jak zamek się

zatrząskuje z głośnym, metalicznym kliknięciem.

- Rzecz druga - dodał Myrnin. - Przynies mi jakieś książki, kiedy przyjdiesz z wizytą. I trochę kryształków, jeśli uda ci się je wyprodukować. Miło byłoby pomyśleć jasno, nawet tylko przez parę chwil.

Czuła się tak, jakby ktoś ugodził ją pierś i wyrywał serce. Była pusta, lekka, wydrążona w środku. I bardzo, bardzo smutna.

- Dobrze - obiecała. - Wrócę tu.

Kiedy się obejrzała, Myrnin usiadł na krawędzi pryczy i opuścił wzrok.

Nie podniósł oczu, kiedy się odezwała:

- Nie zostawię cię tu, obiecuję. Będę cię odwiedzać.

Zawahała się, bo wydawało jej się, że słyszy czyjś szept.

Głos.

Głos jej matki.

- Lepiej już idź - powiedział bezbarwnym tonem Myrnin. - Zanim oboje będziemy musieli tego pożałować.

Pobiegła przed siebie.

Nic jej nie dopadło po drodze do drzwi, chociaż wiele chorych wampirów w milczeniu wyciągało do niej ręce albo coś skrzeczało. Zakryła uszy i biegła, z walącym sercem, z minuty na minutę coraz bardziej przerażona, z coraz większymi mdłościami. Ulga, jaka ją ogarnęła na widok otwartych drzwi, przypominała dotyk ciepłego koca po mrozie. Przejście było zupełnie ciemne, nie widziała po jego drugiej stronie laboratorium Myrnina. Nic tam nie widziała.

Myśl! Myrnin powiedział, że musi się skoncentrować, wyobrazić sobie, dokąd chce trafić. Oczywiście, powiedział też, że prawdopodobnie jej się to nie uda. Nie, nad tym się nie zastanawiaj. Jeśli chcesz się stąd wydostać, musisz się skupić. Myśl!

Nic. Zupełnie nic.

Zamknęła oczy, chociaż bardzo się bała robić to tutaj, w tym miejscu, i zaczęła oddychać wolniej. Myślała o laboratorium, o panującym tam bałaganie, o książkach, próbkach, nowych i starych. Poczwała je węchem, zupełnie jak znajomy zapach domu, a kiedy wreszcie otworzyła oczy, zobaczyła je po drugiej stronie drzwi.

Claire odetchnęła głęboko i przekroczyła próg, chociaż powietrze stawiało lekki opór, a po drugiej stronie natychmiast zatrzasnęła drzwi za sobą.

Kiedy się odwróciła, Amelie już czekała.

Stała na środku pokoju, z założonymi rękoma. Jej wiekowej, gładkiej twarzy nie

mąciło żadne uczucie, ale w oczach kryła się jakaś gorycz.

- Zniknął - powiedziała. - Gdzie jest?

- Ja... W więzieniu.

- Zabrałaś go na dół. - Amelie lekko zmarszczyła brwi.

- Ty go zabrałaś na dół.

- Chyba sam chciał tam zejść. On... zatrasnął się w celi.

- Claire usiłowała mówić spokojnym głosem. - Jak... Jak może pani tak ich tam zostawiać?

- Nie mam wyboru. - Oczywiście, Amelie nawet nie przyszłoby do głowy się tłumaczyć, a Claire nic by nie zyskała, domagając się wyjaśnień. - Jeśli naprawdę jest stracony, to po wszystkim. Eksperyment zakończony, lekarstwa nie ma. Nie zdołam uratować swoich braci. - Usiadła na wytartym fotelu, zdejmując z niego przedtem książki. To był pierwszy pozbawiony wdzięku gest, jaki Claire u niej widziała. - Myślałam... Myślałam, że nigdy się nie podda. Claire podeszła o krok, o drugi.

- Mam notesy - powiedziała. - A poza tym... Myrnnin na pewno zostawił tu inne notatki. Jeszcze nie wszystko stracone.

Amelie pokręciła głową i jakiś kosmyk włosów wysunął się z korony, w którą je miała upięte. Wyglądała teraz młodo i bardzo krucho.

- Muszę mieć kogoś zdecydowanie zaufanego do konserwacji maszynarii, w przeciwnym razie to wszystko i tak się zawali. A tylko Myrnnin to umiał. Miałam nadzieję, że ty... Ale on powiedział mi, że tylko wampiry to potrafią. I że nie ma nikogo innego.

- A Sam?

- Jest za młody i ma za mało siły. To musiałby być ktoś w wieku zbliżonym do mojego, a to by znaczyło... - Amelie spojrzała na nią ostro. - Nie mogę dać takiej władzy swojemu wrogowi!

Claire też ta myśl wcale się nie podobała.

- Co jeszcze można by zrobić?

- Skończyć to. - Głos Amelie brzmiał tak cicho, że Claire ledwie zrozumiała słowa. - Dać sobie spokój. Zniszczyć wszystko.

- Znaczy... Puścić wszystkich wolno?

Amelie spojrzała jej w oczy i już nie odwracała spojrzenia.

- Nie - zaprzeczyła. - Nie to miałam na myśli.

Claire zadrżała.

- No to czemu nie zdradzić tajemnicy Oliverowi? Tak bardzo starała się pani nie dopuścić go do sekretu. Czemu najpierw nie spróbować? Co jeszcze ma pani do stracenia?

Amelie uniosła blade brwi.

- Nic. I wszystko, oczywiście. Ale ty raczej powinnaś się obawiać naszego sukcesu, Claire. Bo jeśli go odniesiemy, jeśli rasię wampirów nie jest pisana zagłada, to co czeka was? Ciekawe pytanie, warte może rozważenia jakiegoś innego dnia. - Skinęła w stronę notesów w rękach Claire. - Jeśli chcesz ratować tę małą Morrellów, pospiesz się - powiedziała. - Skorzystaj z portalu. Przeniosę cię bezpośrednio do szpitala.

W szpitalu jest portal? Claire zamrugała i obejrzała się na zamknięte drzwi.

- Hm... Jest pani pewna, że one nie otworzą się na...

- Na loch? - Amelie pokręciła głową. - Nie mam takiego zamiaru. Jeśli i ty go nie masz, stanie się, jak sobie życzymy.

Myrnin umiał stwarzać wyłącznie przejścia prowadzące do lochu i z powrotem tutaj. Tylko ty i ja posiadamy tę umiejętność, na razie.

Claire zastanowiła się nad czymś i serce jej zamarło.

- Jest pani pewna?

- Jak to? - Amelie powoli uniosła głowę, oczy miała jasne i groźne.

Przed oczyma Claire przesunęła się cała sekwencja obrazów: Oliver, który ją napada w jej własnym domu. Martwa dziewczyna w piwnicy. Jason, który zjawia się na imprezie Moniki, a potem znika, i ponownie pojawia się w pobliżu Common Grounds.

Och, nie.

- Nie umie pani wyczuwać? - spytała Claire. - Czy ktoś używa portalu?

- Myrnin chyba umiał, ale ja nie umiem. Dlaczego? - Amelie wstała, teraz już z wyraźnie nachmurzoną miną. - Co wiesz?

- Chyba ktoś panią zdradził. Ktoś pokazał to Oliverowi, a Oliver Jasonowi. A Kapitan Oczywisty i jego przyjaciele też pewnie o tym wiedzieli. Jason musiał im pokazać...

- Niemożliwe - wtrąciła Amelie z odrobiną zniecierpliwienia. - Moi ludzie są poza podejrzeniami.

- Jak Jason zdołał wnieść zabitą dziewczynę do domu Michaela, nie mając pozwolenia na wejście? Bo sama mówiła pani, że musiałby być zaproszony, a nie był.

Amelie zamarła, a jej oczy znieruchomiały i zrobiły się lodowate.

- Rozumiem - mruknęła i odwróciła się szybko w stronę małych drzwi, które prowadziły do biblioteki, i tych, którymi Claire wchodziła tu z uniwersytetu. - Zdaje się, że masz rację. Ktoś tu właśnie idzie. Uciekaj i zamknij przejście. Szybko.

Claire otworzyła drzwi. Za nimi powietrze zadrgało i zmieniło się... Ich salon. Jakiś obcy dom. Spokojne białe wnętrza z witrażowymi oknami.

- Teraz! - krzyknęła Amelie. - To szpital.

Claire przeszła przez drzwi. Kiedy się obejrzała, zobaczyła, że do laboratorium Myrnina wchodzi Oliver, rozgląda się wkoło i zauważa Amelie. Obok niego stanął Jason, szeroko uśmiechnięty, najwyraźniej jego nowy pupilek. A może przez cały czas był jego pupilkiem?

- Ciekawe - rzucił Oliver, a potem odwrócił się i spojrzał na otwarte przejście i Claire. - I nieoczekiwane. Zatrzasnęła dzielące ich drzwi, z walącym sercem, i obraz laboratorium zniknął. Co nie znaczyło, że nie mogło się pojawić za drzwiami ponownie, ale chwilowo była bezpieczna. Stwierdziła, że Amelie nie pozwoli Oliverowi iść za nią.

Taką miała przynajmniej nadzieję.

Zacząła przerzucać strony notatników. Myrnin poszarpał tylko ostatni zeszyt i to tylko z tyłu. Pozostałe kartki były nie - tknięte.

Wyszła z białego pokoju i zobaczyła, że stoi w wielowyznaniowej kaplicy szpitalnej, przypominającej najbardziej jakąś salę do medytacji. Było tam pusto, poza jedną osobą, która klęczała blisko ołtarza.

To była Jennifer. Podniosła się z kolan, kiedy zobaczyła Claire i wypaliła:

- Co ty tu robisz? - Oczy miała zaczerwienione i teraz gniewnie otarła powieki, rozmazując sobie tusz i rujnując makijaż. Miała piegi. Claire nigdy przedtem tego nie zauważyła.

- Ratuję życie twojej przyjaciółce. Mam nadzieję.

Trzy dni trwało, zanim laboratorium zdołało opracować odtrutkę, ale kiedy już ją mieli, Monice w parę godzin można było odłączyć od respiratora. A przynajmniej tak powiedział Claire Richard Morrell, który wpadł do nich we środę wieczorem, kiedy całą czwórką - bo Shane'a wreszcie wypisano ze szpitala - siadali właśnie do obiadu.

- Cieszę się, że nic jej nie będzie - odetchnęła z ulgą Claire.

- Richard... Ja przepraszam. Gdybym wiedziała...

- Masz szczęście, że sama nie ześwirowałaś od tej substancji - powiedział, ale właściwie bez złości. - Posłuchaj, moja siostra nie należy do najsympatyczniejszych

osób, jakie spotkałem w życiu, ale i tak ją kocham. Dzięki za pomoc.

Claire pokiwała głową. Michael był w pobliżu. Niby stał swobodnie, ale - wiedziała, że zainterweniuje, gdyby Richard chciał się jej czepiać. Nie żeby Richard się do tego rwał. Lepiej dostosowanego do rzeczywistości Morrella jeszcze w tym mieście nie spotkała.

- Nie przychodź do szpitala - ciągnął Richard. - Próbuję ją przekonać, że nie chciałaś jej zabić. Jeśli się tam pokażesz, mogę stracić kontrolę nad sytuacją. Na razie... - Przystąpił z nogi na nogę i odwrócił wzrok. - Uważaj na siebie, Claire.

- To nie będzie potrzebne - powiedziała Eve, obejmując Claire za ramiona. - Powiedz swojej siostrze, że jak zadrze z Claire, zadrze z nami wszystkimi.

Richard zachował poważny wyraz twarzy.

- Jestem pewien, że to ją przerazi. Dobranoc, Claire. Eve. - Skinął głową Michaelowi. Shane nie wstał od stołu, częściowo dlatego że miał przecież ranę brzucha, ale poza tym nie chciał pchać się w oczy żadnemu Morrellowi, nawet Richardowi. Claire miała wrażenie, że Richardowi ulżyło, że nie musi udawać, że jest dla niego miły.

Claire odprowadziła Richarda do drzwi, zamknęła je, a potem wróciła do pokoju, gdzie włączyła się do sprzeczki o ostatnie taco. Które, oczywiście, przypadło Shane'owi. „Poszkodowany!” - to była ostatnio jego nowa wymówka na wszystko, z którą w sumie nie mogli się kłócić, przynajmniej nie jeszcze przez parę tygodni. Radośnie wpakował sobie na talerz jedzenie, a Claire usiadła wygodniej i po raz pierwszy od wielu dni poczuła, że napięcie powoli zaczyna ją opuszczać. Shane nawet znów przyjaźnie odnosił się do Michaela, szczególnie po tym, jak mu opowiedziała, jak Michael przyszedł jej w potrzebie na ratunek. Dla Shane'a to się liczyło bardziej niż co innego.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, cała czwórka zamarła, a Michael westchnął.

- Dobra. Chyba to moja kolej zabawić się w odźwiernego.

Claire odebrała Shane'owi z talerza kawałek mięsa. Udał, że chce jej dać po rękach, a skończyło się tym, że oblizwał, po jednym, jej palce.

- Dobra, to jest albo podniecające, albo obrzydliwe, ale mnie zaczęło mdlić, więc przestańcie już - powiedziała Eve.

- Jeśli chcecie się nawzajem oblizywać, wynajmijcie sobie pokój.

- Niezły pomysł - szepnął Shane.

- Poszkodowany! - zawołała Claire żartobliwie. - A poza tym myślałam, że nie

chcesz ryzykować.

- Dziewczyno. Ja mieszkam w Morganville, a ty myślisz, że nie lubię ryzyka?

Michael wrócił z bardzo dziwną miną.

- Claire. Pozwól na chwileczkę.

Wstała od stołu i poszła za nim. Otworzył drzwi i odsunął się. Na progu stali jej rodzice.

- Mamo! Tato! - Claire rzuciła się w ich objęcia. Głupio było aż tak się cieszyć na ich widok, ale przez sekundę podobała jej się taka głupota i zamierzała powyglądać się jeszcze trochę.

A potem tknęło ją złe przeczucie, odsunęła się od ich i spytała:

- Ale co wy tu robicie? - Proszę, powiedzcie, że mi coś tylko przywieźliście. Proszę...

Jej mama - ubrana w wyprasowane dżinsy, wykrochmaloną błękitną sportową koszulę i polar nawet w tę upalną pogodę - zrobiła urażoną minę.

- Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę. Gniewasz się? Claire, masz tylko szesnaście lat...

- Prawie siedemnaście - westchnęła Claire.

- I naprawdę, powinniśmy móc cię widywać, kiedy chcemy, żeby się tobą opiekować. - Mama Claire posłała Michaelowi roztargniony, nieco nerwowy uśmiech.

- No dobrze, powiemy ci prawdę. Kochanie, bardzo się o ciebie niepokoiśmy. Najpierw były te twoje kłopoty w akademiku, potem cię zaatakowano i trafiłaś do szpitala i ktoś nam wspomniał o tamtej imprezie.

- Co? - Spojrzała na Michaela, ale miał równie zaskoczoną minę jak ona. - Kto wam powiedział?

- Sama nie wiem. Dostaliśmy mejla. Wiesz, mnie się te rzeczy zawsze mylą, ale wydawało mi się, że to od kogoś z twoich znajomych.

- Och - westchnęła Claire. - Chyba jednak nie. Mamo, posłuchaj, to była...

- Nie mów nam, że nic się nie działo, kochanie - wtrącił się tata. - Sam czytałem. Picie, narkotyki, jakieś bójki, zniszczenie mienia. Młodociani uprawiający seks. A ty byłaś na tej imprezie, prawda?

- Ja... Nie, tato, to nie tak... - Kłamać nie mogła. - Byłam tam. Wszyscy tam byliśmy. Ale Shane nie został ugodzony nożem na imprezie. To się stało później, w drodze do domu. - Jak tylko to powiedziała, zdała sobie sprawę, że żadne z nich nie wspomniało przecież ani słowem o Shanie. A już za późno było, żeby te słowa cofnąć.

- Ugodzony nożem? - Jej mama powtórzyła słabym głosem i zakryła usta ręką. - Och, to już szczyt wszystkiego. Tego już za wiele!

- Porozmawiajmy o tym w środku - rzucił tata. Sam teraz też już miał ponurą minę. - Uznaliśmy, że przyszła pora coś zmienić.

- Zmienić? - powtórzyła Claire.

- Przeprowadzamy się - oznajmił. - Kupiliśmy ładny dom po drugiej stronie miasta. Podobny do tego, może nieco mniejszy. Chyba nawet podobnie rozplanowane są wnętrza. I dobrze zrobiliśmy. Najwyraźniej sprawy przedstawiają się o wiele gorzej, niż nam się wydawało.

- Wy... - Na pewno się przesłyszała. - Przenosicie się tutaj? Do tego miasta? To niemożliwe! Nie możecie się tu przeprowadzić!

- Och, Claire, a ja miałam nadzieję, że się ucieszysz - powiedziała jej mama tonem, którego Claire bardzo nie lubiła. Tonem mówiącym: „Bardzo mnie rozczarowałaś, córeczko”. - Już sprzedaliśmy nasz stary dom. Ciężarówka z meblami powinna być tu jutro. Och... - zwróciła się do ojca Claire - czy pamiętaliśmy, żeby...

- Och, na miłość boską, tak - mruknął. - Nie wiem, o co pytasz, ale tak, pamiętaliśmy.

- Wiesz, ale nie musisz być taki...

- Mamo! - Claire przerwała z rozpaczą. - Nie możecie się tu przenieść!

Michael położył rękę na jej ramieniu.

- Jedną chwileczkę - zwrócił się do jej rodziców i odciągnął Claire kilka kroków dalej. - Claire, uspokój się. Już za późno. Gdyby Rada ich tu nie chciała, toby ich tu nie było, a już na pewno nie dostaliby domu Założycielki. Skoro wygląda zupełnie jak nasz, to tym właśnie jest, domem Założycielki. A to znaczy, że Amelie chce, żeby to tak wyglądało. Pewnie sama to załatwiła.

Trudno powiedzieć, żeby to jej polepszyło humor. Cała już teraz się trzęsła.

- Ale to moi rodzice! - szepnęła gorączkowo. - Nie możesz czegoś zrobić?

Spojrzał ponuro i pokręcił głową.

- Nie wiem. Spróbuję. Ale na razie lepiej rób dobrą minę, okay?

Nie chciała. Miała ochotę zawlec rodziców do samochodu i zmusić ich do wyjazdu.

Jak Amelie mogła jej zrobić coś takiego? Nie, to było oczywiste - bez najmniejszego wahania. Rodzice to był tylko jeszcze jeden sposób, żeby zmusić Claire do robienia tego, czego chciały wampiry. A teraz, kiedy wiedziała aż tyle, teraz, kiedy była ich jedyną nadzieją na pracę nad lekarstwem Myrnina, za nic nie mogli pozwolić

jej odejść.

- Halo? - zawołała mama Claire. - Możemy wejść? Michael nie zmienił przyjaznego i sympatycznego wyrazu twarzy.

- Jasne. Zapraszamy do środka. - Bo już się ściemniało.

Mama i tata Claire przekroczyli próg domu. Kiedy Michael zamykał już drzwi, jakaś trzecia osoba wsunęła otwartą dłoń w szparę, a potem weszła do środka. Claire nie miała pojęcia, kto to jest. Nigdy go wcześniej nie widziała, a na pewno by go zapamiętała. Miał gęste siwe włosy, krzaczaste siwe wąsy i wielkie zielone oczy za grubymi szklami okularów w stylu lat pięćdziesiątych.

Michael zamarł, a Claire z miejsca domyśliła się, że stało się coś bardzo złego.

- Och - zaczęła mama Claire. - To jest pan Bishop. Poznaliśmy się w drodze do miasta, samochód mu się zepsuł.

Pan Bishop uśmiechnął się i dotknął wymyślnego kapelusza na głowie.

- Dziękuję za zaproszenie do domu. - Głos miał niesamowicie głęboki i ciepły i mówił z akcentem, który nieco przypominał rosyjski. - Chociaż nie było mi potrzebne.

Bo to był wampir.

Claire zaczęła się cofać. Michael wyglądał, jakby niezdolny był zrobić nawet kroku, a Bishop wszedł do środka.

- Nie chciałbym niepokoić twojej uroczej rodziny - zwrócił się cicho do Claire - ale jeśli Amelie nie pojawi się tu w ciągu pół godziny, zabiję wszystkich ludzi, którzy znajdują się pod tym dachem.

Claire odruchowo obejrzała się na rodziców, ale zniknęli już w głębi holu. Nic nie słyszeli.

- Nie. Nie tkniesz nikogo. To mój dom. Wynoś się stąd, zanim będę musiał zrobić ci krzywdę.

Bishop obejrzał go od góry do dołu.

- Ładnie powarkujesz, szczeniaczku, ale zębów to ty jeszcze nie masz. Sprowadźcie Amelie.

- Kim pan jest? - szepnęła Claire. Od tego starca coś niedobrego parowało jak gęsta mgła. Prawie ją widziała.

- Przekażcie jej, że ojciec przyjechał w odwiedziny - powiedział z uśmiechem. - Spotkania rodzinne są takie miłe, nieprawdaż?